

Odgłosy

NUMER 25 (1577)

ROK XXIX

18 CZERWCA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ

Wystarczy nam ulewa

patrz str. 14

- ◆ Zbigniew Nienacki o sobie i swej twórczości — str. 1 i 4
- ◆ 157 świadków obrony — str. 1 i 5
- ◆ Juvenalia w „Lumumbowie” — str. 7
- ◆ Piękność według paryskiej mody — str. 8
- ◆ Historycy radzieccy o „białych plamach” — str. 11

Rozpoczęliśmy druk drugiego tomu powieści Zbigniewa Nienackiego „Dagome iudex”, on sam otrzymał nagrodę Stowarzyszenia Księgarzy w Polskich za „Wielki las”, jako najbardziej poczytną książkę polską w 1987 roku. Poniżej publikujemy rozmowę z pisarzem. Poznajmy się bliżej!

Zajrzeć do wnętrza

Rozmowa ze ZBIGNIEWEM NIENACKIM

27 km od Hawy nad jeziorem Piaskim leży Jerzwałd — wieś licząca 50 gospodarstw. Wśród nich nieczym nie wyróżniający się domek z czerwonej cegły, przycupnięty między jeziorem a ulicą. Jest jednak pewna różnica — obejścia strzegą zamiast psa na łańcuchu — dwa dorodne dogi-arleki, które nie są, jak twierdzi ich pan, psami obronnymi, a służą do zabawy. Gospodarzem domu jest ZBIGNIEW NIENACKI.

— Jest pan łodzianinem, z Łodzią też związany był wstęp do pańskiej kariery z piórem w rękę.

— Mam nadzieję, że łodzianie jeszcze mnie pamiętają, tam przecież rozpoczynałem swoją karierę literacką, świadome życie w okresie kwitującego stalinizmu, któremu przeciwstawiłem się. W wieku 21 lat otrzymałem zakaz studiów i zakaz publikowania pod własnym nazwiskiem. W 1956 r. kiedy już mogłem uprawiać literaturę, zacząłem pisać pod pseudonimem. Stąd wziął się Zbigniew Nienacki. Pierwszą moją książkę wydałem w 1957 r., było to „Uroczysko” — powieść przygodowa dla młodzieży, zapowiadająca cykl o „Panu Samochodzik”. Jestem żonaty, mam syna, który jest lekarzem anestezjologiem, pracuje w Łodzi.

— Jak to się stało, że opuścił pan Łódź?

— Łódź, przyznam szczerze, nudziła mnie. Zresztą jestem typem, który nie umie żyć w układach towarzyskich, źle się w nich czuję. Jestem typem samotnika i takie odosobnienie, które spotkałem tu na Mazurach, lepiej służy mojej twórczości niż Łódź. Zresztą pisarz musi nieustannie poszerzać swoją biografię. Będąc w Łodzi napisałem kilka książek dla młodzieży i dla dorosłych, wyeksplloatowałem swoją biografię i uważałem, że znowu należy nadać akumulator, by móc pisać nowe książki, a nie powtarzać się. Literatura polska to właściwie taki cementarz, gdzie krąży pełno upiórów powielających ciągle ten sam temat, nazywając to co robią obsesją twórczą, a w gruncie rzeczy nie mają nic nowego do powiedzenia. Mnie tego rodzaju rola nie odpowiada.

— Jest pan pisarzem, którego książki nie zalegają półek księgarskich.

— To wynika z tego, że jestem zawodowcem, a nie pisarzem niedzielnym, że interesuje mnie zapotrzebowanie czytelników.

— Co to znaczy być pisarzem zawodowym?

— Zawodowy pisarz to taki, który nie pisze tylko o sobie, ale i o innych ludziach, analizując potrzeby psychiczne ludzi. W rozmaitych okresach one się przecież zmieniają. Inne zapotrzebowanie psychiczne mają dzieci, inne dorośli. Pisarz musi bardzo uważnie śledzić przemiany, które następują w społeczeństwie i dawać taką książkę czytelnikowi do ręki, która będzie współbrzmiała z tęsknotami, często nawet w jego świadomości ukrytymi.

— Jest pan najpopularniejszym pisarzem młodzieżowym. Napisał pan 12 tomów „Pana Samochodzika”. W czym tkwi tajemnica niezwykłej poczytności pańskich książek młodzieżowych. Maksym Gorki powiedział, że książki dla młodzieży trzeba pisać tak samo jak dla dorosłych tylko jeszcze lepiej, ale to przecież nie jest klucz do pisania?

— Ja nie jestem najpopularniejszym pisarzem dla młodzieży, jestem jednym z popularniejszych.

— Były laury od oficjalnych czynników z Ministerstwa Kultury i Sztuki?

— Nigdy nie otrzymałem z Ministerstwa Kultury i Sztuki żadnych odznak szacunku. Jak wielu pisarzy dla młodzieży, właściwie nie istnieją. Gdyby przejrzał pan miesięczniki czy tygodniki literackie stwierdziłby pan, że nazwisko Zbigniew Nienacki nigdy się tam nie pojawia w związku z literaturą młodzieżową, ponieważ w ogóle literatura dla młodzieży nie stanowi przedmiotu zainteresowania krytyki literackiej. Polska jako jedyny kraj socjalistyczny nie ma własnego periodyku poświęconego młodzieży. Dla przykładu: Czechosłowacja ma miesięcznik „Złoty Maj”, gdzie między innymi jest tam cała moja twórczość omówiona bardzo szczegółowo. W Polsce literatura dla młodzieży jest poklepywana po ramieniu, co jest dla wychowania tego społeczeństwa wręcz zbrodnicze, dlatego, że te książki rozchodzą się w ogromnych nakładach i jeśli autor popełni błąd, to ten błąd jest powielany w setkach tysięcy egzemplarzy i on paczy czytelnika. Powtarzam, pisarz dla młodzieży w tym kraju nie istnieje jako pisarz. Niby pisarstwo dla młodzieży jest też literaturą, ale literaturą trzeciorzędą. Nigdy się o tych książkach nie mówi, nigdy się ich nie nagradza. Panu Alfredowi Szklarskiemu, tak popularnemu pisarzowi telewizji poświęciła 4 minuty uwagi dopiero gdy skończył 70 lat życia, a przecież ten człowiek wydał kilka milionów egzemplarzy książek i chyba należy mu się coś więcej niż te 4 minuty w TV.

— Czy dlatego przestał pan pisać dla młodzieży i zaczął tylko dla dorosłych?

— Nie, ja zawsze pisałem i książki dla młodzieży, i książki dla dorosłych, ale teraz interesuje mnie szczególnie literatura dla dorosłych, dlatego że skoro przez 30 lat pisałem dla młodzieży, to wychowałem sobie własnego czytelnika, któremu teraz chciałbym towarzyszyć w życiu dorosłym. On ma zresztą problemy dorosłe i z tymi problemami zjawia się u mnie. Zadaje wiele pytań, pytań trudnych, z czego wynika, że literatura polska nie dostarcza mu na nie odpowiedzi, jak żyć, jak postępować z konfliktami intrapsychicznymi. Dlatego właśnie postanowiłem mu towarzyszyć i na miarę swojej wiedzy, swoich możliwości pomagać mu w życiu dorosłym. Otrzymuję wiele listów. Nie na wszystkie jestem w stanie odpowiedzieć. Wynika z nich, że czytelnik pragnie, aby go traktowano poważnie. Czytelnik dorosły żąda pełnej prawdy, już nie przed nim nie może być ukryte, wszystko ma być obnażone i objawione, ponieważ jest wrażliwy na wszelkiego rodzaju nieprawidłowości, zakłamania. To, co się wydaje dziś dla dorosłych, to są takie wypracowania na temat, pełne wykrępowanych miejsc, on nie chce wykrępowanych miejsc, on czuje się pełnoprawnym obywatelem na to, żeby znać wiedzę o człowieku, też pełną.

— Niektórzy dziennikarze surowo ocenili pańskie książki dla dorosłych, dopatrując się w nich pornografię.

— To świadczy o tym, że oni nie mają pojęcia, co to jest pornografia, to świadczy o ich nieumiejętności, zresztą wielokrotnie w rozmaitych wywiadach mówiłem, że kulturowi sędziowie redakcyjnym biurkiem, że tam jest to siedlisko ciemnoty, zacofania. Te ośrodkami zamiast być opinotwórczymi, są niewiarygodne. Jest także opinia społeczna



Foto: Grzegorz Gałasiński

Wielki proces przy drzwiach zamkniętych przeciw polskiemu filmowi krótkometrażowemu.

157 świadków obrony

RYSZARD NAKONIECZNY

Dla normalnego obywatela PRL polski film krótkometrażowy — oza telewizyjnymi reportażami i „dobranockami” — praktycznie nie istnieje, a w każdym razie mógłby nie istnieć. Tymczasem Główna Komisja Selekcyjnej do XXVIII Ogólnopolskiego Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie 11 producentów przedstawiło 157 tytułów o łącznym czasie projekcji 2590 minut. A były to przecież jedynie filmy najlepsze, pretendujące do nagród; fiolet powstających co roku w Polsce filmów krótkich jest co najmniej 5 razy większa. Już samo zestawienie tych dwóch faktów świadczy, że coś tu nie jest w porządku.

Mały nieobecny

Kwestia filmu krótkiego w Polsce od kilkunastu lat ma wszelkie cechy toczącego się przy drzwiach zamkniętych procesu. Jedną stroną są w nim władze kinematografii, drugą zaś twórcy. Strona pierwsza utrzymuje praktycznie (choć czasami mówi coś zupełnie odwrotnego), że małe kino jest w gruncie rzeczy zabawką grupy ludzi, na którą mecenas państwowy wspaniałomyślnie ciągle jeszcze pozwala, ale jest rzeczą zrozumią, że ponieważ ma na głowie także sprawy poważne, traktuje ją jako margines. Nie daje więc pieniędzy na sprzęt, pozwalając na jego systematyczną dekapitalizację, nader skromnie wydziela taśmę, pragnąc widocznie nakłonić realizatorów do zajęcia się sztuką konceptualną, honoruje ich zaś jedynie symbolicznie, za-

pewne w przekonaniu, że ci, którzy chcą się bawić, powinni sami ponosić koszty swoich fanaberii; nie zdarza się przecież, aby przed wejściem na dancinę wykidajło wręczał chętnym „kopernika” czy „chopina”.

Druga strona z kolei utrzymuje uparcie, że jej praca jest pożyteczna, niezastąpiona i stanowi ważny składnik kultury narodowej, wobec czego ma prawo domagać się normalnych warunków jej wykonywania. Twierdzi również, że gdyby zdjąć z niej gorset absurdu, byłaby zdolna sama zatroszczyć się o swoje interesy.

Przed wszystkim jednak domaga się wpuszczenia na salę publiczności, przypominając, że kiedy raz — na początku lat osiemdziesiątych — na krótko tego doszło, sprawa błyskawicznie stała się jasna, a film krótki został okrzyknięty jednym z nielicznych uczciwych i wartościowych dyscyplin artystycznych.

Traktując rzecz logicznie o bie strony, oprócz krasomówczych popisów oraz powoływania się na nie istniejące i w związku z tym dające się dowolnie interpretować dane, mają jedynych, obiektywnych i podlegających weryfikacji świadków. Są to filmy. Tylko one — ich poziom artystyczny i wartości poznawcze oraz społeczne — powinny ostatecznie przesądzić o dalszym przebiegu wypadków. Podczas posiedzeń Główniej Komisji Selekcyjnej, w sali projekcyjnej PDF przy Mazowieckiej, w salach Telewizji przy Jana Pawła Woronicza i

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,

32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz

Włodkowski.

Zastępca redaktora

naczelnego: Edmund

Lewandowski.

Sekretarz redakcji:

Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu

literackiego: Henryk

Pustkowski.

Redaktor techniczny:

Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,

Dariusz Dorczyński,

Andrzej Gębarowski,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Marek

Koprowski, Jerzy

Kwieciński, Bogda Madej,

Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,

Marian Zdrojewski.

Grafik: Janusz

Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz

Galasiński.

Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Białejewski,

Marek Brzeziński (Londyn),

Bohdan Gadomski,

Grzegorz Gazda, Andrzej

Karolczak, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej

Kempa, Wasyl

Kocznów (Iwanowo),

Włodzimierz Krzemieński,

Zenon J. Michalski,

Ryszard Nakonieczny,

Adam Ochocki, Jerzy

Panasiewicz, Karol J.

Stryjski, Maciej Świerkocki

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-

two Prasowe RSW „Prasa-

-Książka-Ruch” 91-103 Łódź,

ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-

ficzne RSW „Prasa — Książka

— Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-

woniej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-

mówionych rękopisów i zastrze-

ga sobie prawo do skrótów. Za

treść ogłoszeń redakcja nie od-

powiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla

instytucji i zakładów pracy —

zlokalizowane w miastach woj-

ewódzkich i pozostałych miastach

w których znajdują się siedziby

Oddziałów RSW „Prasa —

Książka — Ruch” zamawiają

prenumeratę w tych oddziałach

— instytucje i zakłady pracy

zlokalizowane w miejscowościach

gdzie nie ma Oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” o-

placają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 2.

Dla indywidualnych prenumera-

torów — osoby fizyczne zamiesz-

kałe na wsi i w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” o-

placają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 3.

Dla indywidualnych prenumera-

torów — osoby fizyczne zamiesz-

kałe na wsi i w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

Przegląd prasy

Niebanalne wypowiedzi na temat teraźniejszości i przyszłości socjalizmu warto przeczytać w najnowszym „MIESIĘCZNIKU LITERACKIM” (nr 4). W dyskusji redakcyjnej udział wzięli: Mariusz Gulczyński, Bogusław Jasiński, Bronisław Minc, Bogdan Owczarek, Włodzimierz Sokorski, Adam Schaff i Andrzej Werblan.

Adam Schaff przewiduje, że za dwadzieścia, trzydzieści lat będzie już inny świat i inny typ socjalizmu. Rozwój społeczny zmierza w kierunku postępowym. Nastąpią ogromne zmiany — zniknie tradycyjna praca zarobkowa i klasa robotnicza. Sprawdzi się przepowiednia Marksa z połowy XIX wieku.

„Stoimy obecnie na początku zmiany cywilizacji. Otóż jeśli my, jako marksiści, tego nie rozumiemy, to nie jesteśmy nie wari. A może rozumiemy i strasznie się tego boimy? Nasze dzieci będą już żyły w tym nowym świecie. Nie możemy powiedzieć, że to nas nie obchodzi. Jaki to będzie świat? Sądzę, że w krajach najbardziej rozwiniętych, obecnie kapitalistycznych, rozwinię się nowa forma kolektywistycznej gospodarki. Będzie to jakaś forma socjalizmu. Jaka? Nie wiemy. Trzeba to studiować i nie bać się wyciągać wniosków”.

W wielu wcześniejszych wypowiedziach Adam Schaff podkreślał, że powstanie socjalizmu w krajach gospodarczo zaoczonych było błędem. Z tego ta kategorię nie zgadza się Mariusz Gulczyński. Jego zdaniem, socjalizm w poprzedniej formie był koniecznością, ponieważ nie wszystkim narodom służył program kapitalistyczny. Niektóre narody po prostu przegrywały w kapitalizmie i dlatego zyskiwały wśród nich popularność idee socjalistyczne. Ustrój socjalistyczny w pewnym okresie był ewidentnie skuteczny. Teraz jednak system ten przeżywa bezwzględny kryzys.

„Rozwijając przyczyny tego zalamania, chciałem zwrócić uwagę na jedno, spośród wielu innych, które już były dostrzeżone, przeoczane zjawisko. Mianowicie na to, co wynika z faktu, że ten socjalizm powstał w krajach wiejsko-malomiasteczkowych, bez silnej burżuazji i klasy robotniczej, bez tradycji pracy przemysłowej. I bez inteligencji określonego typu, to znaczy takiej, w której dominuje nie inteligencja typu humanistycznego, a typu menedżerskiego i ekonomicznego. To spowodowało, że przystąpiła do industrializacji, przyspieszona industrializacja, wciągnęła w olbrzymi bieg awansu industrializacyjnego — właśnie masy malomiasteczkowo-wiejskie. Głównie chłopskie, ośmiemiole, bezradne, przeżarte tym awansem. W związku z tym one nie tylko przegrały, ale i niejako wymuszały opiekę i charakterystyczny, oddawały swoją siłę roboczą, swoją pracę w zamian za to, że to państwo, które daje pracę, stwarza i daje także wszystkie inne rzeczy, bierze na siebie całą odpowiedzialność za rozwój, za planowanie, za regulowanie stosunków, za byt nie tylko ogólnospołeczny, ale i każdej rodziny. I ten kształt socjalizmu — nakazowo-rozdzielczy, opiekuńczy, przeżywa współcześnie kryzys”.

W przyszłości socjalizm będzie nadal potrzebny, ale jakoś inaczej. Musimy na nowo zdefiniować cele postępu. Trzeba rozstać się z mitem, że produkcja będzie wciąż rosła. Patrząc na kraje najwyżej rozwinięte, nie wolno zapominać o reszcie ludzkości, która stanowi większość. Należy pamiętać o barierze surowcowo-ekologicznej.

Z kolei Andrzej Werblan powtórzył tezę, którą głosi od paru lat, że system stalinowski nie był błędem czy odstępstwem od zasad. W określonych warunkach był koniecznością.

„Stalinizm uważam za zjawisko w pewnym sensie nieuchronne, spowodowane głębokimi przyczynami, a prymitywny, okrutny etap rozwojowy socjalizmu został wywołany głównie zacofaniem krajów, w których zwyciężyła rewolucja.

Oczywiście nie sądzę, aby wszystko, co się wydarzyło, było nieodwołalne. Represje lat trzydziestych, inne ekscesy stalinizmu, były chyba do uniknięcia, nie wszędzie zjawiska wystąpiły w takiej skali. Natomiast skrajnie scentralizowany, nakazowy, przypominający nieco feudalizm sposób gospodarowania, gwałcący prawa ekonomiczne, dający przewagę subiektywnym czynnikom nad obiektywnymi, i monocentryczny, autorytarny sposób rządzenia — te dwa związane ze sobą zjawiska były w istocie rzeczy koniecznym etapem socjalizmu. (...) Ten prymitywny etap rozwoju socjalizmu jednakże miał wielkie osiągnięcia historyczne. Dlatego wszędzie zaistniał, że okazał się dość skutecznym narzędziem historii w zrealizowaniu kilku zadań i aspiracji milionowych mas. Od lat co najmniej piętnastu są wyraźne objawy niewydolności tego systemu. Stał się anachronizmem, w tym źródło siły tego procesu reformatorskiego, jakiego jesteśmy świadkami”.

DOKĄD ZMIERZAMY?

Bogusław Jasiński uważa, że z obecną formą socjalizmu nie identyfikuje się całkowicie żadna grupa społeczna. Nie wiadomo, komu ten ustrój w ogóle ma służyć? Czyje interesy wyraża? Nie wiemy już, czym socjalizm naprawdę jest. Idea socjalizmu przestaje być wiarygodna.

„Otóż, proszę panów, ja się wychowałem w takiej dziwnej rzeczywistości, w której elementem ją konstytuującym był brak. Nie coś, co jest, ale właśnie to, czego nie ma. Brak kłębów, brak sznurówadeł, brak papieru toaletowego, majtek, podpasiek higienicznych, leków itd.

Ale również w sferze idealno-rzeczywistości tej konstytuowało coś, czego także nie było: wizja przyszłego stanu powstającego społeczeństwa. I to rzeczywiście nie mieści się w logiczne myślenie, które można się było nauczyć czytając klasyków naszej filozofii. Nasz socjalizm wywodzi się z europejskiego paradygmatu racjonalności.

W takim razie pytamy — na czym to się trzymało? Na BRAKU? Czyli na tym, co nie istnieje? W związku z powyższym postawić możemy tezę, że elementem konstytuującym ten ład społeczny było nie to, co jest, lecz przede wszystkim to, co ma być. Proszę zauważyć, jaki rzeczywistości ironicznie paradoksalny wydźwięk mają te słowa! Określamy bez reszty to, co jest, na podstawie tego, co ma być”.

Istnieje powszechne przekonanie, że dotychczasowy system musi ulec zmianie. Ale trzeba sobie zadać pytanie, czy reformy prowadzą we właściwym kierunku? Czy nie wpadniemy z deszczu pod rynek? Bronisław Minc kwestionuje zasadność dwu podstawowych dążeń: do równowagi gospodarczej i do samoregulacji przez rynek. W rzeczy „istotności” bowiem nie istnieje powszechna i efektywna konkurencja. Wiele przedsiębiorstw ma pozycje monopolistyczne. W dodatku nie opłaca im się obniżać kosztów produkcji.

„W tym stanie rzeczy przyznaję przedsiębiorstwu uprawnienie do ustalania cen umownych, a w praktyce jednostronne przez nie wyznaczenie, prowadzi do * ustalenia nie cen równowagi, ale cen monopolowych, możliwie jak najbardziej drenujących rynek. Sprzyja to oczywiście inflacji.

Kraje, które wkroczyły na drogę reform typu „rynkowego”, okazały się niezdolne do powstrzymania czy wydatnego ograniczenia inflacji. W reformach nie ma bowiem mechanizmu dostosowującego wzrost nominalnych płac do wzrostu wydajności pracy. „Równowagę” usiłuje się osiągnąć poprzez podwyżki cen. W praktyce prowadzi to jednak do wzrostu płac i kosztów i rozkręcania spirali inflacyjnej”.

W pierwszym kwartale tego roku nastąpiło pogorszenie sytuacji pieniężno-rynkowej. Przyczyny pieniężne: ludność wzrosła o 60 proc., ceny o 45,1 proc., wydatki o 52,9 proc., a dostawy towarów na rynek o 53,9 proc. Poglębia się nierównowaga na rynku artykułów niezbędnych. W porównaniu z analogicznym okresem 1987 r. dostawy telewizorów były mniejsze o 25,5 proc., tkanin bawełnianych o 19,5 proc., białej bielizny o 19,5 proc., wyrobów dziewiar-

skich o 12,4 proc., okryć z tkanin o 10,6 proc. oraz samochodów osobowych, maszyn do szycia itp.

Ciekawy materiał na temat kształtowania się dochodów, cen i płac w pierwszym kwartale br. opublikował tygodnik „ZWIAZKOWIEC” (nr 23). Jest to omówienie raportu Zakładu Analityczno-Badawczego Centrum Studiów Związków Zawodowych. Czytamy w nim między innymi:

„Dziwny to zaiste mamy mechanizm. Bo oto spadają dostawy, a w I kwartale notujemy szybki wzrost środków finansowych niektórych przedsiębiorstw. Właśnie nieproporcjonalny do wzrostu produkcji. A więc manipulacja cenami, co osłabia zainteresowanie przedsiębiorstw powiększaniem produkcji, skutecznie stępując rygoru ekonomiczne reformy, wywołując nieuzasadnione dysproporcje płacowe”.

Przeciętne wynagrodzenie miesięczne (bez wypłat z zysku) wyniosło 37,347 zł i było wyższe o 45,9 proc. niż przed rokiem. Wypłaty z zysku i nadwyżek bilansowych w pierwszym kwartale były aż 5,4 raza wyższe niż w roku ubiegłym. Ale szybko teśły ceny i koszty utrzymania.

„Szczególnie wysoko w górę szły ceny żywności — o 46,1 proc., ale już w samym marcu o 57,7 proc. Jeszcze wyżej poszły ceny żywności na targowiskach — o 66,2 proc. w I kw., a w tym w marcu o 76,2 proc., a najwyraźniej — wzrost cen owoców — wzrosły one o 406 proc., w porównaniu z I kw. ub. r. Trzeba także przypomnieć, że zanotowano bardzo wysokie wzrosty cen usług: czynsz, centralne ogrzewanie, przejazd, transport, usługi pocztowe i telekomunikacyjne”.

Nie dziwnego, że reforma gospodarcza kojarzy się przede wszystkim z ruchem cen i ogromną inflacją. Być może dlatego nie spowodowała wzmocnionej aktywności społecznej. Zupenie inaczej, jak dotąd, przebiega pierestrojka w Związku Radzieckim. Opowiada o niej w „TYGODNIKU KULTURALNYM” (nr 24) socjolog radziecki Jurij Lewada, z którym rozmawiała Elżbieta Sadowska.

NARÓD PODNIÓSŁ GŁOWĘ

Przed konferencją partyjną KPZR wielką aktywność przejawiają również ludzie, którzy nigdy nie byli związani z partią. Działają rozmaite grupy nieformalne, odbywają się wolne zgromadzenia, mityngi, pochody uliczne. Ludzie pragną chleba i wolności. Niektórzy bardziej interesują się sprawą demokracji i wolności słowa niż tym, czy będą mieli co jeść. Jednakże do tej p. w nie umocniono głośno żadnym aktem prawnym. Istnieją obawy, że zmiany w kierownictwie mogą doprowadzić do zniesienia jawności i demokracji.

Podobnie jak w Polsce, trwa ją w ZSRR dyskusja na temat istoty socjalizmu. Na wiele pytań nie ma jednoznacznych odpowiedzi. Nie to zresztą jest najważniejsze.

„Istota sprawy zawiera się w czymś innym. W tym, aby społeczeństwo nasze wyrwać z bierności, ze skostnienia i pchnąć do przodu. Droga, po której należy iść, jest nam mniej więcej znana. To konieczność pluralistycznej ekonomii z różnymi formami własności i demokratycznego państwa z szerokim rozwojem przedstawicielskich organizacji, w których uczestniczyć będzie całe społeczeństwo. My wreszcie musimy przejść szkołę demokracji, którą znaczna część ludzkości przeszła już dawno. A co z powstających struktur nazwimy socjalizmem, co zaś nie-socjalizmem — rozstrzygniemy później”.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Po jednej stronie

Jestem święcie przekonany, że na nic się nie zda mówienie o narodowym porozumieniu i pojednaniu, odwoływanie się do wielce skądinąd ugodowego hasła „kto nie przeciw nam, ten z nami”, jak długo w społeczeństwie nie zapanuje rzeczowe zainteresowanie cudzymi poglądami i życzliwość wobec nich wyrozumiałość, jeśli tylko mieszczą się one w obywatelskiej i humanistycznej formule. Mam tu na myśli, że np. faszyzm — niemiecki, włoski, hiszpański — czy jakikolwiek inny w tej formule się nie mieści, i w ogóle nie zasługuje na miano światopoglądu, stanowi bowiem, jak się o tym przekonał w czasie wojny, potencjalnie ludobójstwo.

Nasze dzisiejsze spory i napięcia ideowe nie są może aż tak silnie spolaryzowane, jak były w świecie dawniej, kiedy na jednym skrajnym biegunie lokowali się zwolennicy komunizmu, a na drugim, jako ich główni przeciwnicy, wyznawcy faszyzmu. Myślę, że przynajmniej od kilku lat w Polsce podzielił się stopniowo coraz mniej nasycone ideologia, ustępując miejsca postawom pragmatycznym, większość bowiem społeczeństwa gotowa byłaby pójść za każdym, komu potrafiłaby jeszcze uwierzyć, że zapewni osiągnięcie ogólnego dobrobytu i zachowanie osobistych swobód.

Czy to dobrze, czy źle, że jeśli się nie myli, opada temperatura ideowa? O tyle dobrze, że sprzyja to zachowaniu względnego pokój społeczny, o tyle natomiast źle, że z ludzi zobojętniałych trudno wykręcić zapał do pracy. Ale przecież reforma gospodarcza ma odwoływać się nie do emocji, lecz do zrozumienia przez ludzi pracy ich własnego interesu...

Jednym słowem na podstawie swoich osobistych sondaży, które wprowadziłem nie pretendując do naukowości, ale za to biorąc pod uwagę pewne stany i nastroje, w ankietach z reguły niedopowiadane, są jednak ważkie jako składnik ogólnego klimatu, innymi słowy imponderabilia. Otóż na podstawie tych moich sondaży dochodzę do wniosku, że z roku na rok łopnieją szeregi tych, co w swoim nastawieniu antyrządowym tak się zacietrzewiają, iż stają się „impregnowani” na jakikolwiek pozytywne czyny i argumenty, na tzw. przyjazne gesty strony rządowej. Myślę więc, że niedostatek czynnego poparcia dla rządowych poczynań bierze się stąd, iż wielu ludzi po prostu nie dowierza, że tym razem władzy uda się zrealizować program naprawy Rzeczypospolitej. Owszem, życzę władzom gospodarczego sukcesu, nie wyobrażając sobie przy tym, iż jest on nieosiągalny, jeśli nie przyleża doń reki.

Byłbym stanowczo za tym, żeby główna linia podziału w społeczeństwie widzieć nie w sferze różnic ideologicznych, lecz ogólnie moralnych i obywatelskich. Jeśli np. księży z troską i niepokojem występują publicznie, np. za pośrednictwem telewizji, w sprawie naszej najnowszej emigracji, apelując do jej rozumu i sumienia, to przecież owi duchowni, jak i solidaryzujący się z nimi ludzie wierzący, znajdują się po tej samej stronie linii podziału, co i siły prosocjalistyczne. Jeśli na łamach jednego z katolickich czasopism wypowiada się katecheta, która ubolewa nad spływaniem się postaw religijno-moralnych katechizowanej młodzieży, a także nad objawami zubożenia ideowo-moralnego, (w tym przypadku religijnego) sporej części katolickich wychowanków, to i tę sytuację nie sposób ocenić inaczej, jako wyraz podobnych trosk moralnych i obywatelskich po obu stronach tradycyjnych linii podziału.

No, ale z tego wynika, że są to podziały coraz mniej istotne, coraz bardziej dezaktualizujące się wobec nadrzędnych niebezpieczeństw i zadań. Jak jednak obserwuję, właśnie oferta publicznego współdziałania wierzących i niewierzących oraz ludzi różnych światopoglądów, wysuwana nie od dziś przez koła rządzące, cieszy się autentycznym wewnętrznym poparciem wśród ludzi o orientacji prosocjalistycznej, i z ich strony gest wyciągniętej ręki jest szczery, wolny od jakichkolwiek tajnych zamiarów i podstępów.

Ale spotykam się też, nierzadko, nie tylko z nieufnością, ale i z fanatyczną niechęcią tych wierzących, którzy nie ukrywają nawet, że nie poczuwają się do żadnego obowiązku wewnętrznej lojalności wobec ludzi po drugiej stronie „barykady”, przy którym to wolentwicznym pojęciu tylko o tym z uporem obstają.

Myślę jednak, a może się łudzę, że i te szeregi stopniowo topnieją, i coraz więcej ludzi będzie się jednak spotykać przy wspólnych działaniach, służących ogólnemu, przy czym wybory do rad są tylko jednym z nich. Nie pierwszym i nie ostatnim współdziałaniem czy to wybieranych, czy wybierających — bez względu na ich światopogląd.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— Kolejny odcinek wspomnień generała ALEKSANDRA GORBATOWA, który od lipca 1939 r. do sierpnia 1940 r. przebywał w obozach pracy koło Magadanu.

— Zanim powstało miasto Zgierz, musiało się coś spalić, albowiem jak twierdzą językoznawcy, nazwa wywodzi się od rdzenia „gor”. Archeolodzy uznają, że gród istniał co najmniej od ośmiu wieków. Dokumentów nadania praw miejskich nie ma, lecz najnowsze badania historyków wykazują, że Zgierz był już miastem w 1288 roku — początek współczesnego reportażu RYSZARDA BINKOWSKIEGO.

— Jedną z najmniej znanych historykom formacji wojskowych II wojny światowej były do niedawna niemieckie bataliony oznaczone zagadkową liczbą „999” — opracowanie JERZEGO KWIECIŃSKIEGO pt. „Mieli wykonywać najniebezpieczniejsze zadania”.

— Iwan Lendl (pierwszy tenisista świata) nie ma zamiaru mieszkać w wiosce olimpijskiej. Podobnie zresztą Ben Johnson (kanadyjska gwiazda biegu na 100 km). Natomiast Rosjanie zdecydowali się zamieszkać z przedstawicielami reszty świata. Zapowiada się atrakcyjna i bezpieczna olimpiada — pisze JOHN MCBETHA.

— Razem ze stu sześćdziesięcioma tysiącami Żydów łódzkich zamknięty zostali na drutami getta. Mieścilo się ono na terenie Bałut. Panowały tu straszliwe warunki mieszkaniowe i sanitarne, które trudno sobie dzisiaj wyobrazić — opowiada ARNOLD MOSTOWICZ.

— W dniu wyjścia ludności 7 października 1944 r. miałem już upatrzoną kryjówkę. Zdecydowałem się na nią wraz z młodym Polakiem, inwalidą z powstania, który miał zamiar pozostać w Warszawie razem ze swoją narzeczoną. Ona jednak stanowczo odmówiła i oboje wyszli z Warszawy. Ukrywałem się więc z dwiema kobietami w zburzonym domu obok kościoła przy placu Grzybowskim — wspomnienia ożłowieka, który ukrywał się w gruzach Warszawy.

Miałam chyba trochę racji, że konsultowanie kandydatów na radnych nie wszędzie wypaliło. Sąd późniejsze żale, pretensje i zastrzeżenia. Wojewódzkie Kolegium Wyborcze w Łodzi dokonało pewnych zmian. Uwzględniono między innymi zastrzeżenia i uwagi Rady Okręgowej ZSP w Łodzi, Zarządu Łódzkiego TKKS i WPZZ. Wprowadzono zmiany na listach wyborczych do RN miasta Łodzi w poszczególnych mandatach w Okręgach Wyborczych nr 2, 3, 4, 18 i 20. Mam pewność, że chętnie przeprowadzono by takie zmiany i w innych okręgach, ale nie dopełniono niezbędnych formalności. Artykuł 50, ustęp 2 „Ordynacji wyborczej do rad narodowych” mówi wyraźnie: „Zgromadzeni na zebraniu przedwyborczym wyborcy mogą zgłaszać opinie i uwagi dotyczące przedstawianych kandydatów, a także składać wnioski o wycofanie określonej kandydatury i przedstawienie przez kolegium wyborcze innego kandydata.”

Ogólnokrajowym Kolegium Wyborczym. Kto z członków Ogólnokrajowego Kolegium Wyborczego zna tak dobrze sprawy w różnych, często małych miejscowościach kraju, jak mogą i powinny je znać wojewódzkie kolegia wyborcze? Ale one mogą decydować tylko o zmianach na listach wojewódzkich. Jest to wyraźna luka i trzeba — w oparciu o doświadczenia tych wyborów — postarać się o jej eliminację.

Nie można przecież zakładać z góry, że zgłoszono najlepszych ludzi.

Obserwując kandydatów na radnych różnych szczebli mam co do tego różne wątpliwości. Na przykład jedna kandydatka w połowie kampanii wyborczej udała się za granicę. Nie dała więc możliwości swoim przyszłym wyborcom należytego poznania siebie, swoich poglądów, programu, zamierzeń, zainteresowań. Wielu kandydatów było nieobecnych na ze-

Wątpliwości budzi też wiek niektórych kandydatów. Czy najzdolniejszy nawet uczeń liceum lub technikum może sprostać obowiązkom radnego? Czy nie lepiej jednak będzie dla niego i dla nas, jeśli pomyśli o dalszym wykształceniu? Co innego studenci. Ci już powinni poznawać prawdziwe życie. Chodząc po zebraniach przyglądałam się kandydatom. Jacy są? Czy budzą zaufanie?

Kogo wybrać?

W prezentacji kandydatów obowiązują schematy. Każdy na ogół wypowiada się, czym się zajmie, jeśli go wybiorą. Jedni będą usprawniać działalność pocztową, inni handlu, inni służby zdrowia, oświaty, komunikacji i tak dalej. Wachlarz tych problemów był w zapowiedziach przyszłych radnych szeroki i różnorodny. Ale w gruncie rzeczy były to deklaracje bez pokrycia.

W tym wieku, bo prowizorki są najtrwalsze, a jego mieszkanie „przez nieuwagę” przydzielono komu innemu.

Był też i taki kandydat na radnego, który domagał się zakładowania w blokach świetlik dla młodzieży i dzieci. Tylko, że czas świetlic dawno już minął. Dziś trzeba szukać nowych form. Ot, choćby takich, na jakie porywają się na warszawskim Ursynowie. Dlaczego my nie możemy wyjść poza schemat świetlicy i nie deptać trawnika?

Gdy słuchałam przyszłych radnych, jak to zamierzają usprawniać różne dziedziny życia, przypominałam sobie, że poprzednio też tak obiecywano i nie na wiele to się nam zdało. Pomyślałam też, że gdybym tak ja, na ten przykład, zechciała coś usprawnić w długim cyklu wydawania gazety, od drukarni począwszy, a na kolportażu skończywszy, to sukcesu bym nie odniosła. Nie mam bowiem żadnego wpływu na cenę farby, papieru, jakości druku, na czas otwierania kiosków RUCH, na transport gazet i ich cenę. Jedno co mogę, to więcej i ciekawiej pisać. Ale żeby to robić, nie trzeba wcale być radnym. Tak więc te wszystkie deklaracje o naprawie różnych dziedzin życia od dawna fatalnie funkcjonujących wynikają — jak mi się wydaje — ze słabego rozczarowania przyszłych radnych w zawiłościach i współzależnościach życia społecznego, gospodarczego, kulturalnego.

Spodobała mi się natomiast szczera wypowiedź jednego z kandydatów do wojewódzkiej rady narodowej, który uczciwie przyznał, że kandyduje, bo wie, iż nieobecni przegrywają, a on chce spróbować, może uda mu się coś zyskać dla dziedziny, którą prezentuje. Wie bowiem, że stosunek możliwości do potrzeb kształtuje się jak 1 do 5. Nieobecni przegrają. Więc on chce spróbować wygrać, a do tego potrzeba jest jego obecności. Nie będzie obiecywać, ale chce współdecydować. I słusznie!

Kto będzie wybierał?

Czyli inaczej — jacy jesteśmy my, wyborcy? Najprościej byłoby powiedzieć: różni, ale to niczego nie wyjaśnia. Czy bardzo interesowaliśmy się przygotowaniem do wyborów? Jeśli sędzić po frekwencji — to nie. Ale ludzie stykają się z problematyką wyborczą w radiu, telewizji, w gazetach. Frekwencja na zebraniach wszystkich nie wyjaśnia.

O czym mówiono? Narzekano na brud i niedbałość. Ktoś wołał dramatycznym głosem, że zasmiecone ulice ze śmieszakami pojeżdżają na śmieci — to skandal! Mówiono o potrzebie większych i skuteczniejszych działań dla ochrony przyrody. Zdezwastowane parki — to też skandal! Często powtarzała się sprawa opieki nad dziećmi upośledzonymi. Widać było, że ludzie, którym problem ten leży na sercu, potrafili i chcieli być obecni, aby walczyć o te dzieci. Była poza tym cała masa spraw drobnych, że gdzieś sklep ciagle zamknięty, że rynek cieknie i nikt się nie interesuje, że... i tak dalej. Z takiego potoku skarg jaskrawo wyłania się niewydolność i nieudolność administracji różnego szczebla. Notowano to wszystko skrzętnie, aby coś zarządzić. Ale administracja powinna o tym wszystkim wiedzieć bez okazji kampanii wyborów do rad narodowych.

Jestem bardzo ciekawa, co myślą ludzie, którzy na zebraniach nie przychodzili, do redakcji gazet, telewizji czy radia nie dzwonili, listów nie pisali. Czy zdają sobie sprawę z tego, że ich nieobecność — jeśli takową sobie założyli — będzie powodem przegranej jakiejś — być może — drobnej, a być może dużej sprawy. I to wcale nie jest demagogiczny chwyt. Dyżurni przy redakcyjnym telefonie. I mam okazję czasem posłuchać właśnie narzekania ludzi, którzy gdzieś byli nieobecni, czegoś nie dopilnowali a potem mają pretensje. Często reagują oni w sposób infantylny: obrażają się na kogoś, na coś, za coś i na dowód tego nie pójdą wybierać. Można powiedzieć: — to ich sprawa. Ale przecież tak nie jest. Nieobecni przegrywają i przyczyniają się do przegranej innych. Pamiętajmy o tym 19 czerwca, w dniu wyborów.

Z tej ziemi

Jak pisać skargi?

Ludzie pisują skargi, zażalenia, proszą o interwencję i pomoc, bo czują się skrzywdzeni. Miało być idealnie, a jest tak daleko do idealu, że niekiedy zaczyna się wątpić, czy ten ideał jest w ogóle możliwy. Najwięcej ludzi skarżą się na pracę administracji szeroko pojętej. Administracja bowiem ma pomagać ludziom, dba głównie o własną wygodę. Oto klasyczny przykład tego.

W szarej kopercie, która przyszła do mnie adresowana był nieduży 60-kartkowy zeszyt w linie o szarozielonej okładce. Na tej okładce napisano: „Szczera prawda”. Pomyślałam, że to zapewne kolejna próba literacka i nie do mnie powinna być adresowana. W zeszytce, który teraz miał już tylko 30 kartek, gdy resztę wyrwałam, na takiej wyrwanej kartce był list.

„Uprzejmie proszę o dokładne przeczytanie załączonego dokumentu i zwrot rękopisu na mój adres. Błagam na kolanach nie pisać: „Przekazano do...”

Za dokładne przeczytanie dziękuję z całego serca”.

I podpis: Aurelia J.

Przeczytałam ów „dokument” napisany na 26 kartkach czyli 52 stronach. Jest to minipowieść na temat pracy administracji osiedla należącego do Spółdzielni Mieszkaniowej „Teofilów”. Bohaterami tej powieści są ludzie, którzy nie potrafią i nie chcą pomóc schorowanej kobiecie. Mają jej już serdecznie dość — jej i jej kłopotów oraz tego, że chciałyby interweniować za wszystkich. Jest to powieść monotonna, nudna w zasadzie i trzeba dużego samozaparcia, aby ją do końca przeczytać, bo choć na jej kartkach wiele się dzieje, to stan faktyczny na jej początku i końcu jest taki sam. Wszakże owa nudna minipowieść nasunęła mi pewne refleksje.

Wydało mi się, że system załatwiania skarg skostniał nam do takiego stopnia, że przestał być skuteczny. Rozumiem, że autorzy skarg, ciagle wracający ze swoimi drobnymi niekiedy sprawami, mogą być uciążliwi. Najprościej przecież skarżyć sprawę do instytucji, na którą obywatel skarży się i niech się oni tłumaczą. Rzecz jednak w tym, że taka instytucja zawsze się wybroni, a obywatel pozostanie ze swoimi drobnymi sprawami, które dla niego mogą być — i często są — najważniejsze i największe. Wszelkie formalności niby jest w porządku, a przecież skutków takiego trybu załatwiania skarg zupełnie nie widać.

Mamy tyle różnych instytucji i organów kontrolnych, czy nie należałoby ich właśnie zatrudniać przy rozpatrywaniu różnych skarg? Czasem trzeba bowiem wysłuchać zainteresowanej strony i użyć przymusu w załatwieniu skargi, aby obywatel nie musiał pisać do następnej instytucji. Bo kiedy w jednej mu nie załatwią jego sprawy, to — co jest przecież naturalne — szuka sprawiedliwości w innej. Aurelia J. z ulicy Traktorowej w Łodzi pisała już do KC PZPR, do Sejmu PRL i do NIK. A przecież jej sprawę powinno się załatwić w administracji osiedla SM „Teofilów”. Dla obywatela jego sprawa jest najważniejsza. Dla urzędu może to być uciążliwy drobiazg. Czasem potrzeba odrobiny dobrej woli, aby ten drobiazg załatwić. Ale właśnie komuś tej odrobiny dobrej woli zabrakło. Miał ważniejsze sprawy na głowie: z żoną rano się pokłócił, dziecko w przedszkolu narozrabiało, narzeczona się puściła, albo ma gdzieś łazi po nocy i rano była dramatyczna rozmowa, która się nie skończyła. Petent wraca do domu zawiedzony, siada więc i pisze skargę. Jego zdaniem wszystkie instytucje, urzędy, organizacje w PRL, jak też wszyscy ludzie zajmujący różne funkcje, są powołani tylko i wyłącznie dla niesienia mu pomocy i rozwiązywania jego kłopotów. W końcu mamy ustrój sprawiedliwości społecznej, niech więc dzieje się ta sprawiedliwość. Wszyscy są przecież równi wobec prawa!

Aurelia J. pisze z żalem: „Dnia 11 listopada 1987 roku wysłano do KC PZPR, do Sejmu PRL i do NIK. A przecież jej sprawę powinno się załatwić w administracji osiedla SM „Teofilów”. Dla obywatela jego sprawa jest najważniejsza. Dla urzędu może to być uciążliwy drobiazg. Czasem potrzeba odrobiny dobrej woli, aby ten drobiazg załatwić. Ale właśnie komuś tej odrobiny dobrej woli zabrakło. Miał ważniejsze sprawy na głowie: z żoną rano się pokłócił, dziecko w przedszkolu narozrabiało, narzeczona się puściła, albo ma gdzieś łazi po nocy i rano była dramatyczna rozmowa, która się nie skończyła. Petent wraca do domu zawiedzony, siada więc i pisze skargę. Jego zdaniem wszystkie instytucje, urzędy, organizacje w PRL, jak też wszyscy ludzie zajmujący różne funkcje, są powołani tylko i wyłącznie dla niesienia mu pomocy i rozwiązywania jego kłopotów. W końcu mamy ustrój sprawiedliwości społecznej, niech więc dzieje się ta sprawiedliwość. Wszyscy są przecież równi wobec prawa!”

O co właściwie chodzi Aurelii J.? I tu zaczyna się współczesna tragedia. Jej chodzi o ryzację rury w jej mieszkaniu na piątym piętrze wieżowca, i o dwa dodatkowe żeberka w grzejniku c.o. Jest to jeden z pierwszych wieżowców na osiedlu Teofilów. Projektant tak rozwiązał tam sieć wodociągów i kanalizacji, że na piątym piętrze w mieszkaniach są węzły tej sieci. Przed 17 laty, gdy Aurelia J. dostawała to mieszkanie ona sama była dużym młodszą, zdrową, a rury były nowe. Po 17 latach wszystko zmieniło się na gorsze. Takie jest życie. W rurach huczy, ryczy, syczy. Skrapla się na nich woda. Aurelia J. cierpi na bóle głowy i to syczenie, huczenie i ryczenie przeszkadza jej. A nawet gdyby była tak zdrowa, jak przed 17 laty, to ma prawo do spokoju w swoim mieszkaniu i spółdzielnia musi jej to zagwarantować. Ale wiadomo, jak to jest z administracją czy to osiedla spółdzielczego, czy ROM. Są to najsłabsze ognie naszej administracji w ogóle. Nie przeczę, że przychodzi im pracować w bardzo trudnych warunkach, przy kolosalnych brakach, ale też można wspólnym wysiłkiem — mając na uwadze przede wszystkim dobro mieszkańców — braki te usuwać, a trudności przełamywać. Czasem wystarczy tylko chęć, a czasem tylko pomysły. W administracji pracują ludzie i ludzie, jak to ludzie, gdy im taka Aurelia J. zajdzie za skórę, zrobią wszystko, aby jej się odplacić tym samym. W dodatku jeszcze Aurelia J. pisuje gdzie może skargi. Te skargi wracają do nich i to jeszcze zagnia sytuację. Czy z tego wynika, że nie należy skarg pisać?

Pozostawiam to do uznania każdego z Czytelników. Nie jestem wszakże zwolennikiem załatwiania spraw prostych czy skomplikowanych przy pomocy skarg. Skargami rzeczywistość się nie zmienia. Zródel zła trzeba szukać zupełnie gdzie indziej. Trzeba przede wszystkim przeanalizować mechanizmy napędzające różne instytucje, systemy ich kontroli, kadry wreszcie tam zatrudnione, czyli uważnie przyjrzeć się ludziom i ich kwalifikacjom. Miasto jest bardzo złożonym i skomplikowanym organizmem i rada narodowa, która właśnie będziemy wybierać, powinna czuć nad tym, aby całość tego organizmu sprawnie funkcjonowała, a ludziami przemyślnie żyło się w mieście jako całości i w jego poszczególnych częściach. Tego powinniśmy oczekiwać od rady narodowej, a nie tego, że znajmie się jakimś drobiazgiem.

A teraz, jak pisać skargi? Otóż dużym błędem Aurelii J. jest to, że swoje skargi pisze nieczym minipowieścią o niby barwnej akcji, która w rzeczywistości jest nudna i ciagle się powtarza. Takiej skargi nikt do końca nie przeczyta — musiałem to zrobić, ale nie należało do przyjemności — i każdy chętnie gdzieś ją odesła, aby tylko „mieć sprawę z głowy”. Takie „kobyliste” skargi są nieskuteczne.

Skarga powinna być krótka, zwięzła, właściwie zaadresowana, dotyczyć istoty sprawy. Nie należy przy okazji zwierzać się z pretensji, jakie autor skargi ma do telewizji, handlu, prezidenta miasta czy naczelnika, rady narodowej, Sejmu PRL, ustroju, socjalizmu i Pana Boga oraz wszystkich świętych. Bo to nie ma nic do rzeczy. Sprawa ryczących rur i dwóch żeberek od kaloryfera dotyczy tylko i wyłącznie SM „Teofilów” i nikogo więcej.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Ostatnia runda

Nieobecni przegrywają

BOGDA MADEJ



Opinie i uwagi nie muszą być konieczne krytyczne. Zawarte w nich wątpliwości mogą być rozwiane, wyjaśnione. Natomiast uwagi krytyczne pod adresem kandydata na radnego muszą być ujęte we wnioski, aby można było wprowadzić zmiany w składzie kandydatów.

Co dalej dzieje się z takim wnioskiem wyjaśnia Artykuł 50, ustęp 3:

„Wniosek, o którym mowa w ust. 2 uchwała się w głosowaniu jawnym, większością głosów.”

Czy takich wniosków nie sformułowano, a miano zastrzeżenia pod adresem kandydatów na radnych, gdzie wniosków nie głosowano, tam wyborcy powinni mieć przede wszystkim pretensje do siebie. Czasami jednak błędy popełniał prowadzący zebranie. Nie dopuszczali do głosowania, nie domagali się wyraźnego sformułowania wniosków, nie wykazywali... dostatecznej znajomości „Ordynacji wyborczej do rad narodowych”.

Gdy piszę ten tekst, kończy się kampania wyborcza i czas na podsumowanie i wnioski.

Demokracja jest trudną sztuką rządzenia, trzeba się bowiem liczyć z opinią społeczną. Nie wszędzie tę sztukę widzą posiedli działacze polityczni i urzędnicy. Demokracji trzeba się zatem uczyć. Tak jak i samorządności. Długo to będzie proces. Każde kolejne wybory przyniosą nam nowe doświadczenia.

Na rękaw już teraz wiadomo, że wszelkie odwołania w sprawie zmian na listach wyborczych należy składać we właściwym kolegium wyborczym. Dla wsi będzie to gminne kolegium, dla miasta — miejskie, dla województwa — wojewódzkie. Jeśli jakieś zastrzeżenia mają w gminie — to nie można interweniować w wojewódzkim kolegium. Gdy gminne sporu nie rozstrzygnie — trzeba interweniować w

branżach. Niektórzy starali się o usprawiedliwienie swojej nieobecności. Ale gdy działacz organizacji społecznej staje wobec wyboru: zebranie tej organizacji czy spotkanie z wyborcami — i wybiera zebranie swojej organizacji, to mam wątpliwości, czy nie postąpił tak samo z posiedzeniem rady. Czy ludzi obciążonych różnymi funkcjami trzeba obciążać dodatkowymi?

Na podstawie tych spostrzeżeń można dojść do wniosku, że nie wszystkie organizacje wnikiwie i rzetelnie podeszły do typowania swoich przedstawicieli. Niekiedy postępowano chyba dość schematycznie. Działalność dobrze, wykazuje inicjatywę, jest pomysłowy, szybki, operatywny — to go „dociążać”. Niech dodatkowo będzie radnym. Potem dorzuci mu się jeszcze kilka obowiązków. I musi nastąpić koniec operatywnego działacza.

Zdarzały się pytania: dlaczego kandydatom z listy wojewódzkiej dopisano przynależność partyjną, a tym którzy kandydowali w obrębie mandatów — nie? Niby to drobiazg. Tłumaczono nawet cierpliwie, że przecież nie przynależność partyjna jest najważniejsza, a człowiek, jego wiedza, umiejętności, doświadczenia, jego program. Tłumaczono również, że skoro nie wszystkich kandydatów uda się nam bliżej poznać, spotkać z nimi, to wybierajmy ludzi znanych, cieszących się popularnością, wybierajmy tych, którzy uprawiają zawody cieszące się uznaniem społecznym i tak dalej. Chyba jednak ci wątpliwości mieli swoją rację. No, bo skoro jednym pisze się ich partyjną przynależność, a drugim nie — to chyba brak tu logiki. Skoro jest to ważne na jednej liście, to powinno być ważne i na drugiej. Może to nawet nie błąd, a niedopatrzność tylko. W przyszłości należałoby czegoś takiego uniknąć.

No, bo tak. Znowelizowana ustawa o radach narodowych wejdzie w życie — jeśli nie temu nie przeszkodzi — od 1 stycznia 1989 roku. Do tej pory rady narodowe muszą działać według starej ustawy. Wprawdzie jakiś procent byłych radnych znajdzie się w nowej radzie, co powinno zapewnić ciągłość jej pracy, ale — nie oszukujmy się — w większości rady będą się uczyć rządzenia. Byłoby dobrze, gdyby robili to w oparciu o znowelizowaną ustawę o radach narodowych. A tak pół roku może okazać się czasem zmarnowanym.

Przyszli radni prezentowali bardzo różnicowane sposoby myślenia. Byli tacy, którzy widzenie świata zamykali w granicach osiedla i byli tacy, którzy starali się widzieć je w skali miasta czy województwa. Zdarzało się słyszeć niekiedy propozycje, które przypominały odległe widzenie świata, a czasami i takie, które świadczyły o niezrozumieniu przyszłej funkcji radnego. Oto pewien kandydat na radnego wysuwając słuszne w swoim założeniu żądanie, aby zlikwidować pustostany i duże lokale zajmowane przez samotne osoby zamieszkać na mniejsze, podał publicznie imię, nazwisko i adres osoby chorej psychicznie, która na dodatek zajmowała duże mieszkanie. Odebrać mieszkanie, a chorą ubezwłasnowolnić i do szpitala! To zupełnie nie tak. Tak postępować po prostu nie wolno.

Inny „reformator” domagał się, aby ludziami, w mieszkaniach, których będzie przeprowadzany remont budować, baryki i tam ich lokować na ten czas. Pomysł to i dobry, ale przed 30 laty. Zresztą o mieszkaniach rotacyjnych dla mieszkańców remontowanych domów mówi się od dawna. Przy obecnym tempie remontowania i niedowładzie administracji może się jednak okazać, że lokator przeniesiony na czas remontu do baraku pozostanie w

sobie a oni sobie, stąd powstała paradoksalna sytuacja nie spotykana w innych krajach — w Polsce wystarczy że napisać o jakimś pisarzu, by jego książki rozchodziły się błyskawicznie.

— Spróbujmy zatem pobu-
szować nieco po „Skirolaw-
kach” i „Wielkim lesie”, by
przekonać się, jak to jest na-
prawdę. „Raz w roku w Ski-
rolawkach” to książka utrzy-
mana w stylu ludowej gawędy
z przypowieściami i legendami,
a wszystko to okraszane
rubaszny często humorem.

— Dorosły człowiek współ-
czesny czuje się zagubiony w
świecie, nie zauważony, jest
anonimowy w tłumie a każdy
człowiek ma pragnienie, aby
zwracano na niego uwagę. Ot-
óż w „Skirolawkach” pokaza-
łem taką społeczność, w której
jeden człowiek interesuje się
drugim człowiekiem. Ludzie
się kochają, nienawidzą, popa-
dają ze sobą w konflikty, ale
interesują się sobą i okazuje
się, że ta społeczność odpo-
wiada tęsknotom współczesnego
człowieka. Ludzie w listach py-
tają: „proszę pana, gdzie są
takie Skirolawki, chciałbym
żyć w takich Skirolawkach jak-
by pan opisał, chciałbym żeby
i mna się interesowano, prze-
żywano razem z mna moje
kłopoty, żeby był gdzieś za-
praszany. Tymczasem ja żyję
w wielkim bloku anonimowo,
nikt się mna nie interesuje,
gdybym umarł, to nikt by o
tym nie wiedział i nikogo by
to nie obeszło. W Skirolaw-
kach człowiek nie mógłby um-
rzeć niezauważenie”.

— Nepomucen Maria Lubliń-
ski popłynął swym białym
jacht „Skirolawki” przez je-
zioro Baldy, by spotkać się
sam ze sobą. Ten rozdział to
jakby klucz do „Skirolawek”?

— Być może. Wprowadzić nie
identyfikuje się z pisarzem
Lublińskim, zresztą z żadnym z
bohaterów, niemniej jest
to klucz do odpowiedzi na
pytanie, czym powinna być li-
teratura? Kłeski pisarza
Lublińskiego polegały na tym, że
był teoretykiem, że szedł przez
cały czas po utartych ścież-
kach literatury. Tymczasem
w pewnym momencie zdał sobie
sprawę, że czytelnik jak gdy-
by go przerósł, a temu nie
starczyło odwagi, by pisać
książkę prawdziwą, książkę o
prawdziwej miłości i prawdzi-
wych ludziach. W takim zna-
czeniu jest to klucz do całego
mojego programu literackiego.

— Nad niesfornymi często
mieszkańcami Skirolawek
czuwała elita z doktorem Nie-
głowiczem na czele, każdy z nich
nie był pozbawiony śmieszno-
ści i wad, co sprawia, że w
oczach czytelników jawia się
oni jako ludzie z krwi i kości.
To oni rozstrzygali spory,
decydowali o wszystkim, co
ważne, byli uosobieniem spra-
wiedliwości i spójności wsi.

— W minionym okresie inte-
llicencji bardzo się skomoro-
towała i teraz nikt się z jej
zdaniami nie liczy. W „Skirolaw-
kach” pokazana jest hierar-
chia społeczna, ludzie ucze-
ni mają swoje własne poglądy
i te ich poglądy są przez
wielu odbierane. To społeczeń-
stwo liczy się ze zdaniem lu-
dzi, którzy są niejako predy-
katorami do oceny moralnej.
Jeżeli doktor Niegłowicz mó-
wi, że ta kobieta jest pozbawio-
na honoru, dlatego go zdradziła
swojego kochanka, to wieś to
rozumie i przynajmniej
jako wyrok. Jeżeli doktor Nie-
głowicz wydał wyrok śmierci
na zbrodniarza, to wieś przyni-
muje ten wyrok jako własny.
Myślę, że w naszym społeczeń-
stwie istnieje wielka potrzeba
i tęsknota za autorytetami.
Niestety tymi autorytetami nie
są dziennikarze, a szkoda, bo
przecież oni mogliby kształt-
ować opinie społeczne.

— Niegłowicz to olbrzym,
nieraz jest nim proboszcz Mi-
szewski. Czy pan również uważa
się za olbrzyma?

— Tak, w sensie metaforycz-
nym czuję się olbrzymem, dla-
tego że miałem odwagę podjąć
temat człowieka jako istoty
biologiczno-społecznej, to wy-
magało chyba dużej odwagi,
odważyłbym się. Nie wiem,
czy mam prawo powiedzieć o
sobie, że jestem tym metafo-
rycznym olbrzymem, ale kam-
pania, jaką samotnie przecie-
żałem z tyloma dziennikar-
kami, z tyloma pismami, które
na mnie napadały oraz



Foto: Grzegorz Gałasiński

Zajrzeć do wnętrza

fakt, że potem napisałem na-
stępna książkę i będę pisał
inne równie odważne jak te
poprzednie, świadczy chyba,
że jestem dość silnym psy-
chicznie człowiekiem, i że nie
uleknę się w przyszłości at-
aków skierowanych przeciwko
mnie.

— O kobietach nie ma pan
najlepszego zdania, nie wyra-
ża się pan pozytywnie o ich
rozumie i cności. Malarz Por-
wasz dowodzi, że najlepsze są
te, których miłość się kupuje.

— To nie jest prawda, o ko-
bietach mam zdanie jak naj-
lepsze, wyrażam czegoś za listy
w większości przysłane przez
kobiety. Kobiety piszą, że
znam je lepiej niż Bergman.
Ja z cnoty nie robię problemu
wartości kobiet. Kobieta może
zobaczyć miłość jednego
lub wielu mężczyzn. Wszystko
zależy od tego, jak jest wne-
trnie bogata. Kobiety w mo-
im życiu zawsze odgrywały
wielką rolę, były dla mnie
zawsze bardzo dobre, a w mo-
ich powieściach wiele portre-
tów kobiecych jest godnych u-
wagi. Powiedziałbym, że to
mężczyźni reprezentują te gor-
szą część, bardziej pruderynę,
wrażliwa na to swoje prawo
do wierności. Kobiety dzisiaj
czują się wyzwolone i uważa-
ją, że mają prawo do takiego
życia, jakie sobie wymarzyły.

— Tytuł książki obiecuje
tajemniczą noc mieszania krwi.
Nie było jednak tej nocy.

— My nie jesteśmy pewni,
czy ta noc była tylko w wy-
obraźni pani Basieński, która
szła do młyna, by spotkać się
z doktorem. To zresztą nie ma
większego znaczenia, czy ta
noc była w rzeczywistości, czy
została przeżyta w wyobraźni.
To, co się dzieje w naszej
podświadomości jest również
ważne, jak to, co się dzieje w
rzeczywistości. Życie jest snem,
a sen może być życiem.

— Jest w pańskiej książce
dużo pikantnego humoru jak
choćby scena z poświęcenia
pokutnego Sewruka krzyża, ale
jest też miejsce na zadumę np.
w obrazie na emientarzu, kie-
dy to Niegłowicz wraz z Joa-
chimem stoja przed urną z
prochami Hanny Radek.

— Tam jest dla mnie bar-
dzo ważny szczegół o tym, jak
doktor, który przecież nie jest
człowiekiem religijnym, każe
się synowi modlić, ponieważ
modlitwa traktuje jako coś o-
czyszczającego. Człowiek musi
przechodzić przez takie kathar-
sis, musi mieć chwile szcze-
rości sam ze sobą, aby dać up-
ust własnym wzruszeniom.
Ciężko tłumienie takich odru-
czeń prowadzi człowieka do
skostnienia.

ra w zło i zła w dobro i o
tym też mówi moja książka.
zmusza do zastanowienia się
nad ludzkim losem. Jest taki
mit, że przyroda czyni człowie-
ka dobrym. To nieprawda,
przyroda nie jest w stanie ani
człowieka uczynić dobrym, ani
złym tylko człowiek w tym
lesie stał się lepszym lub gor-
szym.

— Józef Maryn jako straż-
nik łowiecki powiedział, że
„Świat został tak urządzony, iż
człowiek powinien się ciągle
czegoś bać” i dalej „nie wol-
no nikogo lubić, gdyż można
zachować się niegodnie, a na-
wet niemoralnie, ponieważ na-
raża się na szwank swoją fir-
mę” albo „nikt na świecie nie
ma prawa powiedzieć o sobie,
że uprawia czystą robotę albo
że jest czysty” — to przera-
żająca wizja naszej rzeczywisto-
ści.

— Dlaczego przerażająca.
Jest taka, jaka jest. Nikt na
świecie a także w naszym kra-
ju nie może powiedzieć, że
ma czyste ręce, dlatego że u-
czestniczył w przeszłości w
wielu złych poczynaniach. Nie
można powiedzieć, że w okre-
sie Edwarda Gierka wszyscy
byli czysto Gierkami zlv. Ja-
kaś cząstka winy jest w każ-
dym człowieku, pytanie tylko,
jak wielka jest ta cząstka w
każdym z nas. Nie lubię ludzi
zadowolonych z siebie nieu-
stannie i uważających, że oni
są czysti, a jednocześnie akcep-
tuja dookoła zło, kupują krad-
zioną benzynę, dają łapówki,
biorą łapówki. Ja bym tak nie
usprawiedliwiał wszystkich lu-
dzi i twierdził, że mają czyste
ręce.

— Człowiek urodził się po-
to, by żyć w miłości, w miło-
ści do bliskich a nie do tego
by być sam i nienawidzić. Lu-
dzie powinni się zjednoczyć w
miłości do siebie, bo tylko mi-
łość daje siłę, a siła potrzebna
jest do jedności. To pańskie
słowa?

— Tak.
— Panie Zbigniewie, swymi
książkami dla dorosłych nara-
ził się pan „obrońcom dobrych
obyczajów”, ale wszystko wska-
zuje na to, że pańska nowa
powieść wywoła wiele kontro-
wersji nie tylko wśród mora-
listów?

— Myślę, że wywoła również
sprzeciw ludzi, którzy w spo-
sób XIX-wieczny pojmują opi-
sywanie historii. Moja nowa
książka „Dagome iudek” będzie
poświęcona powstaniu pań-
stwa polskiego.

— Co to oznacza?
— To znaczy, że da wizję
powstania państwa polskiego.
Paweł Jasienica powiedział kie-
dyś, że literatura i historia
Polski to książka bez pierwszo-
go rozdziału. Czytelnikom po-
laka literatura proponuje „Sta-
ra baśń” Józefa Ignacego Kra-
szewskiego, „Myszyni” Popiela
Waleriego Przyborskiego —
dwie bardzo zabawne książki
dla młodzieży. Nie tylko w
ciągu ostatnich lat dokonano
mnóstwo odkryć archeologicz-
nych, napisano wiele książek o
tym, że państwo polskie powsta-
ło na długo przed Mieszkiem
I, że chrzest Polski był ukoro-
nowaniem państwowości pol-
skiej tylko. Ja chce te sprawy
przedstawić na nowo w for-
mie baśniowej, będzie to po-
wieść pełna przygód w mod-
nym dziś gatunku fantasy. Są-
dze, że istnieje społeczne za-
potrzebowanie, żeby taka powieść
powstała, gdyż jesteśmy dum-
nym narodem, a ten naród nie
ma swojej przeszłości, nie ma
swoich korzeni, nie ma lite-
rackiej wizji swojej przeszło-
ści.

— Kiedy książka ukaże się
na półkach księgarskich?

— Myślę, że za około cztery
lata, będzie to trylogia, na ra-
zie napisałem dwa tomy.

— Lato spędza pan w Jeż-
wałdzie?

— Tak.

— Ale wyjeżdża pan stąd?

— Tak. Byłem niedawno w
NRD, byłem też w Finlandii
w Lahti, gdzie odbywało się
sympozjum na temat „Litera-
tura i ekshibicjonizm”. Przyje-
chało 120 pisarzy z całego
świata. Dyskutowaliśmy o no-
wych trendach w literaturze
światowej. Pisałem o tym na
łamacz „Odgłosów”.

— Jak nasza literatura pre-
zentowała się na tym spotka-
niu?

— Nasza literatura, niestety
jest literaturą obarczoną
straszными powinnościami i

dlatego byłem przerażony, gdy
przyszło mi powiedzieć o pol-
skiej literaturze coś interesują-
cego, coś o czym by ci ludzie
nie wiedzieli. Brałem zaintereso-
wania polską literaturą na
świecie wynika z tego, że my
ciągle jeszcze jesteśmy w XIX
w. Krytycy nasi mają XIX-
wieczne instrumenty do poz-
nawiania tej literatury, do oc-
niania jej. Oceniają według
problematyki, czy dobrze służy na-
rodowi, czy nie, czy i jakie po-
rusza problemy polityczne. Na-
sza literatura jest rozpolityko-
wana, a te polskie problemy są
niezrozumiałe dla świata. Dla
świata zrozumiałym jest tylko
człowiek, bo wszyscy ludzie na
świecie są tacy sami i boryka-
ją się mniej więcej z tymi sa-
mymi wewnętrznymi problemami.

— Z pańskiej wypowiedzi
wynika, że poziom polskiej li-
teratury w porównaniu ze
światową nie jest wysoki?

— Jest powiedziałbym —
przeróżajaco niski, żyjemy pod
tym względem w zacianku.
Krytycy starają się wmówić
czytelnikowi, że ta literatura
jest coś warta, tymczasem on
bierze przekłady zagraniczne
lub przywozi książki z Zachodu
i czyta ją w oryginale i do-
skonałe zdać sobie sprawę, że
tu otrzymuje wypracowanie
na temat a nie utwory literac-
kie. Widzi jasno, że nie tak pi-
sał Joyce, nie tak pisał Franz
Kafka, nie tak pisał Fiodor
Dostojewski, Antoni Czechow.
Polak w ogóle jest bardzo o-
twarty na świat i nie pogod-
zi się z tym, że musi jeździć
staroświeckim samochodem,
chce jeździć nowoczesnym i
dopomina się o to. Chce o-
trzymać do rąk nowoczesną li-
teraturę. To odrzucenie przez
czytelnika literatury polskiej
będzie wyraźne kiedy rozpoz-
szechni się u nas wideo, tele-
wizja satelitarna. Proszę sobie
wyobrazić jaką siłę przebiecia
będzie musiała mieć książka,
by ktoś zdecydował się na
wyłączenie magnetowidu, zre-
zygnował z przelaczenia na
kierów z programów satelitar-
nych i zaczął ją czytać. Socja-
lizm w dawnym wydaniu bar-
dzo rozpuścił pisarzy. Wszystko
wydawano, co tam komuś w
dusz grało, gdy kogoś reka
do pisanja świeżyła. A teraz
książki stały się drogą a czy-
telnik bardziej wymagający.
Chce książki odpowiadającej
poziomowi literatury światowej.
Nie tu nie pomaga krzyki Ko-
żniewskich, nie tu nie pomo-
żą wrzaski Passentów, nie tu
nie pomoże poekiwanie Gronskich.
Stanie się tak, że kto napisze
dobrą książkę o człowieku, bez
wykropkowania, uczciwie, żeby
to nie było wypracowanie, to
tego książki będą miały szanę
być czytane a reszta książ-
zek będzie zalegała półki księ-
garskie. Mam przecież kilka
miliardów złotych zamrożonych
w składnicach księgarskich i
milk tych książek nie chce.
Mam taką sytuację, że 800
tytułów zakwalifikowanych do
druku leży w wydawnictwach
a z księgarń nie przychodzi na
nie żadne zamówienia. Co ro-
bić z tymi książkami, których
nikt nie chce? Jeżeli pisarze
nie rozumieją, że o czytelnika
trzeba walczyć, że nie można
zamknąć się w skorupie samo-
obrony i mówić: — nie chcą
moich książek, bo są głupi, bo
moje książki są tak trudne, że
nikt ich nie potrafi zrozumieć.
Jeżeli nie przelamują w sobie
też pogardy do czytelnika, to
stana wobec oczywistego fak-
tu, że nie będą czytani.

— Sa jednak książki nagra-
dzone?

— Bardzo wiele tych książ-
zek, chwalonych, nagradzanych,
dzisiaj nie istnieje. Pan pod-
chodzi w bibliotece do półki i
przekonuje się, że ta książka
w ogóle nie była czytana a ona
właśnie otrzymała nagrodę pań-
stwową czy ministra kultury
i sztuki. To przecież śmieszna
sytuacja, coś z tych wyróżnień
i nagród skoro te książki nie
przeniknęły do świadomości
społecznej. Oczywiście można
się powoływać na pisarzy, któ-
rzy w danych czasach też by-
li przez społeczeństwo odrzu-
cani, a dopiero w sto lat póź-
niej zostali odkryci. Literatu-
ra ma to do siebie, że zawsze
znajda się argumenty na tak i
na nie. Mnie interesuje trafie-
nie do świadomości czytelnika,
dlatego na wszystkich spotka-
niach z nim staram się do
niego dotrzeć i zrozumieć na-
wet te jego podświadome tęsk-
noty i pragnienia. Pisarzy cze-
ka nauka, muszą z pokora u-
czyć się, co to znaczy stymu-
ować czytelnika, jak oddziały-
wać na jego podświadomość,
jak stać się jego doradcą, jego
przyjacielem jak obnażać jego
wnętrze, ale robić to uczciwie

bez żadnych zahamowań, bez
żadnych ograniczeń.

— Był pan w Lahti jedynym
pisarzem z krajów socjalistycz-
nych?

— Nie. Była bardzo silna de-
legacja radziecka na czele z
Ajmatowem i co ciekawe —
pisarze radzieccy nawoływali
do obnażania prawdy. Ajma-
tow właśnie mówił, że prawda
o człowieku powinna być ob-
nażona do końca bez żadnych
zahamowań, że powinna być
obnażona prawda o społeczeń-
stwie, prawda o władzy. Lite-
raturoznawca z Estonii prof.
Rotman mówił, że wszelkie u-
krywanie przed innymi swoje-
go wnętrza prowadzi do nie-
ufności, a nieufność budzi po-
dejrzliwość a podejrzliwość jest
matką wrogości. Jeżeli ludzie
chcą się ze sobą porozumieć,
muszą o sobie mówić prawdę i
to przez literaturę. Bardzo cie-
kawie były wypowiedzi pisarzy
z Trzeciego Świata. Mówili, że
mają już dość tego, by w ich
imieniu przemawiali inni pisa-
rze z krajów rozwiniętych, oni
chcą przemawiać własnym gło-
sem, pokazać swoje własne
autentyczne wnętrza i nie chcą,
aby prawo do tego im odbie-
rano.

— Jak się ma ekshibicjo-
nizm do demokracji?

— To są pojęcia ściśle ze so-
bą związane. Im mniej demo-
kracji, im kraj jest bardziej
totalitarny, tym mniej pozwala
się w nim mówić całej prawdzie
o poszczególnym człowieku. W
systemie totalitarnym spo-
łeczeństwo powinno w jednako-
wym stopniu odczuwać jed-
nakową otrzymywać karmie li-
teracką i biada temu, kto się
z tego wylamie. Bardzo trud-
no jest rzadzić społeczeństwem
indywidualizowanym a ekshi-
bicjonizm namawia do indy-
dualności, mówi o tym, że
każdy człowiek odczuwa inac-
zej, ma inne potrzeby duchowe
i że te potrzeby duchowe
trzeba w różnorodny sposób za-
spokajać. Dlatego bardzo się
dziwię takim tygodnikom jak
„Polityka”, które chcą uchodzić
za liberalne, a przeciwnie
są wszelkimi odmiennostkami
w literaturze, namawiają wła-
śnie do literatury schematycz-
nej, do literatury socrealistycz-
nej. Przeraża mnie taka dwu-
ista postawa. Bez różnorodności
nie ma demokracji. Nie można
mówić o kraju, że jest demo-
kratyczny, w którym potrzeby
ludzie nie są zaspokajane i w
którym potrzeby ludzkie są
rozbudzane

— Panie Zbigniewie, co pan
robi kiedy nie pisze?

— Jeżeli jest to lato, to żę-
luje, spaceruje no lesie, odda-
je się lekturze. Pisarz zawo-
duje mojego pokroju musi bar-
dzo dużo czytać, musi poświę-
cać więcej czasu na czytanie
niż na pisanie.

— Jak upływa pańska 24
godziny?

— Od rana do godz. 12
pracuje nad kolejną powieścią,
potem spaceruje, jem obiad, u-
cinam sobie krótki relaks-
drzemkę, następnie oddaję się
lekturze, oglądam wideo lub
telewizję, jeżeli coś ciekawego
serwuje.

— Działalność według ściśle
opracowanego harmonogramu?

— Pisarz, a szczególnie po-
wieściopisarz musi narzucić so-
bie surowy reżim. To poete
może stać na pisanie na ser-
wetkach w kawiarni. Prozaik,
niestety, musi wszystko wysie-
dzić, tym bardziej, że mnie
pisze się bardzo trudno, muszę
dziesiątki razy poprawiać każ-
dą stronę tekstu nim dotrze
ona do rąk czytelnika.

— Gdzie jest samochódzik?

— Samochódzik grał w
pierwszym filmie, którym była
„Wyspa złoczyńców”, potem był
kolejny samochódzik w „Tem-
plariuszach, a ostatnio by na-
kreślić „Niesamowity dwór”,
musiano poszukać następnego sa-
mochódzika. Ja sam używam zwyk-
łego samochodu, teźdże łada.

— Kim chciałby pan być,
gdyby nie pisał?

— Myślę, że albo archeolo-
giem, albo lekarzem. Bardzo
mnie pociąga historia i archeo-
logia, stąd tyle wątków z tych
dziedzin w „Panu Samochódzi-
ku”. W młodości bywałem na
wykopiskach archeologicznych.
Bardzo mnie interesuje prze-
szłość, ale również interesuje
mnie człowiek, mechanizm
działania człowieka, a wślad
w te sprawy daje medycyna,
ale to już całkiem inna his-
toria.

— Dziękuję panu za rozmo-
wę.

Rozmawiał:
JERZY
CECHOWSKI

w pokoju Interpressu w alei Stanów Zjednoczonych w Warszawie, takich świadków przewinęło się aż 157 i niemal wszyscy zdecydowanie poparli stanowisko twórców krótkiego metrażu.

Zwierzenia czasu

Główne problemy współczesności są powszechnie znane. Jak jednak równie powszechnie wiadomo wiedza ma, niestety, mało wspólnego z rozumieniem. Dzięki telewizji, gazetom, nie zagłuszonym rozgłosom oraz stymulowanym partykularnymi interesami dyskusjom, rzeczywiście ważne sprawy odrywają się od swojego sensu, tracą jakikolwiek walor osobisty, stają się do znudzenia powtarzanymi banaliami — karykaturami idei Platona. Ludzie tak wiele razy byli już na placu św. Piotra w Rzymie — za pośrednictwem telewizji oczywiście — czy na froncie iracko-irańskim, że wydaje im się, iż dokładnie wiedzą, jak tam jest naprawdę, a na dodatek starannie, choć niedostrzegalnie, filtrowa-

dziane, że coś takiego zawsze musi się skończyć dobrze; wielka miłość, choć potem nie sposób jej zapomnieć, prowadzi niekiedy do destrukcji.

Znakomita większość filmów przedstawionych Głównej Komisji Selekcyjnej — to właśnie opis takiego stanu destrukcji. Relacja o świecie, który już wprawdzie nieleci, ale — hamowany przez zapatrzenie w przeszłość i stopowany narastającymi kłopotami teraźniejszości — nie może swojego marzenia zrealizować. Jest to wizerunek okresu przejściowego, bo przecież trudno sobie wyobrazić, aby stan taki mógł trwać w nieskończoność. Niby wiódłmy o tych kłopotach i hamulcach jeszcze przed północą do kina, ale nie przypuszczaliśmy, że sprawy zaszły tak daleko.

Nie przypuszczaliśmy, że aż takie spustoszenie wyrządziła i wyrządza nadal eksploatacja między w Zagłębiu Lublińskim, jak to w sposób pedantyczny i wstrząsający przedstawia film L. Czolnowskiego „MIEC MIEDŹ”. Nie przypuszczaliśmy, że truciele środowiska sięgają już do naszych własnych, zacisznych mieszkań, co poka-

kić wyłatać emerytury. Do kompletu warto jeszcze dodać, że w jednym filmie o miłości dwójka nastolatków — „W SŁONCU” A. Brzozowskiej — wielkie uczucie kończy się najgorzej jak tylko można — porzeczem.

Czy jednak można się temu wszystkiemu dziwić skoro młodzież ma takich wychowawców jak mały hochsztapler z filmu W. Maciejewskiego „FAN”, wykorzystujący do swoich odróżających świństw nie tylko Korę Jackowską, ale i Włodzimierza Lenina. Dziwić może co najwyżej to, że ludzom jego pokroju przyznaje się wyróżnienia i medale. Chociaż niezaszczenie polega chyba właśnie na tym, że nawet coś takiego nikogo już nie dziwi. Zresztą jeżeli nawet nauczyciele są w miarę sensowni i uczciwi, to popadają na odmianę w hamletyczne dylematy, których sami w żaden sposób nie są w stanie rozwiązać („NAUCZYCIELE” M. Bukojemskiego). A na domiar złego po zastanowieniu, zaprzeczają swoim własnym, zarejestrowanym za pomocą kamery i mikrofonu, słowom, zarzucając reżyserowi, że dokonał na ich osobach manipulacji.

A potem mówi się, że to film wynajduje na siłę same czarne strony naszej rzeczywistości i oskarża się go o czarnowidztwo.

Punkty jasne i jaśniejsze.

Jakby jeszcze było mało powyższego panoptikum, kiedy reżyserzy kierują kamerą na postacie wydawałoby się wzorcowe, efekt także nie wygląda najlepiej. Zarówno dwie postępowe rolniczki z „DZIEWCZYN Z ORLEJ KLATKI” E. Straburzyńskiej, jak i przedsiębiorczy, prywatny menedżer z „FIRMY” H. Urbanka, a nawet pełen poświęcenia lekarz wiejski ze „SPOSOBU NA ŻYCIE” W. Ronisza nie zdolali jakoś przekonać nawet członków Komisji. I właściwie nie wiadomo, czy to dlatego, że sami byli bezbarwni, czy twórcom zabrakło talentu czy też może chodzi tu o powszechną skłonność do użawiania takich postaci za chwyt propagandowy, podejrzanych cwaniaków bądź po prostu ciężkich frajerów.

Nie lubimy stachanowców i Judyńców, ale za to nie mamy nic przeciwko makabrycznym dowcipom. Kilkaście minut wisielczego humoru gwarantowały „DRZWI” K. Debuskiego i „DZIWNE ZDARZENIE...” A. Sroczyńskiego.

Pierwszy film zaczyna się od niewinnego widoku dwójki drzwi na jakiejś klatce schodowej. Na jednych wiszą wizerunki „X Ski”, na drugich zaś „Y Ski”. Następnie pierwsza wizytówka konsekwentnie się rozrasta: dochodzi do niej rozmaite poważne tytuły naukowe, równie poważne funkcje itp. itd. Ale drzwi pozostałe bez zmian. W wypadku drugim mamy do czynienia z sytuacją odwrotną: tym razem wizytówka jest ciągle taka sama, zmieniają się natomiast drzwi — wyglądają coraz dostatniej, aż wreszcie przypominają bramę luksusowego pałacu. A kiedy w końcu uchylają się w środku widzimy bijące młotkiem w gwóźdź faceta i reke, która za każde uderzenie odlicza mu banknot o dużym nominale. Śmieszne? Śmieszne. Ale poza tym prawdziwe.

Film A. Sroczyńskiego ma większe ambicje. Oto na pełnym smutnych ludzi przystanku autobusowym pojawia się nagle człowiek wesoły. Smutni najpierw podejrzają i z dezaprobatą patrzą na jego wygląd (film jest animowany i herce wesołka są istna feeria dowcipu rysunkowego), aż w końcu wołają pogotowie, które zdecydowanie rozprawia się z delikwentem i przystanek znów jest smutny — czyli wraca do normy. Każdy ma szansę odegrać taką rolę, w każdym polskim mieście, na każdym przystanku. I nie tylko.

I tak źle, i tak niedobrze. Z jakim takim powodzeniem bohatera pozytywnego udało się w końcu przedstawić tylko bardzo niewielu filmom. Niektóre z nich poszły zresztą po linii najmniejszego oporu, pokazując znanych Polaków, którzy zrobili karierę za granicą („STEFAN KNAPP”, M. Mrozek, „DOMI-

NIKANIN W OSTROGACH” G. Dubowskiego, o o. Bocheńskim). Patrzymy na nich z zacięciem, ale przecież od dawna już wiadomo, że zrobienie przez uczciwego, mądrego i zdolnego człowieka kariery na Zachodzie nie jest niczym szczególnym, co innego gdyby pokazano takie przypadki między Bałtykiem a Tatrami.

W ten sposób dochodzimy do dwóch (!) tytułów, o których bez żadnych zastrzeżeń można powiedzieć, że intronizują godność człowieka i pozwalają patrzeć na życie z wiarą i uśmiechem. Mowa o „SCIANACH” P. Dumay i „DZIECIŃSTWIE” J. Latalo. Mówiąc precyzyjnie kolejną, mądrą i perfekcyjnie zrealizowaną animowaną opowieść P. Dumay nie ma zresztą wiele wspólnego z uśmiechem. Umysłowiawia ona po prostu, że człowiek poza problemami z kupnem łopatki bez kości, telewizora kolorowego czy najnowszego modelu „Mercedesa”, ma jeszcze kłopoty zupełnie innej natury (dawniej nazywano je egzystencjalnymi), których posiadanie łopatki telewizora i samochodu wcale, wbrew pozorom, nie likwiduje. Tym razem jednak powstaje podejrzenie, że film nikogo o tym nie przekona i chyba trzeba będzie doprowadzić do tego, aby wszyscy oglądając w „Mercedesie” kolorowy program satelitarny i przegrzając łopatkę bez kości odczuli ten niezłomny fakt na własnej skórze.

„DZIECIŃSTWO” nie prowadzi do tak wygórowanych żądań. Jego bohaterkami są pensjonariuszki prowadzonego przez zakonnicę domu dla samotnych matek. Mają po kilkanaście lat i często są ofiarami gwałtów — dzieci, które mają dzieci. One odkupiły najprostsze, dawno zapomniane wartości, pogodziły przeciętnych zjadaczy chleba i wysublimowanych intelektualistów. I to wszystko z jednej tylko, prostej przyczyny: były ludźmi i żyły w normalnym świecie. Kto wie jednak, czy nie dlatego właśnie, że nasz wspaniały świat, świat z pozostałych 156 filmów, tak brutalnie je odrzucił...

Jak będzie?

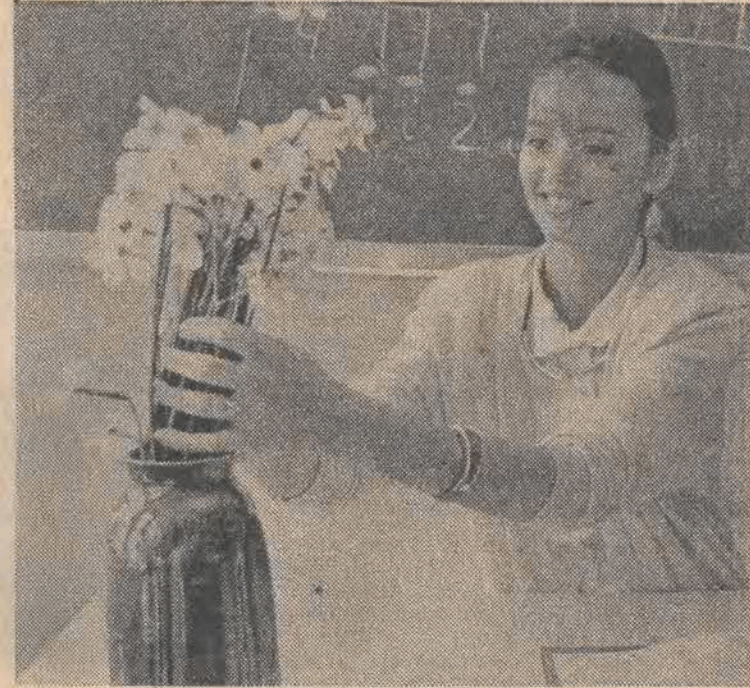
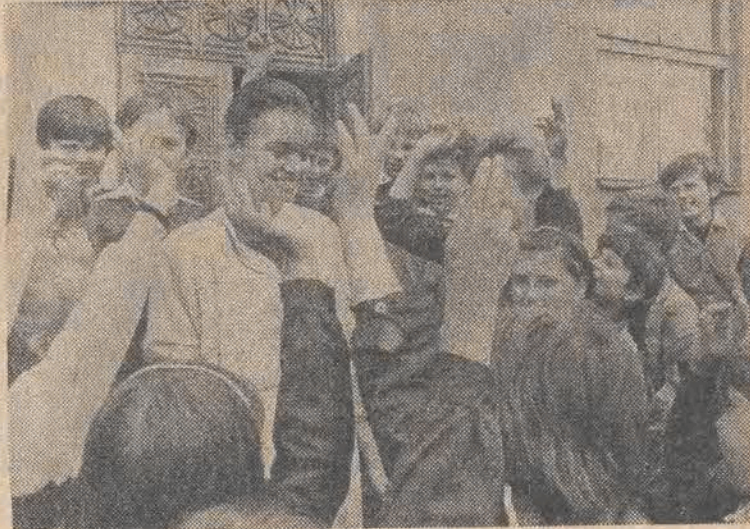
Nie sposób nie wspomnieć o łódzkich wytwórniach: „Se-ma-forze” i Wytwórni Filmów Oświatowych. Obie spisały się dobrze, a WFO wręcz najlepiej w krajowym towarzystwie. Nie idzie zresztą tylko o sukces natury sportowej (27 proc. wszystkich tytułów zakwalifikowanych na festiwal, to filmy WFO), ale przede wszystkim o wysokim poziomie przedstawionych propozycji, niezależnie od tematyki, która podejmowała.

Czy wobec tych 157 tytułów zdecydowanie świadczących na korzyść filmu krótkiego, zmieni się wreszcie jego sytuacja? Czy mecenas państwowy przestanie patrzeć jak do reszty wykańca spręż i przydzieli realizatorom — nieco więcej taśmy? No i pieniędzy? A może zdecyduje się przynajmniej na rozluźnienie sieci surrealistycznych przepisów? Czy zostanie doceniona dobra robota, która małe kino od lat uparcie wykonuje i udostępnia jej rezultaty szerszej publiczności?

Sądząc z przewijającej się przez ekran w ciągu 2590 minut polskiej rzeczywistości, odpowiedź na te pytania może być tylko jedna: NIE. WIADOMO.

Nasza pani — najpiękniejsza!

KONRAD TUROWSKI



157 świadków obrony

ne informacje powodują, że wiedzą nawet, co o tym myśleć. Na tej samej zasadzie wszyscy znają doskonale mentalność prezydenta Ronalda Reagana i sekretarza Michaiła Gorbaczowa, choć w zależności od ulubionych gazet czy rozgłośni mają na ten temat różne poglądy.

Tym sposobem dyskusja między Janem B. z Pułtuska i Walerym K. z Legnicy przetrwała się w rozmowie między „Tygodnikiem Powszechnym” i „Polityką”, bądź Warszawą I i Warszawą IV. Mało tego; bywa czasem, że w intymnej sytuacji spotykają się nie Pelagia C. z Mrągowa z Leonem W. z Kalisza, ale konglomerat Catherine Deneuve i księżniczki Małgorzaty ze zbitką anonimowych bohaterów filmów porno. Wszystko to nazywa się rzeczywistością zmyślikowaną, ale i to niczego nie wyjaśnia...

Wydaje się, że w tej zawilej sytuacji, film — szczególnie krótki — mógłby odegrać nader istotną rolę. Pozwala on bowiem na podjęcie tematów aktualnych (chyba żadna dyscyplina sztuki nie jest aż tak uwarunkowana na aktualność i nie czerpie z niej aż w takim stopniu inspiracji), a jednocześnie nadanie im waloru autentycznego przeżycia w skali osobistej i społecznej, tkwi w nim możliwość uogólnień.

Oto na przykład widzimy byłego działacza „Solidarności”, który po internowaniu otrzymał pozwolenie na stałą emigrację z Polski. W swoim czasie sporo się na ten temat mówiło; jedni niezbyt przychylnie wyrażali się o władzy dopuszczającej taki sposób rozwiązywania problemów, inni zazdrościli (i zazdroścą, do dziś) ludziom, których to dotknęło — nie tylko bowiem udawali się oni do rajów, ale jeszcze, bez potrzeby uciążliwego poszukiwania w swojej rodzinie byłych żołnierzy Wehrmachtu, mieli tam zapewnione prawo pobytu i pracy. Jednym słowem, rzeczywistość układała się w wygodne, proste schematy, którymi można było zadawać szyku w towarzystwie.

I od takich właśnie schematów rozpoczyna się film J. Palczewskiego „PROM”. Kiedy jednak przenosimy się na przystań promową i kiedy nadchodzi ostateczny moment pożegnania, z sekundy na sekundę schematy rozsypują się i nie zostaje po nich nawet wspomnienie. Ze zbliżeń twarzy i strzepów pozornie obojętnych rozmów konstruuje się na naszych oczach autentyczna, ludzka tragedia. Wprawdzie nie daje się jej ująć w gotowe formuły, ale też pozwala ona zrozumieć i odczuć tamte czasy nieporównanie lepiej niż setki referatów.

Cokolwiek by nie myśleć, były to czasy silnych emocji i prób wcielenia w życie szczytnych ideałów. Nie jest powie-

zuje bez osłonek „SMRÓD” M. Borka. Nie przypuszczaliśmy wreszcie — przynajmniej ci, którzy utrzymują się w jakiejś formie — co naprawdę dzieje się w szpitalach, ani — przynajmniej ci, którzy nie załatwiają zbyt wielu interesów w urzędach, bądź mają tam znajomości — jak wysoki stopień absurdu osiągnęły przepisy i indolencja administracji, ani — przynajmniej ci, którzy jeszcze jako tako wiążą koniec z końcem, bądź wykonują dającą zadowolenie pracę — jakie spustoszenia wywołuje brak perspektyw i poziom życia praktycznie odgradzający od cywilizacji, a niekiedy wręcz człowieczeństwa.

Jeszcze większy chyba wstrząs wywołuje jednak ujawnienie faktu, że wiele tych problemów zostało od dawna rozpoznanych, ba nawet wynaleziono przeciwko nim środki zaradcze i są ludzie, którzy z uporem starają się wprowadzić je w życie. Niestety, bez większych skutków. (Także „SMRÓD” M. Borka oraz, na przykład, „DON KICHOT OD RESZTEK” C. Wójcika).

A już najgorzej dzieje się z ludźmi.

Można powiedzieć, że stan obywatela Polski anno domini 1987/88, skrupulatnie malowany przez filmowców, mocno przypomina kleskę ekologiczną w zagłębiu miedziowym. To znaczy: jest fatalnie, będzie jeszcze gorzej i nie ma sposobu, aby temu zaradzić. Ta przynębiająca konstatacja wynika głównie z obserwacji środowisk młodzieżowych, a nawet dzieci. Trudno się opętać wrażeniu, że ci blakający się po ekranie młodzi ludzie, ze szkół średnich i fabryk, a także skłaniające na pozór do sęknienia po cukierka skrabry ze szkół podstawowych, nie różnią się w gruncie rzeczy niczym od ludzi zupełnie dorosłych (filmy: J. Wileńskiej, D. Halladina, A. Ciechan). Słuchając ich wynurzeń ani na moment nie opuszczamy zakletego kregu pieniędzy, codziennych kłopotów i prób tak najlepszego „ustawienia się” w życiu jak najmniejszym kosztem. Nikt z nich nie zawiera sobie głowy marzeniami czy bajkowymi planami, jakby już od najwcześniejszych lat, zamiast bajek i czytanych pod ławką z wypiekami na twarzy książek o romantycznej miłości, zapoznawali się wyłącznie z rocznikami statystycznymi i raportami o dochodach poszczególnych grup ludności. Ktoś może to sobie nazwać realizmem, albo nawet pozytywizmem, i cieszyć się, że te tak podobno aktualnie pożądane cechy wykształca się w naszym społeczeństwie już na wczesnych etapach rozwoju ludzi. W istocie jednak mamy do czynienia ze zjawiskiem przerażającym. Kto wie poza tym czy te, do takiego stopnia zekonomizowane indywidualna zechcą nam w ogóle

Lipiec 1889 r. Był wieczór. Słońce skryło się już za chmurami, od jeziora Michigan nadleciał orzeźwiający powiew, gdy do „drugstore” w chicagowskim Englewood wkroczył silnie zbudowany mężczyzna. W tweedowej marynarce i czarnych lakierkach ujmował elegancją. Męskiego uroku przydawał mu jeszcze krótko strzyżony wąsik, zdecydowane ruchy i ciężkie spojrzenie oczu, nieruchomych jak u węża. Dziewczęta wzdychały doń już w Gilmanton, gdzie się urodził i pobierał te pierwsze nauki. Teraz uchyliwszy z gracją kapelusza, skłonił się z dobrze upozorowanym szacunkiem.

— Pani pozwoli, że złożę jej wyrazy szczerych kondolencji.

Właścicielka drogerii pani Holden dopiero co owdowiała i nosiła żałobę.

— Cieszę się doktorze, że pan o mnie nie zapominał — lekko się zarumienila.

— Słyszałem o pani kłopotach i mógłbym ewentualnie służyć pomocą. Wprawdzie nie jestem farmaceutą, ale posiadam dyplom lekarski. Odczytywanie receptur i przyrządzanie lekarstw to dla mnie blachostka.

Dr Herman Holmes podawał się za kawalera.

W istocie rzeczy żonę porzucił. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Herman Webster. Bystry to był i nieprzeciętnie zdolny przebojowiec. To też dużą przyszłość rokowano mu już w młodości. Naładowany energią rozmyślał o studiach świeci przekonany, że najkorzystniejsze perspektywy otworzą się przed nim w adwokaturze. Już wtenczas zasmakował w brzęczącej monecie i lubił sztychować z purytanów Nowej Anglii.

— No tak, pieniądze nie kochacie, ale wolicie je mieć, prawda?

Na rodziców nie liczył. Ojciec, rymarz z zawodu, nigdy centem nie śmierzdział. Co zarobił, topił zaraz w kieliszku, wynosząc pod niebiosa niezrównaną whisky z pobliskiego Massachusetts. I tak lata szły, aż Hermanowi stuknęła dwudziestka. Już tylko ożenek mógł go wydobyc z nędzy i otworzyć jakieś widoki na karierę. Zaczął się bacznie zatem rozglądać za posażną panną.

Jego wzrok spoczął na Klarze Wood. Rodzice Klary dochrapali się dwóch kamienic i świetnie prosperującego salonu z konfekcją. Na Hermana spoglądali kosym raczej i podejrzliwym okiem. Czy to aby nie jeden z tych łowców posagu, co obnoszą układy uśmiechek na twarzy? Upiął rok nim Klara wyprosiła u rodziców zgodę na ślub z przystojnym Hermanem.

Kiedy Herman ukończył 22 lata, oświadczył młodzikiem żonie ciepłym i miłym tonem.

— Skarbie, tak dalej być nie może.

— Masz do mnie jakieś pretensje? — wyraził się spłoszonym.

— Nie, rzecz nie w tym, ale pora pomyśleć o przyszłości. Nie mogę całe życie tkwić za ladą w charakterze podrzędnego subiekta. Czas wielki, żebym podjął wreszcie poważne jakieś studia.

— Ty, a skąd na to pieniądze?

— No wolnie, studia są drogie, prawda, ale po uzyskaniu dyplomu mógłbym ci zapewnić życie dostatnie, wolne od tych wszystkich materialnych kłopotów, które zatruty do szczytu tyje już małżeństwo. Byłaby to z twojej strony inwestycja najkorzystniejsza ze wszystkich.

Stanęło na tym, że Herman zaczął studiować na uniwersytecie Vermont. Koszty nauki pokrywała Klara ze swego konta. Rapiem, bez widocznego powodu, Herman przeniósł się na wydział medyczny uniwersytetu w Detroit. Być może, już wówczas chodzący mu po głowie morderstwa idealne. Takie nie do wykrycia. Któż inny mógłby się na to porwać, jak nie lekarz, znający od podszewki najtańsze sekrety ludzkiego organizmu. Związki Hermana z żoną stawały się coraz rzadsze. Wreszcie urwały się bez reszty.

Po zdobyciu dyplomu Herman przeobraził się w „Doc” Webstera.

Otworzył w Detroit gabinet lekarski. Rychło zyskał powodzenie. Walili doń tłumy zwłaszcza młodych kobiet. Cóż to za uroczy lekarz. I jaki męski. Sama jego obecność działała jak balsam. I znów z niewiadomych powodów Herman zabrał się z Detroit i wyniósł do Chicago. Wystąpił tam pod nazwiskiem Herman Holmes.

Bigamii nie popełnił. Z panią Holden, właścicielką drogerii, nigdy na ślubnym kobiercu nie stanął. Młoda wdowa nie dawała atoli za wygraną.

— Ślub albo wyniosł się do wszystkich diabłów — zagroziła. — Już bierze się mnie na języki, a przecież muszę dbać o opinię ze względu chociażby na klientelę. Zresztą nie chcę służyć dłużej jako wygodny materac dla pana doktora.

— Chętnie ci posłubię — odpisał Herman ze spokojem — ale warunkiem, przedtem aktem notarialnym przekazasz mi drogerię na własność, abym miał pewność, że stanę na twoim gruncie.

Pani Holden nie bez ociągania złożyła podpis pod dokumentem. Zawsze to ryzyko wyzbywać się majątku, tracąc tym samym finansową niezależność. Z drugiej strony zbliżający się związek wypadałoby czymś przypieczętować. Więc zgoda, niech będzie. Po dwóch tygodniach pani Holden jakby zapadła się pod ziemię. Śladu po niej. Wyparowała. Jak ktoś rapiem przepada, o morderczym jest zwykle współmałżonkiem bądź kochanką. W zabójstwach idzie o miłość lub pieniądze.

Sledztwo zawieszono jednak na kolku. Gdzie dowody przestępstwa, jeśli w ogóle miało miejsce? Może pani Holden dała bogu z jakimś nowym i pociągającym amantem? Młode wdówki szaleją, żeby możliwie szybko nadrobić czas stracony w małżeńskich okowach. Niewybaczalne to było przeoczenie. Gdyby dr Hermana Holmesa przycisnęło do muru już wtenczas, nigdy potem nie miałby sposobności do uruchomienia swej potwornej „fabryki śmierci”.

Rozzuchwalił się i poszedł na całego.

Mordował sam jeden, choć bez cichego pomocnika i on obejść się nie zdołał. Okazał się nim Benjamin Pitezel, który zasłynął z wielu urobnień. Był obrotnym technikiem o wynalazczej żyłce. Pochłaniało go konstruowanie coraz wymyślniejszych urządzeń, napędzanych prądem. Wyglądał odstraszcjąco. Niski, żółtawy, o rozbieganych oczach i chorobliwie cofniętym

podbródkiem. To jego właśnie dr Herman Holmes wtajemniczył w swe ohydne plany i zamiary. Trudno było o większy kontrast. Dr Herman Holmes, wymuskany elegant z morskiej pianki i Benjamin Pitezel, chuderlawy pokraka, wzbudzający wstręt i odrazę.

Obaj zawarli spółkę i w ciągu jednego roku wyczarowali „Holmes-Castle”. Budynek istotnie już z daleka sprawiał nadzwyczaj romantyczne wrażenie. Mury postawiono z dobrze wypalanej cegły o gładkim, czerwonym licu. Z dachu strzelały smukłe kominy, po bokach wylaniały się cztery smukłe narożne baszty. W oknach gotyckie witraże. Wewnątrz kamienne mozaiki, miedź, cynk i debowe boazerie. Wszystko to nadawało budynkowi wygląd magnackiej rezydencji w tym dobrym, starym stylu.

Był to czas, kiedy prężne już uprzednio Chicago, ogarnął szal budowania. Najwięcej wznoszono hoteli i okazałych pensjonatów. Miasto

Był czarującym mężczyzną. Kobiety za nim szalały. Mordował wszystkich z zimną krwią.

Zamek doktora Hermana Holmesa w Chicago

JAN BABIŃSKI

szkowało się gorączkowo do otwarcia Światowej Wystawy. Uroczysty moment miał nastąpić w 1893 r. za dwa zaledwie krótkie lata. Terminy przeto gonili. Tym bardziej, że spodziewano się tysięcy i tysięcy gości z pięciu naraż kontynentów. To nie w kij dmuchał. Przybyszów trzeba będzie podjąć z takimi honorami, żeby wynieśli z Chicago wspomnienia niezatarte i doznogiście wdzięczne.

Dr Herman Holmes spoziierał całymi dniami w zadumie na pusty plac, rozciągający się przed jego drogerią. No dobrze, a gdzie i jaka szansa szkują się dla niego? Wreszcie zaświtał mu pomysł. Do Chicago zwali się finansowa śmietanka. Przybędą panie przystrojone w perły, szmaragdy i kolie brylantowe. Zjawia się przemysłowcy, rozglądający się za technicznymi nowinkami, naphani po czubki funtem, dolarom i francuskim, ciężkim frankiem. Trzeba ich tylko zwać w chytrze obmyślaną pułapkę. Taki by im należało podsunąć niewidzialny haczyk, by go połknęli nie z tego nie przezczuwając. Do dzieła, czele, how pleasant it is to have money, jak to przyjemnie mieć dużo pieniędzy. Leżą na ulicy. Schylił się, sięgnął po nie, przed sobą zajaśniała złota doprawdy żyła. No, na co czekasz?

Kredyt na budowę dr Herman Holmes pobral z banku. Poszło jak po maśle. Wskle poręczył niejaki Campell, niepokojąco do doktora podobny.

Murarze nie mogli wyjść z podziwu.

Nigdy jeszcze nie stawiali ścian miejscami, aż tak pogrubionych. Te wnętrza, wpusty w liwym murze, zsuwiska, kanały i przewody, wiodące nie wiadomo dokąd. Jakies kręte schodki do tego, zaułki, krużganki, korytarze i załamania kończące się ślepo jak w labiryncie. Piwnice dwupoziomowe, głębokie jak średniowieczne lochy. Wszystko w „Holmes-Castle” było inne, zagadkowe, unikalne, po części niewiadomego przeznaczenia. Najdziwniejsze, że cały ten budynek tchnął przy tym komfortem i swojską przytulnością.

Najsekretniejsze instalacje kładł w głębi murów nie kto inny tylko złotoreczny Benjamin Pitezel. Czynił to wyłącznie przy księżycu i bez świadków.

Pochody, śpiewy, tańce i fajerwerki. Światową Wystawę zaingurowano w Chicago w 1893 r. z niespotykaną dotąd pompą i wystawnością. Nowy świat pragnął zadziwić Stary. Istotnie zdumiał wielu i zafrapował. Nie ma kraju nad Amerykę piękniejszego. Kraj plawił się w do-

statku. A jaki był potężny. Dzięki ci Boże, że jestem Amerykaninem.

Do recepcji „Holmes-Castle” wparował starszy jakiś pan w okularach na nosie. Na jego widok Benjamin Pitezel wprost zastygł za kontuarem z wrażenia. Wreszcie jakaś gruba ryba, a już się zdawało, że i ten dzień, jak wczoraj, minie przy pustej sieci. Pewnie biznesmen z londyńskiej City. Zdradza to ciemny melonik i parasol w ręku. I ta postawa. Siedziwy już, a maszeruje jakby kij połamany, tak jest wyprężony. Benjamin Pitezel przygiął się wpół. Na jego oblicze wypłynął służalczy uśmiešek.

— Do usług, szanownego pana. — Niemal przewiercał gości spojrzeniem swych małych nad wyraz ruchliwych oczu.

— Prosiłbym na kilka dni niewielki apartament — dystyngowany pan mówił przez zęby i jak przystało na dżentelmena, głosem ledwo słyszalnym.

— Pojedynczy?

— Tak, oczywiście.

— Doskonale, już się robi, proszę pana. Nie, nie, żadnych formularzy u nas się nie wypełnia. To tylko zbyteczna strata czasu.

Wciąż unieźniony przygiął się poprowadził gości wąskim krużgankiem na piętro. Stamtąd zszedł niżej i zagłębił się w przejście, wyłożone grubym, tłumiącym kroki dywanem.

— Jesteśmy na miejscu — Benjamin Pitezel wyjął kluczyki z kieszeni — ten jest od sejfów, do pana dyspozycji.

Starszy pan rozejrzał się w pokoju z bystrą i przyjazną ciekawością. Szerokie łóżko, satynowa poduszka, jedwabne prześcieradło, szafa, stoliki wyłożone marmurkiem, dwa skórzanego fotele i stalowy sejf w kącie na wygiętych nieco nóżkach. Lustro bez wątplenia kryształowe, toaletka służąca do golenia mahoniowa, zaś dywan przed łóżkiem wygląda na prawdziwego persę. Cicho gwizdnął, kiedy ci „bloody Americans” zdążyli tak szybko się dorobić.

Wy dobył z portmonetki spory zwitek banknotów, starannie przeliczył, ścigał z palców dwa sygnety i zamknął w sejfie. Wymyślił twarz i dłoń przed lustrem, odetchnął i zaraz napisał dżinem pękata szklaneczkę z rżniętego szkła. Wychyliwszy ją duszkiem, opłukał gardło zimną wodą z kranu, przebrał się w pidżamę i ułożył na gładkiej pościeli z czystego atlasu. Utrudzonej podróży pogrążył się we śnie niemal natychmiast.

Ani by mu przez myśl nie przeszło, że w sąsiednim pokoju rozsiadł się przy biurku dr Herman Holmes i przygląda mu się przez cały ten czas z drugiej strony lustra. Oczy doktora były chłodne i czujne. Zwały się w szparki jak u myśliwego, gdy dojrzał banknoty i dwa poza tym sygnety. Gość jest nadziany, dobra nasza, półów zapowiada się jak rzadko.

Ponownie zajął przez lustro. No tak, facet chrapie jak żarzący. Leży nieruchomo jak przed dwoma dniami młoda dziewczyna obwieszona biżuterią. Zasnęła w tym łóżku jak anioł i na wieki wieków. Teraz przyszła kryśka na tego dżentelmena. Nic go już nie uratuje. Jest w jego rękach. Dr Herman Holmes nacisnął zdecydowanym ruchem guziczek sprytnie ukryty pod białym. W przyległym pokoju dobył się spod łóżka ogłós słumionego syczenia. Apartament zaczął wypełniać gaz. Po jakimś czasie Anglik przestał oddychać i zamarł bez ruchu. Dr Herman Holmes odczekał jeszcze parę minut, po czym wyłączywszy gaz, wśliznął się do apartamentu cicho i dyskretnie jak kot. Roz-

warł na przestrzał dwa okna, odsunął stolik i przycisnął ukryty pod sejfem miniaturowy krążek. Ściana naprzeciw toaletki uchyliła się bezszelestnie. Ukazał się w niej wiaż jak do windy. Herman Holmes przyszedł ciałem, wcisnął je w głąb wnęki i znów przydusił krążek. Zwłoki spłynęły wolno w dół do górnej części dwupoziomowej piwnicy. Jeszcze chwila i otwór w ścianie zatrasnął się samoczynnie. Stolik też wrócił na swoje miejsce. Dr Herman Holmes zjechał w dół windą opatrzoną napisem „private”. Tylko on jeden posiadał do niej kluczyki.

Rozłożył ciało z dużą wprawą na obitym blachą stole.

Zaczął je ćwiartować bez pośpiechu ze znawstwem i precyzją doświadczanego chirurga. Porabane kawałki ciskał kolejno na palenisko rozpalonego do białości pieca. Żeby i kości, nie strawione ogniem, wygarnął potem z popiołu do pojemnika. Po czym zdjął fartuch i nacisnął guziczek pod stołem. W ścianie ukazała się dziura półmetrowej szerokości. Niedopalone szczątki uleciały tym ułajonym zszepem do głębokiego lochu pod ziemią. Cicho, szał, nikt nie widział, nikt niczego nie słyszał. Był człowiek i go nie ma. Tylko popiół się po nim ostał.

Dr Herman Holmes polował na ludzi z zasadzką jak na dziką zwierzę. Zaszlachtował ponad dwustu w przybliżeniu starszych na ogół mężczyzn i samotnych przeważnie kobiet. Niewykluczone, że miał dużo więcej mordów na sumieniu. Nigdy nie udało się dokładnie tego ustalić. Uśmiercał cicho i skutecznie przy użyciu najnowocześniejszej podówczas techniki. Zbudował i uruchomił przemysłową w najdrobniejszych szczegółach istną „fabrykę śmierci”. Ta dobrze naoliwiona machina obracała się pod szyldem „Holmes-Castle” niezauważenie przez 5 lat.

Jak to w końcu bywa i do jej trybów dostało się owo przysłowiowe ziarenko piasku. Wydziały medyczne uniwersytetów amerykańskich wypłacały ciepłą raczką po 80 dolarów za fachowo spreparowane szkielety. Czemuż nie sięgnąć i do tego źródła, pomyślał dr Herman Holmes. Równocześnie Benjamin Pitezel uznał, że niebezpieczna gra trwa zbyt długo, pora się usamodzielniać i stanąć wreszcie na własnych nogach. Miał na to. Torba aż spęczniała od narabianych kosztowności.

Benjamin Pitezel zabrał się do Filadelfii i otworzył tam laboratorium badawcze. Wywiesił nad drzwiami wyrzniętą w mosiądzu tabliczkę, że firma trudni się również zakupem i sprzedażą wynalazczych patentów. Aż tu listopadowej nocy laboratorium wyleciało w powietrze. Urządzenia strawił ogień. Z pogorzeliską odgrzebaną częściowo nadpalone zwłoki Pitezela. Nazajutrz gazety doniosły pod wielkimi nagłówkami, że o to na ołtarzu nauki i postępu złożył swe życie jeden z najzdolniejszych w mieście techników. Cześć jego pamięci.

Tak się przedziwnie na pozór spłotło, że tuż przed swą tragiczną śmiercią Benjamin Pitezel ubezpieczył się na 10 tysięcy dolarów. Wzbudziło to podejrzenie, Czy aby śmierci nie upozorowano? Nie, oszustwa nikt się nie dopuścił. To Benjamin Pitezel zginął na posterunku, o rzekli rzeczoznawcy. Policy w żaden sposób nie dało się obalić. Tak więc Towarzystwo Ubezpieczeniowe wypłaciło żonie Benjamin Pitezela okragłą wówczas sumkę co do centa.

Nieoczekiwanie na ręce prezesa Towarzystwa Ubezpieczeniowego wpłynął anonim. Ktoś nieznanym powiadomił, że zwłoki znalezione w laboratorium należą do kogoś całkiem innego. Podrzucił je tam niejaki Henry Howard z Chicago, który ciała pobrane z kostnicy przerabiał na szkielety, grubo na tym zarabiając. Zainicjował zgon Benjamin Pitezela i podzielił się z nim odszkodowaniem. Obaj pomogli sobie bezczelnym fałszem. Ciało ekshumowano.

Poproszono nowych biegłych, zjawili się też żona Benjamin Pitezela. To on, mój mąż, nikt inny tylko on, wołala, zanosząc się szlochem. Do jej zdania przychylił się biegły. Również znajomi rozpoznali Benjamin Pitezela. Szalbierstwa nie udowodniono. Z wyrazami przeprosin Towarzystwo Ubezpieczeniowe wycofało się ze swych podejrzeń. Skłonne już było nawet zarzucić dalsze dochodzenie. Smrodek snuł się jednak nadal.

Kto to taki, Henry Howard?

Do Chicago pchnięto cichcem dwóch wytrawnych wespółci. Niebawem wykryli, że za Henrym Howardem kryje się dr Herman Holmes. Tym samym weszli, nic jeszcze o tym nie wiedząc, na trop sensacji stulecia. Raz jeszcze wzięto w obroty żonę Benjamin Pitezela. Robiła wrażenie czymś śmiertelnie wystraszonej. Miała po temu powody. Do „Holmes-Castle” wyprawił się nie tylko jej mąż. Podążyła za nim także trójka jej dzieci. Nigdy więcej nikogo z nich nie ujrzano na oczy. Wpadła więc w czarną rozpacz, drząc teraz o własną skórę. Nie tak dawno mąż naszeptał jej na ucho o tych strasznych rzeczach, jakie dzieją się w „Holmes-Castle”.

Dr Herman Holmes to szatan w ludzkiej skórze. Zakatrupił jej męża i uśmiercił też dzieci. Czekaj tylko sposobności, żeby też z nią się rozprawić i całe ubezpieczenie zagarnąć dla siebie. Nie, dłużej nie będzie trzymać języka za zębami. Pójdzie policji na rękę, leży to w jej własnym interesie. Powie, tak jak było, niczego nie zatając.

Jak do tego doszło, że dr Herman Holmes niebawem zwykle ostrożny i dmuchający na zimno, dopuścił się takiej nierozwagi i powiódł do Filadelfii ciało Benjamin Pitezela? Miał to być inne zwłoki, tak się umówiono. Otóż zakradła się pomyłka. W górnej piwnicy spoczywały tamtego dnia dwa ciała. Jedno z nich, to z kostnicy, miało być umieszczone w laboratorium i tam ulec w ogniu zniszczeniu. Drugie zwłoki, Benjamin Pitezela właśnie, dr Herman Holmes zamierzał spopielić na miejscu. Przez nieuwagę powiódł do Filadelfii nie to ciało. Na domiar wszystkiego ogień go nie strawił. No i wpadł.

Prawdopodobnie przy podziale zysków kogoś z agentów wykiwał. Ten urażony w swej godności do żywego, wysmarował gdzie trzeba donos na doktora. Innych chciało wykładować, sam posmakujesz, czym to pachnie. Ostatnie zaś gwoździe do trumny dr Hermana Holmesa przybiła pani Pitezel, powodowana lekkiem o własne życie. No i z zemsty za śmierć dzieci i oddanego jej męża.



K

fedy przed laty studenci odbywali Juvenalia, miasto należało do nich. Wesoła brać studencka wypełniała ulice i place. Z głośników umocowanych na specjalnych tramwajach kursujących po Łodzi płynęła muzyka. Parki i skwery pełne były beztrudnej zabawy. W harce żaków włączali się przechodnie, którym akademickie święto dawało wytchnienie, przywracało młodość i radość życia.

Piątkowe popołudnie. Na ulicy Gabriela Narutowicza ruch przeciętny. Zupełnie nie odczuwa się nastroju studenckich harców. A przecież jest to główny szlak z Centrum na „Lumumbowo”. Jadę tramwajem w kierunku studenckiego osiedla. Przy Marcellego Nowotki wagon pustoszeje. Tu wysiadają mieszkający akademików i goście. Tych ostatnich jest dzisiaj więcej niż zwykle.

W kierunku domów studenckich podąża kawałkami młodych ludzi, objuczonych wypchanymi

wań kolejne butelki opróżnione są z zawartości. Ani wojenne akcesoria, ani płynąca szeroką strugą rzeka piwa nie budzą agresji — na razie.

Tuż po godz. 16 wycie klaskosonów miesza się z dziką wrzawą zebranej gawiedzi. Pod eskortą starych wojskowych motocykli na osiedle wjeżdża „Ciotren” weteran. To władze uczelni przybyły, aby oficjalnie otworzyć Juvenalia. Krótka część oficjalna — rektorzy Uniwersytetu i Akademii Medycznej przekazują Radzie Mieszkalców klucze do akademickiego miasta. Studenci przejmują władzę i dają hasło do rozpoczęcia harców:

„Miasto jest nasze! Wypowiadamy

wojnę!”

Co prawda nie bardzo wiadomo, kto jest wrogiem, ale entuzjazm jest wielki. Zebrani owacyjnie przyjmują wezwania wodzów, wznosząc w górę ręce zbrojne we wszelakie militaria. Działania wojenne rozpoczęły

ni rośnie — dosłownie i w przenośni. Kiedy na scenę wychodzą Kaczki z Nowej Paczki publika jest już rozgrzana. Cała sala śpiewa z zespołem kolejnej utworów.

Kiedy w nocnym autobusie walczą ze snem pierwsze poranne tramwaje wyjeżdżają już na trasę.

Sobota — drugi dzień juvenaliowego szaleństwa.

Ledwie opuściłem przytulne wnętrze tramwaju, a już jestem w centrum balu. Atmosfera zupełnie inna niż poprzedniego wieczoru. Głośniki rozwieszone na terenie osiedla trzeszczą muzyką. Z pootwieranych, mimo chłodu, okien dobiega wrzawa. „Lumumbowo” tętni życiem.

Z trudem udaje mi się dostać do Pretora. To właśnie tu frekwencja jest największa. Nic dziwnego — dyskoteka już trwa, a wejść może każdy, kto pokaże legitymację lub okolicznościowy znaczek. W innych klubach ponurzy bramkarze bezwzględnie egzekwują obojętne noszenia znaczków — swoistej karty wstępu. Natręt z legitymacją nie ma tu czego szukać. Sprawnie usunięty za drzwi może na deszczu cieszyć się, że jest studentem — na dziedzią swojego kraju. To poprawia samopoczucie, mimo że tępy wykiadało (podobno porządkowi to też studenci?) wulgarnie wytłumaczy ci, że legitymacja studenta prawa UL jest nieważna w tym klubie. Zbyt cennie własne zdrowie, żeby nie stać mniej było na rezygnację z imprezy w Klubie „Olimp”. Czyżby to była ta „inicjatywa mieszkańców”, za którą X DS otrzymał wyróżnienie za wzorowe Dom Studenta?

Podobnie jest w innych klubach. Bramkarze wyraźnie preferują posiadaczy znaczków — niekoniecznie studentów. Frajerów, którzy nie kupili znaczka (notabene dosyć drogie) bezparadonowo usuwają. Kiedy przy pomocy pożyczonego emblematu wchodzi do „Tygrysa” (w rzeczywistości kilku osób — również bez wejściówek) słyszę fragment koncertu:

„Koncerty popołudniowe pełne bezmózgów w służbie porządkowej. Patrzą wokół, bo swędzą ich ręce. Kochają bic coraz więcej i więcej”.

Kurtkę zostawiam w jednym z pokoiów i po dłuższej chwili (zadyma przy wejściu) udaje mi się dostać do sali. Stoję wśród falującego tłumu. Fala decybeli omal nie zwała mnie z nóg. Natrętny łomot perkusji wdziera się do mózgu. To „KULT-grupa”, legenda. Sami o sobie powiedzieli:

„...możemy zagrać albo zabębnić koncert, albo żenujący”.

Tym razem nie jest najgorzej, chociaż wokół momentami ginie w fascynującym zaaranżowanym hałasie. Sala przykuwa uwagę spokojnie, ale wiadać, że ta muzyka porwuje i wciąga, a jednocześnie przykuwa do podłogi i zmusza do przyjęcia agresywnie podawanego, niebanalnego tekstu.

— Polska! Polska! — krzyczą zebrani i na koniec muzyki brawurowo wykonują utwór, którego żąda publiczność: „Jak jest w sobotę nad ranem?”

Po sobotnich balach chodniki zarzucane (...)

Czy byłes kiedyś w Kutnie na dworcu w nocy?

Jest tak brudno i brzydko, że aż pękają oczy.

Polska. Mieszkam w Polsce. Mieszkam tu”.

Przerwa. Teraz jest czas na otarcie spoczonego czoła, odszukanie znajomych, osuszenie butelki piwa. Sala jest prawie pusta. Kilka minut ciszy to szansa na łyk świeżego powietrza.

Zmiana nastroju. Na scenie „Blues Temper”. Po chwili blues ogarnia wnętrze, wypływa do hallu i swoją siłą przyciąga rzesze fanów. Kiedy kończy się pierwszy utwór sala pęka w szwach.

Siedzimy zasluchani w perfekcyjnie brzmieniu kapeli. Muzyce nie ograniczają się do bluesa. Z głośników płyną bogogi, funki, rock’n’roll. W kolejnych utworach wszystkie style miesza się dając przedziwny, ekscytujący efekt. Napiecie osiąga punkt szczytowy i następuje wybuch. Tłum zaczyna tańczyć. W powietrzu trującej swetry i marynarki. Kiedy temat z filmu „Blues Brothers” grupa kończy występ, ma kłopoty z opuszczeniem sali. Bra- wa, okrzyki, podziękowania. Ktoś całuje futerał do gitary. Na twarzach trzech bohaterów wieczoru widać radość. To dzięki nim kilkaset osób miało fantastyczny ubaw.

Konferansjer informuje o równoległych imprezach (tego dnia nieco lepiej działa reklama). Na scenie szybko montuje się następny wykonawca. „Zuki” śpieszą się. Dobrze wiedzą, że nastroje są gorące. Nie można pozwolić, żeby publiczność ostygła. Chcą dorzucić do ognia, który rozpalila poprzednia kapela i... udaje im się to znakomicie. Pomimo kłopotów technicznych widowiska rozkłosyła i rozśpiewana przyjmują owacyjnie wiernie odwziewane piosenki Beatlesów, a także inne, doskonale opracowane rock and roll’e.

W tanecznych nastrojach rozbawieni zacy opuszczają salę. Na swoich miejscach pozostają nieliczni, następny wykonawca nie będzie grał muzyki do tańca. Nazwa „Noiser” (przepraszam, jeśli pomyliłem), gwarantuje raczej atak decybeli w ilości przekraczającej wszelkie ustalone normy. Sprzęt nie wytrzymał obciążenia i muzyka zmienia się w beładny hałas.

— Co to jest? — krzyczy ktoś z widowni.

To heavy metal — muzyka, która wzbudza strach.

Rytm perkusji rozmywa się w gitarowych piskach na granicy słyszalności ludzkiego ucha. Wokal ginie w beładnym to-mocie. Głośniki eksplodują zgrzytem sprężających instrumentów i mikrofonów — czyżby sabotaż akustyka? A może „tylko” złośliwość przedmiotów martwych?

Stremowani chłopcy przepraszają, ale nie bardzo wiedzą, jak zapobiec dalszym awariom. A publiczność jest bezsilna — krzyki, ponagające gwizdy. Kiedy kończy się występ widowia jest prawie pusta.

Ja też mam już dość. Nie czekam na dalsze atrakcje i wychodzę z sali. Hałas panujący w hallu wydaje się piękną muzyką.

Odwiedzam jeszcze pokój, gdzie zostawiłem kurtkę. Tutaj — na drugim piętrze panuje niesamowita cisza. Z dołu dociera tylko delikatny szum. Do pokoju nie dociera jednak nic. Na stole leżą książki, zeszyty, notatki. Mieszkanki tej enklawy spokoju przygotowują się do egzaminu. Nie przeszkadza im zabieranie rzeczy i wychodzenie z sali. Wciąż panuje w hallu wydaje się piękną muzyką.

Pieszko docieram do przystanku. Nie jestem sam. Pod dachem schroniło się jeszcze kilka osób. Wszyscy wracają z „Lumumbowa”. Siedzący obok wyjmują butelkę Stolewej.

— Napij się — na rozgrzew-

ke.

Nie mam ochoty na alkohol, chociaż jest bardzo zimno. Wiatr dmucha deszczem pod wiat — prosto w twarz.

Nareszcie przyjeżdża autobus. Jeszcze kilkanaście minut i będę w domu.

Kołysanie autobusu usypia pasażerów. W jednostajnym szumie silnika niedawne przeżycia gasną i bledną. Ich miejsce zajmuje nieodparte pragnienie snu.

Kiedy wstał następny dzień, juvenalia były już tylko wspomnieniem.



Mówi: JANUSZ KŁOSIŃSKI

— Jakoś cicho o panu ostatnimi czasami? — Nie z mojej winy. Gdy otrzymuję propozycję — korzystam z niej. Nie przerwałem pracy w audycji radiowej „W Jezioranach”, gdzie gram stryjka Józefa. Dzięki temu zauważyłem dużą znajomość mojego głosu. Uważam, że takie audycje, choć uznawane za mniej wartościowe pod względem literackim, są cennym dokumentem epoki. Nakręciłem ostatnio kilka filmów: „Cesarskie cięcie”, „Na całość”. Moje emploty nie poszerza się, więc mogę grać określone postacie. Ponadto wzięli między ludźmi z branży zostały przerwane, choć nie wszystkie, utworzyły się pewne zespoły.

— Ale było też o panu głośno i nieprzyjemnie. Czy uprawiając zawód publiczny jest pan na wszystko przygotowany? — Myślę, że jestem na tyle zahartowany, że potrafię odróżnić w człowieku jego poglądy od jego postawy czysto ludzkiej. Można być skrajnie radykalnym w swych poglądach a jednocześnie bardzo tolerancyjnym, wyrozumiałym, miłym towarzyszem. Dziwię się jeśli ktoś na podstawie moich poglądów mnie nienawidzi, bo można nienawidzić ideologii, sprawy, ale czy na tej podstawie można osądzać człowieka? Jest wielu ludzi, których poglądów nie mógłbym akceptować, u innych ich poglądy są niesprecyzowane, ale nigdy nie mógłbym takiego człowieka przekreślić, ufać samemu. Chciałbym przekonać ludzi o innych poglądach, że myślą się. Zali mi ich.

— W Łodzi wiodło się panu nieźle, dlaczego pan ją opuścił? — Wiodło mi się tu świetnie, moja siostra mówi, że Adam Hanuszkiewicz nie dał mi tej szansy w Warszawie. Ale tkwi w tym trochę mojej winy, bo uwiodły mnie film i telewizja, dając szersze wejście w zawód. Gdy dziś widzę szereg znakomitych kolegów aktorów z Łodzi, którzy nie mogą się przebić za okrag województwa, jest mi smutno. W Warszawie miałem ciekawsz niż w Łodzi propozycje, także reżyserskie. Dyrekcji Teatru Nowego w Łodzi pozbawiono mnie w sposób niesłuszny, z uwagi na moją nieprzejednaną postawę wobec mocodawców.

— Jaki był ten 16-ty rok w życiu artystycznym? — Wspaniały. Byłem współzałożycielem Teatru Nowego, pracowałem więc w swoim teatrze. Po trzech latach pracy w Teatrze Wojska Polskiego. To była najlepsza szkoła, jaka może być dla aktora. Pracowałem tu w latach 1947—70, dyrektorem 3 lata w Teatrze „7.15” i 6 lat w Teatrze Nowym. Mija właśnie 40-lecie mojej pracy artystycznej, o czym nikt nie pamięta.

— A najlepszy czas Janusza Kłosińskiego w zawodzie? — To były lata 1955—60, właśnie w Łodzi, spektakle: „Majakowski”, „Szkoła żon”, „Don Juan”, „Pan Punilla i jego służka Matti”, tę ostatnią rolę uważam za najlepszą w swoim dorobku teatralnym. Z filmowego okresu, po „Czterech pancernych” zagrałem kilka głównych ról: „Niespotkanie spokojny człowiek”, „Czterdziestolatek”. Na lata 1970—79 przypada moja największa dorobek filmowa.

— Jak pan się teraz czuje w Warszawie? — Dziwnie. Środowisko jest wciąż niezintegrowane. Ale mam miłych współlokatorów i jestem szanowany wśród widzów.

— Woli pan być szeregowym aktorem w stołecznym teatrze, czy z rozrzewnieniem wspomina pan czasy, gdy był dyrektorem teatru w Łodzi? — Zawsze wolałem pracować pod czyimś kierownictwem niż samemu kierować teatrem, zespołem ludzi. Zawsze uważałem, że duszą teatru jest aktor, a reżyser to ten aktor, któremu się nie powiodło. Dla aktora jest to zawód o możliwościach nieograniczonych, szukanie prawdy w zakamarkach swego intelektu i swojej duszy.

— Jakim dyrektorem pan był? — Byłem dyrektorem typu „Panie majster”, choć raczej brygadziści niż majster. Zresztą mniej zajmowałem się dyktowaniem a bardziej kierownictwem artystycznym.

— Dyrektor-aktor powinien lepiej porozumiewać się z kolegami aktorami? — Oczywiście, będąc dyrektorem teatru cieszyłem się z sukcesów innych. A najbardziej przykry moment to wtedy, gdy miałem dobrą recenzję a inny kolega zła.

— Z natury jest pan łagodny, spokojny, wyrozumiały czy odwrotnie? — Dla siebie jestem dość okrutny, dla innych bardzo wyrozumiały. Tylko nikt mnie nie widzi, jak sam ze sobą się obchodzę. Moja żona jednak uważa, że współżycie ze mną dowodzi z jej strony heroizmu i poświęcenia.

— A co pan sądzi o żonie? — Od 1943 roku ta sama. Cywil. Bardzo lubi teatr i często sama chodzi na spektakle. Byłaby niezadowolona, gdybym powiedział coś więcej.

— Córki? — Grażyna, po historii, mieszka w Łodzi. Jadwiga, po pedagogice resocjalizacyjnej mieszka w Warszawie.

— Wnuki? — Jeden. Lat 16, Adam, uczeń III LO w Łodzi.

— Hobby? — Bardzo lubię książki, szczególnie biograficzne, pamiętniki historyczne, pisma Stanisława Szasica, powieści głębokie i trudne. Lubię też pracę fizyczną na działce. Ostatnio umyłem wszystkie ściany i sufity w mieszkaniu.

— A na co od dawną ma pan ochotę i chciałby kiedyś zrealizować tę pasję? — Chciałbym napisać pamiętnik albo dramat, w których mógłbym zawrzeć całe swoje doświadczenie życiowe. Mam kilka innych pomysłów, m. in. na wersję nowoczesną problemu Judasza. W głowie mam cały konsept tej sztuki, ale wiem, że nigdy jej nie napiszę.

— Co robi pan zwykle, gdy mu się coś nie udaje? — Nigdy nie sięgałem wysoko, wiem do czego dążyć, dlatego nie spotkał mnie zawód, że coś zacząłem, ale mi się nie udało. Ostatnio byłem dyrektorem Teatru Łalki i Aktora w Warszawie ale tylko trzy miesiące, zrezygnowałem, bo nie taki cel życiowy sobie postawiłem.

— Co uważa pan za swój największy sukces? — Za największy sukces uważam to, że mój zawód (trudny i nerwowy) nie zniszczył mnie a pomógł w ukształtowaniu osobowości.

— Jaki znak Zodiaku panu patronuje? — Skorpion.

— Br! A jakiego patrona potrzebuje pan dla siebie? — Zwycięza u mnie racjonalizm. Kładę kaganiec na swoją naturę skazaną uczuciowością. Jestem za miękki, abym mógł być dobrym pedagogiem w łódzkiej szkole filmowej, gdzie swego czasu wykładałem na wydziale reżyserii.

Rozmawiał: BOJAN GADOMSKI

W „Lumumbowie” byli Juvenalia!

Miasto tego nie zauważyło!

MAREK JUŚKIEWICZ

torbami i plecakami. Bagaże brzęczą butelkami piwa. Idę razem z nimi. Z osiedla dobiega muzyka i gwar. Jeszcze kilka metrów i jesteśmy w centrum wydarzeń.

Mijamy rozbiłony akademik. Ktoś uprzedził ostrzegę, żeby trzymać się z dala od ścian. Ktoś dociekliwy usiłuje dowiedzieć się dlaczego i zaraz empirycznie poznaje odpowiedź — z okna spada na niego woda. Następni są ostrożniejsi. Trzymają się w przyswoitej odległości od budynków.

Kieruje się do Pretora (III DS), gdzie mieszkają znajomi z wydziału. Chodnik przed wejściem jest mokry. Przebiegam niebezpieczną strefą. Udało się — jestem suchy. Za mną spada ulewa.

Za drzwiami „Trójki” dany jest nam inny świat. Wymyślone stroje, chelmy, kaski, miecze, szable — jednym słowem — historia uzbrojenia w pigułę. Na tablicy plakat — „JUVENALIA’88 — MIŁOŚĆ I WOJNA”.

Teraz wszystko jest jasne. Nie dziwią już wodne bombardowania, wałęsający się po osiedlu uzbrojeni po zęby terrorysti ani funkcjonariuszki służby Archeo (wider „Seksmisja”) w oryginalnych filmowych strojach. Ruch tu ogromny, ale nikt nie zna planu imprezy.

Idę tam, dokąd zmierzają wszyscy — na osiedlowy plac, gdzie stoi estrada. Właśnie trwa montaż sprzętu. Ze wszystkich stron przybývają grupki przebierańców. Wkrótce przestrzeń przed estradą jest wypełniona rozbawionymi żakami. W oczekiwaniu na rozpoczęcie imprezy, wśród śpiewów i nawoły-

się, ale nadal nie wiem, jakie są plany operacyjne. Wobec takiego obrotu sprawy postanawiam wycofać się na z góry upatrzone pozycje i poczekać na rozwój wypadków.

„Lumumbowo” opuszczam razem z tłumem uchodźców. Tramwaj jest pełen tych, którzy nie biorą udziału w zbiorowej swawoli. Ci najbliższe dwa dni spędzą w domach.

Po kilku godzinach znów jestem na osiedlu.

Jest ciemno i ponuro.

Mrok rozjaśniają tylko oświetlone okna akademików. Teren nie wygląda na centrum studenckich igraszek.

Pamiętam, żeby nie podchodzić pod ścianę. To procentuje — wciąż jestem suchy. Nie wszystkim się udało. Teraz — w nocy, trudno poznać w którym oknie czeka dowiecni z wiadrem wody.

Miedzy budynkami przemijają bandy przebierańców, szukających okazji do zabawy. W osiedlowych klubach odbywają się dyskoteki. W pokojach u znajomych można przy odrobinie szczęścia zaspokoić głód i pragnienie. Ale życie jest brutalne. Zapasy piwa szybko się wyczerpują. Przed północą tylko przezorni (ci kupili więcej) i oszczędni (ci z kolei pili mniej) szpanują pełną flaszką. Oni mają piwo. Innym pozostają tylko igrzyska.

Teraz Klub „Tygrys” przejmie rolę centrum Juvenaliów. Tu zmierzają rzesze poszukiwaczy nowych wrażeń. Rozpoczną się kabarety. Występ przy- mowany jest chłodno, ale z czasem temperatura na widow-



Foto: Grzegorz Gałasiński

PRÓBA POROZUMIENIA

Z RZECZYWISTOŚCIĄ

więc coś że napisałeś kiedyś
bym kreowała świat
na swoje własne podobieństwo
więc coś że jest to najprawdziwszy opłatek
racji

kiedy pod moją cienką skórą
pulsuje dopomina się dyszy
kiedy na szczytach policzków
króluję zaróżowiona i zawsze pewna siebie
kobiecość której rzeczka rozkwitać
w ciepłe solidnych najlepiej białych płetów
której rzeczka odpoczywać u mocnych pnidzew
wyruszać bez sprzeciwu w każdą drogę
prowadzącą do rzytmu serca
której rzeczka zasłaniać okna domu
czy wiesz że bardzo dobrze będzie
jeśli coś zdołam powiedzieć
choć słowo
choć wers



Foto: Józef Galecki

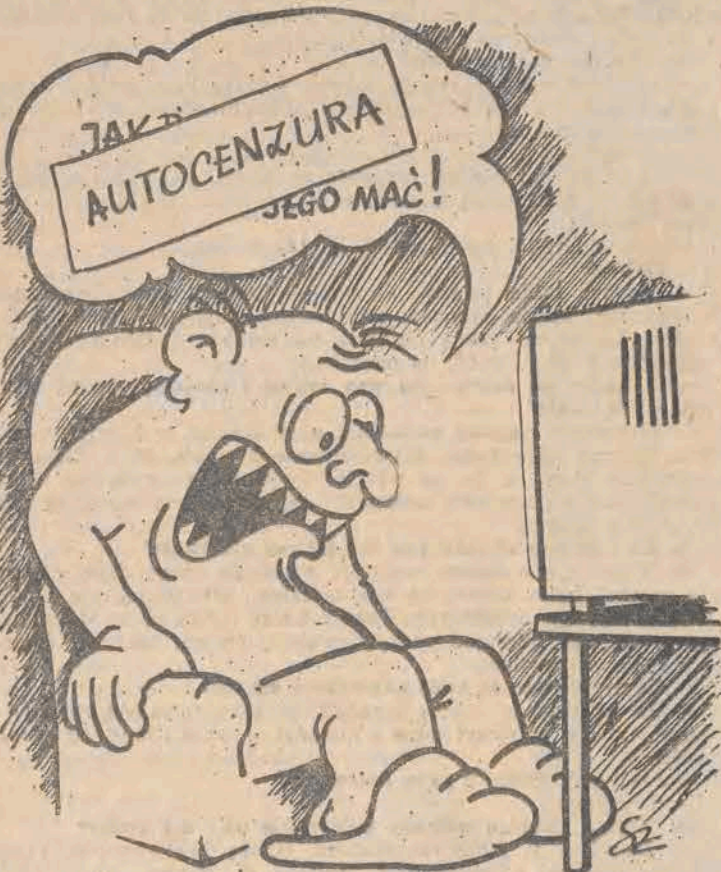
MODA NA SEZAMKI

Dziecięcy Zespół Estradowy „Sezamki” działa w Zakładowym Domu Kultury „Księża Młyn” przy „Uniotek”. Śpiewające i tańczące nastolatki nagryły już kilka teledysków telewizyjnych, m.in. dla „Telewizji”. Ostatnio odbyły 4-dniowe tournée po Czechosłowacji. Wystąpiły w zakładowym DK w Puchov z programem „Sezamki”, zawierającym piosenki z repertuaru znanych lodziaków, tj. ze „Spotkania bajek”, „Drzewka szczęścia” oraz „Rębit na chodzie”. Dali też występ w związkowym DK w Povażskej Bystricy.

Józef Galecki, autor muzyki do tego programu uważa, że u Słowaków spotkali się z niezwykle serdecznym przyjęciem. Imprezy były idealnie przygotowane pod względem technicznym, „Sezamki” co prawda występowały w domach kultury ale te mają sceny dysponujące możliwościami, porównywalnymi z naszymi teatrami zawodowymi. Dwudziestotysięczny Puchov z salą widowiskową na 300 miejsc, rzędami rozstawionymi amfiteatralnie, na każdy występ sprzedają bilety — mówią najlepiej o podejściu gospodarzy do kultury, zwanej u nas robotniczą, niedochodową i nie przez wszystkich pieszczoną. Na pamiątkę „Sezamki” zostały wydane kasety magnetofonowe z 18 nagranymi profesjonalnie swoimi piosenkami.

Zanim „Sezamki” wyjechały na swoje najważniejsze tournée, w Łodzi gościliśmy w ubiegłym roku Zespół Pieśni i Tańca „Vah” z zaprzyjaźnionych z „Uniotek” zakładów odzieżowych „Makryta” w Puchov. W tym roku stronę słowacką reprezentowała orkiestra dęta. Koncertowała w parku Źródłiska oraz w Helenówku. Wymiana grup artystycznych z CSRS ma już 10-letnią tradycję. Niedługo „Sezamki” odwiedzą Związek Radziecki.

W. KUPISZ



Rys. Sławomir Łuczyński

8 ODGŁOSY

TRIENNALE TKANINY

Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że od kiedy człowiek posiadał umiejętność wyrabiania tkaniny stała się ona rodzajem sztuki. Tapiserie, wielobarwne tkaniny dekoracyjne przedstawiające sceny biblijne, legendarne, mitologiczne, starożytną, rycerską, bądź o tematyce krajoznawczej (werdiury), od bardzo dawna służyły do dekoracji ścian, obić, zasłon, zakryć. Znaną była w starożytnym Egipcie od czasów XVIII dynastii, technika stosowana w tkactwie koptyjskim od III w. do wyrobu ozdób do tunik, praktykowana w prekolumbijskim Peru, w Chinach. W Europie tapiserie kano od XII w. (Niemcy). W następnych wiekach pojawiło się wiele słynnych ośrodków — Paryż, Arras, Tournai, Bruksela, Antwerpia, Oudenarde, Ferrara, Florencia — wyroby tapiserii: pojawiły się manufaktury gobelinów (słynna królewska manufaktura w Paryżu). Także Polska ma swoje tradycje w tapiserstwie sięgające manufaktur w Nieswieżu, Biedźdźcu, z której pochodziły ornaty tkane w tej technice.

Dzisiaj tkactwo artystyczne posiada własny, wyodrębniony w sztukach plastycznych, artystyczny wymiar, z własnymi imprezami o charakterze konkursowym i wystawienniczym. Do czołowych imprez plastycznych, na których prezentowane są tkaniny artystyczne należą Biennale w Lozannie i Międzynarodowe Triennale Tkaniny w Łodzi. Szóstą edycję tego znaczącego wydarzenia artystycznego trwa w Łodzi od 30 maja, bierze w nim udział stu autorów z 30 krajów — m. in. Japonii, Ar-

gentyny, Kanady, Holandii, Belgii, RFN, Szwecji, Włoch, USA, ZSRR, Francji.

W czasie uroczystego, wernisażu międzynarodowej jury ogłoszono swój werdykt. Złoty medal triennale przyznano łódzkiej artystce — Dobrosławie Kowalewskiej za pracę „Księża D”. Srebrne medale otrzymali: Japonka Katsuhiko Fujimura i Polak — Wojciech Jaskółka. Cztery medale brązowe przypadły Andrzejowi Bartczakowi z Polski, Hansowi Herpichowi z RFN, Veronice Nygren ze Szwecji i Chiyei Tanace z Japonii.

VI Międzynarodowe Triennale Tkaniny towarzyszy wiele niezwykle interesujących imprez wystawienniczych (10 wystaw), że wymienimy tylko ekspozycje tkanin i kimon, no i oczywiście, V Ogólnopolską Wystawę Tkaniny Unikatowej (Muzeum Historii Miasta Łodzi), w której bierze udział 30 twórców z całej Polski. Tutaj także wyłoniono trzech laureatów wystawy. Nagrodę ministra kultury i sztuki jury przyznało Jolancie Rudzkiej-Habisiak, nagrodę prezydenta m. Łodzi — Jadwidzie Jarosiewicz-Olesiak, a nagrodę BWA — Marcie Gasieniczy-Szostak.

Na wystawach które czynno będą do końca wazoni, obejrzyć można zarówno kompozycje przastyczne, swoiste rzeźby, jak i tradycyjne gobeliny z realistycznymi motywami, zaś wśród tradycyjnych twórców stosowanych w tej dziedzinie sztuki — skóry i papier, które dają zaskakujące efekty w artystycznym wyrazie.

M. Z.

Paryż dyktuje modę światową. Jest to stwierdzenie tak oczywiste, że brzmi jak truizm. Decyduje nie tylko o kroju, kolorach i rodzaju tkanin. Dorabia do tego swoistą ideologię, kształtuje typ kobiety, ideał piękna i elegancji.

Właśnie teraz, gdy miliony pań na całym cywilizowanym świecie, żyjąc w błogiej niewiedomości, słone, ściśnięte talie, mini, wyspowagi sytuacji kartkuje żurnale, siko pomyslane tak, by uwydatniały się linie ciała. Dostosowano

należy wstydyć się pulchnych kształtów, labezdnych szyi i pełnych warg. Być kobietą to dobrze, a jeszcze lepiej na nią wyglądać. Wszyscy specjalistycznie zagadnienia są zgodni: wracają lat kobiecości. Trzeba podkreślić kobiece linie.

W modzie tendencja ta wystąpiła już kilka lat temu. Podkreślano, ściśnięte talie, mini, wyspowagi sytuacji kartkuje żurnale, siko pomyslane tak, by uwydatniały się linie ciała. Dostosowano

czek Turcy, a w Holandii Indonezyjczycy. Szuka się obecnie mieszanek narodowościowych i etnicznych.

„Dość mamy Wikingów” — mówi się obecnie w świecie mody. Skończyło się panowanie wysokich, idealnie pięknych blondynek. Brunetki, uważane do niedawna za wulgarne, są obecnie coraz bardziej poszukiwane. Sama uroda już nie wystarczy. Aby błyszczeć trzeba posiadać

KORESPONDENCJA „ODGŁOSÓW” Z PARYŻA

PIĘKNOŚĆ WEDŁUG PARYSKIEJ MODY

jąc się modnie ubrać, w Paryżu toczy się zacięta walka. Stawka w niej jest wizerunek kobiety lat 90-tych. Może więc zainteresuje czytelników garść najświeższych wiadomości z bezkrawcowego frontu mody i elegancji.

Aby zdać sobie sprawę z kierunku zachodzących obecnie przemian, cofnijmy się o kilkanaście lat. Feministki lat 70. odrzucały slogan „Bądź piękna i miła”. Aby mówić i być usłyszana, niekoniecznie trzeba było błyszczeć urodą. Piękno wewnętrzne objawiało się przez zewnętrzny brak wyrazu. Po dziesięcioleciu dominacji umysłu nastąpiła z kolei era masywności ciała. Poszukiwanie „głębi” zostało wyparte przez chęć osiągnięcia formy i sprawności fizycznej. Między skórą i kośćmi odziedziczonymi po latach „plastyczności” wyrosły mięśnie. Jogging, aerobik, kulturizm wymodelowały sylwetki takie, jak u Jane Fonda czy Madonny. Cechą kobiet ostatnich dwudziestu lat były formy bezpłciowe: wydłużona sylwetka, zlikwidowanie wypukłości. Okrągłości — jeśli nawet występowały — były starannie maskowane. Modne były duże swetry i marynarki z wielkimi ramionami, szerokie płaszcze, pod którymi nie sposób było odgadnąć kształty.

Ostatnie lata stoją pod znakiem. Wracają do łask zaokrąglone sylwetki. Nie

do tego tkaniny opinające sylwetkę. Azzedine Alaia przeuczył to już wcześniej. Nowością jest natomiast podkreślenie, że każda kobieta jest inna, że ma inną wysokość, inną sylwetkę. Jean-Paul Gaultier wprowadza na swoje pokazy modelki o wzroście 160 cm i o wyraźnie zaokrąglonych liniach.

Alaia i Gaultier są obecnie jednymi z najlepszych i najwyżej cenionych projektantów mody. Reprezentują oni nową generację mody francuskiej: odejście od spokojnych, klasycznych linii na rzecz zwariowanego nieco futurystyczno-folklorystycznego stylu (szczególnie Gaultier). Większość młodych francuskich piosenkarek i aktorek preferuje ten właśnie styl. Dzieje się to kosztem dotychczasowych autorytetów, jak Yves Saint-Laurent, (którego najwierniejszą klientką jest Catherine Deneuve), Christian Dior, czy Pierre Cardin (ubierający Mireille Mathieu).

Nowa tendencja wystąpiła nie tylko w sylwetce, ale i w urodzie. Nie ma obecnie jednego obowiązującego „kolorytu” (blondynki), jest natomiast preferencja ras mieszanych. Marpessa, jedna z popularniejszych obecnie modelek, jest pół-Holenderką, pół-Kolumbią. Przypomni sobie, że Europa stała się konglomeraatem ras, że w Anglii żyją Hindusi i Murzyni, we Francji Antylezcy i Arabowie, w Niem-

coś więcej: osobowość, która przebiega z obiektywem, wrodzoną elegancję i klasę. Wzorem jest ciemnowłosa Inez de la Fressange, od kilku lat główna modelka domu Chanel, która idealnie personifikuje sztyk paryski. Wszyscy zgodni są co do tego, że to dzięki niej Chanel odzyskał światową, nieco podupadłą renomę, a co za tym idzie — zwiększył dochody.

Przestarzałe stały się regularne rysy. Nie szuka się już piękności idealnej, klasycznej. Skazy, mankamenty urody nie są tuszowane. Przeciwnie, uwydatnia się je, czyniąc z nich najważniejszy element urody. Lekko zakrzywiony nos, cienie pod oczami, białe włosy, czy nawet lekkie zez czynią każdą modelkę odmienną i niepowtarzalną.

Nowa piękność wymyka się jakiegokolwiek klasyfikacji. Nie ma już jednego, uniwersalnego modelu, kanonu piękności, nie ma urody idealnej. Każda kobieta może być uznana za piękną, co z pewnością jest dobrą nowiną dla wszystkich pań. Ma tak być do końca stulecia.

A co będzie potem — zobaczymy... już za parę lat, gdy paryscy projektanci zaczną się przyszywać do XXI wieku.

ALEKSANDRA ORŁOWSKA

PESTKI DYNI

„Na Rusi rzadko czczono wielkiego artystę” — pisze współczesny historyk sztuki, Michał Alpatow. „Ale przecież imię Rublowa otoczone było szacunkiem i sławą. Stało się niemal symbolem prawdziwego artysty” — dodaje zaraz potem. W Moskwie, w Monastyrze Andronikowskim, gdzie kiedyś przebywał jako mnich-malarz, jest dziś muzeum jego imienia.

Był jeszcze jeden malarz, którego znano dobrze w Nowogrodzie Wielkim i Moskwie. Starszy od Rublowa, greckiego pochodzenia, przywędrował wraz z innymi południowcami na Rus, w XIV wieku, szukając dobrych warunków pracy i opieki światłego mecenasa. „Jak żaden inny przyniósł dużo nowego” — pisał o nim Malowal — przeważnie freski, a zwali go Teofanes. Grek. Zadziwiał moskwiaków i nowogrodzian sposobem pracy i bycia. Pozwalał, a nawet lubił, żeby ludzie przychodzili i patrzyli jak maluje; rozmawiał wtedy z nimi, dyskutował, opowiadał o Konstantynopolu, o Grecji... ale o sobie wiele, nie mówił. Taki sposób pracy nie był praktykowany wśród malarzy świętych obrazów — tworzyli zwykli w skupieniu, ciszy, odosobnieniu. A ten Grek skakał przed malowidłem, odbiegał, patrzył przekrzywając głowę, podbiegał z powrotem i kładł pędzlem jakąś plamę albo niezawodną ręką kreślił linie, znowu odbiegał, patrzył... Ale malował tak pięknie, że wszyscy stali zachwyceni, choć malował po nowemu, niezwykajnie...

„Sposób malowania miał własny, niepowtarzalny. Dzięki niemu zawsze niemal można odróżnić dzieła Teofanesa od dzieł jego poprzedników czy współczesnych. Szybko pokrywał malowidłami ściany wielkich cerkwi, ułknął oschłego i drobiazgowego wyliczania szczegółów; ale metoda pracy jest czytelna. Zazwyczaj kładł grubym pędzlem zasadniczy, czerwono-brunatny ton smagłych twarzy, tak samo szeroko traktował półtony i cienie, ostro zaś i cienko położone światła dawały poczucie plastyczności, przed nim nieznanej żadnemu z bizantyjskich i ruskich malarzy”. (M. Alpatow — „Rublow”).

W czasie trwania uroczystości z okazji 1000-lecia chrztu Rusi, Kościół Prawosławny zamierza Teofanesa Greka i Andrieja Rublowa wynieść do rangi błogosławionych. Będą to bodaj pierwsi malarze uznani za świętych...

Ciekawe, czy nowi święci będą się modlić za tych malarzy, co smażył się w piekło, bo wiedli rozpustny żywot artystów-cyganów, na łonach coraz to nowych modelek, w oparach absyntu i fałszywych filozofii, albo zamarowali nieopatrnie swój talent...?

ANDRZEJ GRUN



Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

WIELKI SUKCES

Marian Konieczny, rzeźbiarz, autor symbolu stolicy — „Warszawskiej Nike” jest twórcą innego — algierskiego pomnika „Martyrologii i chwały”, który stał się symbolem tego kraju.

— Można tak powiedzieć — powiedział w wywiadzie dla PAP. — Pomnik „Martyrologii i chwały”, 95-metrowa kompozycja dzięki jej usytuowaniu góruje nad miastem; widnieje jako herb na taksówkach, jako wizerunek znajduje się również na 200-dinowych banknotach, pocztówkach i innego rodzaju turystycznych pamiątkach... Zostałem zaproszony do udziału w konkursie w 1981 r., a odsłonięcie pomnika uświetniała walka o wolność Algierczyków i mającego być symbolem zwycięstwa wyznaczono w 20-lecie odzyskania niepodległości, na lipiec 1982 r. Projekt powstał w 1,5 miesiąca, a realizowała go wielka firma kanadyjska „Lavalin” z Montrealu... Widocznie uznali, że jestem dobrym rzeźbiarzem. Poza tym, w Algierze Francuzi pozostawili po sobie sporo z klimatu europejskiego. Dla Centralnego Muzeum Armii wykonalem trzy figury postaci historycznych oraz dwa nastroje popiersi bohaterów walk wyzwoleniczych. Następnie zreali-

zowałem, również w Algierze pomnik emira Ab del Kadara — pierwszego, który podjął walkę po zajęciu tych terytoriów przez Francuzów. Czekam na realizację mojego projektu pomnika króla Numidów, który zginął w walkach z Rzymem ok. 110-111 w. p.n.e. — Jugurtha... Mam bezpłatny urlop z Akademii i mogę zajmować się marzeniami sprzed kilkudziesięciu lat; powracam do swojej serii „Dedał i Ikar”. Kilka nowych rzeźb pokazałem, teraz kończę kolejną, dużą związaną z tym tematem... Nie jestem mitologiem, ale chodzę do gimnazjum przed wojną, uczyłem się więc łaciny, która była wtedy obowiązkowa. Na lekcjach skandowaliśmy heksametrem Owidiusza i już wówczas bardzo mi się spodobał poemat „Dedałus et Icarus”. Zafascynowała mnie zawarta w nim podwójna myśl. Tesknota za wolnością, dążenie do pokonania rzeczy niepokonanych oraz dramat wyrażony w upadku Ikarusa... Ten dramat jest udziałem każdego artysty...

PRAWDA O INGRID BERGMAN

Laurence Leamer, autor książki o Ingrid Bergman, przeszedł krok po kroku jej życie i napisał biografię Ingrid bez żadnych u-

piększeń. Rozmawiał niemal ze wszystkimi, którzy odegrali jakąś rolę w jej życiu. Jego wizerunek artystki nie zawsze odpowiada temu, jaki ona przedstawiła w swojej autobiografii, gdzie wiele rzeczy upiększyła lub pominięła, m.in. meczące spory z pierwszym mężem (Petterem Lindstroemem, którego opuściła dla Roberta Rosselliniego), oziębłość stosunków z pierwszą córką itd. W swojej biografii Ingrid nie wspomina też ani o tym, że przez jakiś czas była uzależniona od alkoholu, ani o niezłoczonych miłościach. Leamer natomiast nazywa rzeczy po imieniu, przypominając np. jej brak zainteresowania wszystkim, co nie miało związku z karierą, że w jej życiu tylko ona sama odgrywała główną rolę. Autor biografii przyznaje jednak, że była bardzo ambitna i energiczna. Ciągłe odczuwała samotność — mimo trzech małżeństw i towarzysztwa wielu przyjaciół i kochanków. „Była to elegancka kobieta — wspomina reżyser Alf Kjellin — wokół której panował chłód. Serdeczność, wspaniałość i wielkie uczucia rezerwowała dla swoich ról”.

„IDZ I PATRZ” ORAZ „POKUTA”

Filmy Elema Klimowa („Idz i

patrz”) oraz Tengiza Abuladze („Pokuta”) oraz „Listy martwego człowieka” Konstantina Łopuszajskiego i „Plumbum, czyli niebezpieczna gra” — Wadimira Abdraszytowa to filmy, które cieszą się największą popularnością wśród widzów za granicą. W ostatnim czasie sprzedano 500 filmów pełnometrażowych do 118 krajów. Wśród nich znalazły się i te, które do niedawna leżały na półkach.

POWRÓT PO LATACH

Jako drugi powrót teatralny wybitnego klasycznego aktora angielskiego, polskiego pochodzenia Johna Gielguda (po 10 latach nieobecności na scenie) potraktowała londyńska krytyka jego występ w sztuce Hugh Whittemore’a „The Best of Friends”. (Najlepszy z przyjaciół). Po przekroczeniu 60 lat John Gielgud odszedł od repertuaru klasycznego, zwracając się ku sztukom współczesnym autorstwa Harolda Pintera, Alana Bennetta oraz Davida Storeya. Potem występował w serialach telewizyjnych oraz w pięciu filmach rocznie. Przed laty wystąpił także w „Dyrygen-cie” Andrzeja Wajdy.

Aleksander Fogiel zadebiutował rolą Antosa w „Karpach Goralach” w roku 1928, na scenie teatru „Białego Orła” w Warszawie. Wędrował przez sceny wielu miast w Polsce: Wrocławia, Częstochowy, Szczecina, Gorzowa Wielkopolskiego, Poznania i wielu innych. Całe swoje życie osobiste podporządkował sztuce aktorskiej. Stworzył mnóstwo kreacji pozostających na długo w pamięci widzów, a i krytycy niejednokrotnie wyrażali na łamach prasy swój podziw dla wysmakowanego kunsztu zawodowego tego aktora. Mimo niezwykle bogatej przeszłości scenicznej, bardzo późno zadebiutował w filmie — dopiero w 1930 r. Już pierwszą rolą filmową zwrócił na siebie uwagę. Była to rola Apostola w „Bazie ludzi umarłych” E. i Cz. Petelskich. Od tamtej pory A. Fogiel bardzo często gościł na ekranie. Zagrał w 140 filmach role pierwszoplanowe i małe epizody. Dla przypomnienia warto przytoczyć kilka przykładów, choćby bardziej znaczących tytułów filmów: „Kryżacy”, 1960 (Małko z Bogdanca); „Skapani w ogniu”, 1964 (Militin); „Samy swoi” 1967 (Wojt); „Żywe Małuszka”, 1968 (Gospożer); „Jak rozpętałem drugą wojnę światową”, 1970 (Józwiak); „Noc i dzień”, 1973 (Ksiądz Krylak); „Rodzina Polanieckich”, 1978 (Zarzadca Krzemienia); „Kobieta z prowincji”, 1984 (Ociec).

— Był pan pierwszym aktorem, który odezwał się ze sceny wywołanej Warszawy. Czy może pan opowiedzieć o tym doniosłym wydarzeniu?

— Jestem niezmiernie dumny z tego faktu. Było to 8 lutego 1945 r. Teatr 8 Dywizji Piechoty II Armii, którego byłem dyrektorem, mianowanym przez samego Karola Świerczewskiego, miał zademonstrować swoje umiejętności artystyczne przed szeroką widownią. Przewidziano galowe przedstawienie dla członków rządu oraz dowództwa dywizji. Spektakl odbył się w sali dawnego Teatru Małkiewicza przy ulicy Marszałkowskiej 8.

Tego pamiętnego dnia, o godz. 13.00, sala teatru była zapelniona po brzegi. W pierwszych rzędach siedzieli członkowie rządu z Osobą Morawskim na czele, oficerowie, cywile. Uderzono w artystyczną gilotynę z korytarza, wiodącego na zaplecze teatru, gdzie śnił był po kolana, wyszedł po cichu sztandarowy. Kolega Bełżakowski nieśmiało czerwony sztandar podziurawiony kulami, ze sładami krwi... Publiczność powstała z miejsc. We-

„Teraz mam czas”

— rozmowa z ALEKSANDREM FOGIELEM.

szliśmy na scenę. Na sali zapanowała cisza. Kiedy wywrzeliśmy: „Warszawo! Ty jak Feniks z popiołów...”, poczułem silny ból gardła. Zamilkłem. Nie byłem zdolny powiedzieć więcej ani jednego słowa. Kochany Hicpoc Leczycy, prowadzący orkiestrę — zrozumiał. Dał znak — zagrano „Warszawiankę”. Oprzytomiałem, powitałem Warszawę jak należy. To samo podniosłe uczucie radości i dumy rozpierało „moich” aktorów. Kiedy skończyłem powitanie, orkiestra zagrała „Mazurka Dąbrowskiego”. Proszę pani — bardzo trudno jest opisać słowami to wszystko, co działo się na sali. Hymn śpiewano kłęcząc. Słowa pieśni ginęły w szlochu.

— Wkrótce zaczęła się pańska wędrownia po różnych polskich teatrach. Podobno został pan „Ojcem Chrzestnym” Teatru Żydowskiego, założonego przez Idę Kamińską we Wrocławiu.

— Można to i tak nazwać. Teatr Żydowski rozpoczął swoją działalność artystyczną na scenie Teatru Popularnego, którego byłem dyrektorem. Mój teatr był pierwszą dramatyczną sceną w

tym mieście. Ogłosiłem nabór do teatru wszystkich zainteresowanych współpracą, ale zaczęli się zgłaszać ludzie dość dziwni: niedorobione baletniki, kobiety wątpliwej kondyty. Kłopoty z werbowaniem zespołu aktorskiego chcieli wykorzystać sportowcy. Nalegał, abym wydzierżawił im salę na mecze bokserskie. Wyraziłem zgodę na jedno takie widowisko. Konsekwencje okazały się nader przykre: krzesła polamano, kurtyny

zaplamiono krwią. Krótko mówiąc mecz bokserski w teatrze odbył się dwa razy: pierwszy i ostatni. Wtedy z pomocą przyszła grupa żydowskich aktorów, amatorów, którzy koniecznie chcieli wystawić jakąś sztukę, ale nie dysponowali salą widowiskową. Czekali na przyjazd Idy Kamińskiej, która miała utworzyć im teatr z prawdziwego zdarzenia. Pierwszy spektakl tej grupy okazał się znakomity. Byłem oczarowany, jak wspaniały kontakt potrafią nawiązać ci utalentowani ludzie z publicznością. Wkrótce przyjechała „Wielka Ida” i zabrała swój zespół aktorski do Łodzi.

— Niewiele później pan także trafił do tego miasta.

— Był to całkowicie przypadek. Jechałem ze Szczecina do Krakowa, aby zagrać Galileusza w spektaklu Brechta „Sad nad Galileuszem”. Duża to i trudna rola. Ponieważ źle się czulem, postanowiłem po drodze, w Łodzi, odwiedzić mojego stałego lekarza. W tym celu zatrzymałem się w „Grand Hotelu”. Stałem właśnie przy

repcji, regulując maleźność za nocleg, gdy podszedł do mnie mały człowieczek z wąskimi. Podał mi rękę i powiedział:

— Zagra pan u mnie Małka z Bogdanca. Nazwijmy się Ford.

— Ale ja jadę do Krakowa zagrać Galileusza...

— Ford wyjął dużą, fularową chusteczkę, z hałasem wytarł nos i powiedział:

— Galileusza to pan zagra i za 10 lat, a Małka z Bogdanca już chyba nigdy... No jak pan myśli? — Stałem jak wryty. Do Krakowa nie dojechałem. Pozostałem w Łodzi. Zaangażowałem się do Teatru Powszechnego i niezależnie od tego faktu zaczęła się moja wielka przygoda z „Kryżakami” i bardzo intensywne życie zawodowe.

— I tak minęło panu 60 lat pracy scenicznej i 30 lat pracy w filmie. Rzadko który aktor może poszczycić się taką aktywnością zawodową, pozostawiając niewiele miejsca na życie rodzinne, osobiste, realizację innych zainteresowań...

— Choć praca pochłaniała mnie bez reszty, to jednak znajdowałem chwile czasu na relaks. Jedną z przyjemniejszych form wypoczynku było i jest „nieodolne malowanie obrazów”, trochę rzeźbiłem, lepiłem z drewna modele statków. Pisałem sztuki. W przeszłości zaniedbywałem obowiązki rodzinne, ale moja żona Lucyna Lakomówna (swoją czasu primabalerina łódzkiej Opery) rozumiała, że zbyt wiele nie może po mnie oczekiwać. Pozostała do dzisiaj moim wiernym przyjacielem i obecnie pomaga mi spisywać wspomnienia. Wydawałoby się, że teraz, obaj mamy nadmiar wolnego czasu i że staramy się wypełnić pustkę, do której nie przywykliśmy, ale to nieprawda. Nasze „hobby” czyni z nas ludzi w dalszym ciągu niezwykle zajętych...

Rozmawiała:
IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

Gest artysty

„BIURO PRZEWODNIKÓW PO/SZTUCE I KULTURZE”

Powstaniu jakiegokolwiek biura nie poświęciłbym ani kropli atramentu, ani minuty uciekającego zbyt szybko czasu, jako jeszcze jednej palpacie zastawionej na przyszłych interesach. Jednak powstało niedawno w Łodzi „BIURO PRZEWODNIKÓW PO / SZTUCE I KULTURZE” ANDRZEJA PARUZELA zasługującego na dużą uwagę jako gest artysty w kierunku sztuki, jako gest artysty w stronę społeczeństwa, jako gest artysty ku artyzmu.

Biuro ledwie powstało, a już silnie zaistniało w publicznym obiegu artystycznym. Inauguracja działalności biura miała miejsce w Muzeum Kineematografii, gdzie Andrzej Paruzel wygłosił wykład na temat absurdalnej zbieżności drogi Strzeżewskiego w Kuluskach i Kleina w Paryżu. Ryśunek szlaku codziennych wędrowek artystów w tak odległych od siebie miastach ułożył się w identyczne formy geometryczne. Paruzel, w związku z tym, twierdzi, że „obok elementu absurdu i metafizyczności istniało coś, co było bardzo ważne, mianowicie określenie ewidentności jednej drogi, którą każdy człowiek, nie tylko twórca, ma do przebycia, kiedy sobie uświadamia, kim jest”. „Identyczność” tych jakże różnych dróg w przypadku Strzeżewskiego i Kleina przebiegłych po tej samej metafizycznej paraboli, świadczy o ich spełnieniu.

Paruzel nie pojawił się nagle w rewirach sztuki najnowszej. Jest postacią znaną w środowisku. Już jako mgr nauk o Ziemi, absolwent UW, ukończył łódzką PWSFTiT. Miał wystawy indywidualne w Warszawie (skąd pochodził). Łódź (gdzie mieszka) i w Paryżu (gdzie był). Brał udział w prezentacjach zbiorowych, m.in. w Amsterdamie, Wiedniu, Paryżu; w Centrum Pompidou i Musée d'Art Moderne, oraz w „World-Wide Video Festival” w Hadze. Pojawia się w Galerii Wschodniej, w Teatrze Starym i w Teatrze Marysie. Przepada za swą córeczką Natalią, razem rysowali wizerunki „Groźniaków”.

Mówi Paruzel:
— Pomysł biura dotykał administracji i instytucjonalizacji działalności, która trzeba było nazwać i to nazwać w kilku członach. Powstał problem przewodnika, czyli człowieka, który jest osobowością artystyczną, który jest świadomym twórcą, który w pewnym okresie życia traktuje sztukę jako hobby, a po jakimś czasie zauważa, że nie umie niczego innego robić. Myślę, że taki facet jest właśnie przewodnikiem sztuki. Dalej: jest problem — czy to jest sztuka, czy to jest sytuacja po sztuce. Ponieważ to, co mnie intere-

sowało, czyli sytuacje Duchampowskie, refleksyjne, w latach 70. dotyczyły punktu zerowego i dlatego przekornie nazwałem je „po/sztuce”, ponieważ są one już poza jej granicami, nie dotyczą jedynie estetyki, a filozofii, egzystencji. „Po/sztuce”, ale jednocześnie „kulturze”, czyli, żeby była to postawa, która wbrew tradycji kontestatorskiej nie eliminowała dorobku kulturowego. Zrozumiałem, że można być przewodnikiem, happeningiem tej sytuacji „po/sztuce”, a jednocześnie trzeba szanować dzieła (ale takie, które są za przeciętnym bezmyślnym produktem) i miejsca z nimi związane: filharmonie, galerie, muzea i Teatry Wielkie. A więc: „biuro” jako element absurdu „Przewodnik” jako element dojrzałości „po/sztuce” jako obszar meta/sztuki z działaniami, których nawet nie można nazwać — i „kulturze”, na którą jesteśmy zdani i którą musimy szanować.

— Czy jest biuro?
— Właśnie tym.

— A czym dla ciebie jest biuro?

— Jest to budowanie soba przestrzeni artystycznej w obszarze, który utożsamia się z tzw. polityką kulturalną, czy, powiedziałbym nawet, polityką egzystencjalną. Jest to nowa cecha, przez samych artystów uznawana za coś niegodnego. Biuro występuje więc nie tylko absurdalnie, ale faktycznie. Chcąc jako artysta wchodzić w szranki z Madonną nie mam szans, natomiast jako biuro — mam szansę. Nie chodzi tutaj o pewne utożsamienie się sztuki z życiem, co zawsze było problemem grupy awangardowej, kontestującej, choć biuro usiłuje poruszać się bardzo blisko linii demarkacyjnej pomiędzy sztuką a życiem. Powstaje coś, co jest istotne: granica pomiędzy tym, co zewnętrzne i wewnętrzne w samym akcie tworzenia i sposobie działania.

— Czy ty i biuro — to jedno?

— Można by powiedzieć, że biuro jest przedmiotem, a ja jestem podmiotem. Z tym bym się jednak nie zgodził, nie ma tej granicy. Jestem (biuro jest) i tym i tym. Kiedy idę z teczką, można powiedzieć, że Paruzel jest w teczkę, a gdzie biuro. Mogłoby powiedzieć, że kiedy oglądamy niedawno performance „Łódź Kaliskiej” i Marek Janiak krzyknął: „Chwileczkę, ktoś mi ukradł teczkę”, pomyślałem, że był to moment, kiedy mu zabrakło inwencji i on nawiązał, żeby moje biuro go ratowało.

Andrzej Paruzel nosi się z niedbalą elegancją. Wydaje się, że nie przywiązuje wagi do stroju, a ubiera się tylko dlatego, że taka jest konwencja.

— Problem zewnętrzności, który dotyczy garderoby biura: składa się ona z kilku krawatów niezłych firm światowych, dobrych butów włoskich, spodni, koszul, i wszystko byłoby normalnie, gdyby nie fakt, że te rzeczy, łącznie z teczkami biura, pochodzą z darów moich przyjaciół, którzy są albo artystami, kolekcjonerami, albo bankierami. Poczułem humor, autoironia, a nawet blazenda w połączeniu z należąca powagą, to cechy, które korzystnie odróżniają młodą sztukę od starszej — koturnowej, namaszczonej, nadętej. Biuro silnie lansuje Europę Centralną. W tym celu zamierzam podjąć następujące środki (podaję za nr-em 1/88 periodyku pt. „Biuro”):

— Wykupienie podkładów kolejowych na trasie Witebsk — Berlin, ubezpieczenie ulicznych bruków szlifowanych przez Malewicz, Dostojewskiego, Chagalla, Kandynskiego, Moholli-Nagy, Brancusiego, Strzeżewskiego, Witkacego, Grassa, Pevsnera, Eisensteina... zabezpieczenie strzech i pruskie murów z rezonansem słów i muzyki Bacha, Beethovena, Heideggera, Tarkowskiego, Strawińskiego, Beuyasa... konserwacja reklam i szyldów w języku polskim, rosyjskim, niemieckim i jidysz na ulicach Łodzi... produkcja nowych pamiaterek kultury Europy Centralnej. Biuro wznosi wysiłki zorganizowania wspólnej prezentacji Sztuki Centralnej Europy — Słowiańsko-Germanskiej z jej wschodnimi rubieżami i zachodnimi Franko-Romańskimi.

— Czy działalność biura jest poważna? — zapytała Paruzela reportarka telewizyjna „Wiadomości dnia”. Odpowiedział, że żyjąc w tak absurdalnie trudnych czasach, postawienie na absurd intelektualny, filozoficzny, ma sens. Dla tych czasów.

— Dlaczego „założyłeś biuro?”

— Nie mogłem tego nie zrobić! Trywializując, mogłem powiedzieć tak: spotykałem kolegów, którzy pytali, co robie, kim jestem? Gdy odpowiadałem, że jestem instalatorem, są trudności ze zrozumieniem (Paruzel od 12 lat realizuje instalacje artystyczne — przyp. MK). Natomiast gdy mówiłem, że założyłem biuro, w momencie gdy na każdym rogu powstaje spółka polonijna, albo z wkładem, jest to normalne i nie mam najmniejszych problemów z akceptacją środowiska, co mnie bardzo cieszy. Gdy jednak wyjaśniam dokładniej w czym rzecz, wszyscy patrzą, czy się dobrze czuje, czy źle.

— Co chcesz jeszcze powiedzieć?

— Pokora — słowo z którym rozpoczynam dzień. Mam te pokore na ustach w rozmowie z żoną, mechanikiem, bankiem. Jestem więc pokorny, ale mam świadomość, że świat, który mnie otacza, czeka na mnie następnego dnia i jeśli będę pokorny, on mnie po prostu zje. Moja pokora wobec tradycji Europy Centralnej i mojej agresywnej niepokoja wobec Nowego Jorku i innych metropolii sztuki — to lansuje biuro. Sam jestem pokorny i chcę być pokorny, ale biuro chroni mnie przed agresją świata, który czyha na moją pokorę.

— Gdzie biuro ma swój lokal?

— Łódź — 1, skrytka pocztowa 178.

MAREK KOPROWSKI

Kronika

W SALACH WYSTAWOWYCH MUZEUM MIASTA ZGIERZA — z okazji obchodów 700-lecia tej podłódzkiej miejscowości — otwarta została 10. b.m. interesująca ekspozycja pn. „Dzieje Zgierza w XIX w.”.

WYDAWNICTWA ARTYSTYCZNE I FILMOWE — w serii „Opowieści filmowe” — wydały „Człowieka z marmuru” Aleksandra Seibora-Rybskiego, wg którego Andrzej Wałda zrealizował swój głośny film rozrachunkowy.

W MIĘDZYNARODOWYM KONKURSIE FOTOGRAFICZNYM „VENUS 88 — akt i portret”, Grand Prix przypadło w udziale Mariowi Materowi z RFN (za cykl 20 przeźrocz).

Rywalizowało 513 fotografów z całego świata, którzy nadesłali 2057 prac. Tegoroczny konkurs przebiegał w atmosferze spokoju — i nie towarzyszyła mu, jak to ongiś bywało, otoczka skandalu. Czyżby „i te rzeczy” — mówi panowie — nam już spowodził?

WSZYSTKIE KINOMANÓW z pewnością ucieszy wiadomość, iż na międzynarodowych targach filmowych w Cannes zakupiliśmy — obypałego Oscarami — „Ostatniego cesarza” Bernarda Bertoluccio.

Nasze wpływy ze sprzedanych tam filmów wyniosły o 150 tys. dolarów więcej, niż w roku ubiegłym.

MLODZIEŻOWA AGENCJA WYDAWNICZA rozpoczyna niebawem wydawanie — z myślą o zaspokojeniu potrzeb najmłodszych czytelników — trzech nowych miesięczników: „Ja”, „Ty” i „My”.

W MAŁEJ SALI TEATRU NOWEGO W ŁODZI, 18 b.m., odbędzie się preprapiera sztuki Jerzego Sitarza „Bonjour Marcel D.”.

Akcja jest nawiązującą do twórczości twórcy współczesnej plastyki — Marcela Duchampa. Przedstawienie to zobaczymy w reżyserii Lucyny Mielczarek, ze scenografią autora spektaklu, i w opracowaniu muzycznym Marka Choloniewskiego. Grają: Mirosława Marcheluk, Ryszard Mróz (gościnnie), Jacek Pawlak i Jan W. Poradowski.

„MOSKOWSKIE NOWOSTI” opublikowały — po raz pierwszy — reportaż, przedstawiający opis życia więźniów w jednej z radzieckich kolonii karnych.

JURY, zakończonego 4 b.m. w Krakowie, XXV Międzynarodowego Festiwalu Filmów krótkometrażowych, po obejrzeniu 51 filmów z 18 krajów, przyznało Grand Prix — „Złotego Śmoka” — Piotrowi Dumale z łódzkiego „Se-ma-fora” za film „Sciany”.

Serdecznie gratulujemy, z okazji tak zaszczytnego wyróżnienia.

Dwie nagrody specjalne przypadły filmom: radzieckiemu „W niedzielę rano” (w reżyserii Alurta Mamiedowa) oraz czechosłowackiemu „Ropelady” (w reżyserii Jana Sveraka). Rozdzielono ponadto cztery nagrody główne. Jedną z nich otrzymał polski reżyser — Tadeusz Falka.

W ZORGANIZOWANEJ PRZEZ ZŁ TPPR Olimpiadę Języka Rosyjskiego dla uczniów szkół ponadpodstawowych — I miejsce zajęła Agnieszka Kaepczyk z XV LO, II — Jarosław Jurkin z XXVI LO, III — Elżbieta Ignatowicz z III LO.

Ponadto Agnieszka Kaepczyk uzyskała miano najlepszej rusycystki w kraju.

W WARSZAWIE, w wieku 73 lat zmarł wychowawca kilku pokoleń polskich filmowców, many krytyk filmowy — prof. Aleksander Jackiewicz.

Niepoważną stratę poniosło również polskie językoznawstwo. 7 b.m. odbył się w stolicy pogrzeb prof. Stanisława Skarupki (l. 82), twórcy m.in. słownika frazeologicznego i wyrazów bliskoznacznych.

DWUNASTOLENIA MIŁA GAWOWICZ (z pochodzenia Rosjanka, mieszkająca obecnie w Kuliorni) jest najlepiej zarabiającym dzieckiem na świecie. Za pozwolenie do zdjęć — nowa królowa okładek — otrzymała w tym roku prawie milion dolarów.

Fotografii (używającej coraz częściej imienia Lolita) — uznane przez znawców za najbardziej intrygujące — pojawiają się na okładkach (najczęściej francuskich i amerykańskich), renomowanych magazynów i żurnali mody.

Pragnieniem Mili jest — tak długo, jak to będzie możliwe — być dzieckiem. Jak powiedziała amerykańskiemu dziennikarzowi, wszelkie próby tych osób, które pragną skrócić jej dzieciństwo, skazane są na niepowodzenie.

PRYMAS POLSKI, KARDYNAŁ JOZEF GLEMP — uczestniczący w obchodach 1000-lecia chrztu Rusi — był gościem, cieszącym się ogromną poczytnością, „Literaturnej Gazety”.

W ubiegłym roku tygodnik ten opublikował wywiad z prymasem Polski, który wzbudził wielkie zainteresowanie.

NAJWIĘKSZEJ W HISTORII HOLANDII kradzieży dzieł sztuki dokonano w Muzeum Miejskim w Amsterdamie.

Włamywacze wynieśli m.in. tak cenne obrazy, jak „Goździł” van Gogha, „Butelkę i jabłko” Cesanne’a.

Ogólna wartość skradzionych dzieł szacuje się na 14 mln dolarów.

Oprac. JAK

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

ŁÓDZKIE KAPELE

Wśród mnogości najrozmaitszych festiwali jest również Festiwal Kapel Podwórkowych. W Przemysłu odbył się niedawno XII już z kolei Ogólnopolski Festiwal w tym gatunku muzycznego, na którym dwie łódzkie kapela odniosły znaczący sukces. Spośród kilkudziesięciu zespołów występujących na festiwalu nagrodzono trzy zespoły — pierwsze miejsce zdobyli „Chłopcy z Biedaszybu” Kopalni Knurow, drugie miejsce „Kapele Elitowska” i łódzkiej Fabryki Transformatorków i Aparatury Trakcyjnej „Elita”, zaś trzecie — „Włóknar-ska Brać” — kapela ZPB im. Marchlewskiego „Poltex”. Gratulacje.

NAGRODY DLA TŁUMACZY

Łódzki Oddział Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich ogłosił swego czasu konkurs literacki na przekład noweli radzieckiej z lat dwudziestych i trzydziestych. I oto przed tygodniem jury konkursu, pod przewodnictwem Romana Gorzelskiego, przyznało: I nagrodę Annie Blumental, II — Krzysztofowi Syce, III — Kazimierzowi Iskrzyńskiemu, zaś sześć równorzędnych wyróżnień — Barbarze Lorynowicz, Witoldowi Dziubie, Urszuli Dzik, Dorocie

Blaszczyk, Barbarze Sobkiewicz i Ewie K. Nowak. Gratulujemy.

PRAWDZIWY SUKCES

Jury XXVIII Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie pod przewodnictwem Krzysztofa Teodora Toeplitza przyznało Złotego Łajkonika, a więc Grand Prix Festiwalu, filmowi animowanemu J. Kaliny pt. „Szycha”. Natomiast najwyższe trofeum — Grand Prix Międzynarodowego Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie jury pod przewodnictwem Janusza Majewskiego postanowiło przyznać filmowi z łódzkiego „SE-MA-FORA” pt. „Sciany”, którego autorem scenariusza, operaw plastyczny i reżyserem jest Piotr Dumala.

To prawdziwy sukces!

WARSZTATY OPEROWE WE WRZEŚNIU

Łódzkie Warsztaty Operowe cieszą się od lat zasłużonym uznaniem i zainteresowaniem. Wypracowana przez Łódzki Teatr Wielki formuła warsztatów — wzbogacona najlepszymi prezentacjami artystycznymi, odsłaniania rąbka zakulisowych tajemnic, bezpośredni kontakt z twórcami i odtwórcami — sprawdziła się i potwierdziła zarazem, że

jest to jedna z najlepszych dróg pozyskiwania i kształcenia odbiorców kultury muzycznej.

Dyrektor Sławomir Pietras — twórca i organizator warsztatów — przewiduje w tegorocznej edycji Łódzkich Warsztatów Operowych, (które przeniesione zostały na wrzesień), taki mianowicie program: „Hrabia Tyzenhaus”, „Jan Klepura”, „Jacy M. Montgomery”, „Henryk Czyż”, „Maria Callas”, „Richard Strauss”, „Adam Didur”, „Zofia Rudnicka” i „Wacław Niżyński”.

NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

„Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny” (2 t. PWN) — 11 500 zł; Hans Wilhelm Haussig „Historia kultury bizantyjskiej” (seria ceramowska) — 1700 zł; Antoni Goli-biew „Bolesław Chrobry” — (6 t.) — 2000 zł; Hans Helmut Kirscht „Kamraci” — 2500 zł; Zachariasz Lyko „Wstęp do Pisma Świętego” — 1400 zł; Françoise Giroud „Maria Skłodowska-Curie (Biografie sławnych ludzi PIW) — 1500 zł; James Georg Frazer „Złota gałąź” — 1600 zł; Zbigniew Ruchowicz „Miłość staropolska” — 800 zł; „Antologia poezji żydowskiej” — 1000 zł; Julian Tuwim „Wiersze” (2 t.) — 1500 zł; Cyprian Kamil Norwid — „Pisma wybrane” (5 t.) — 4000 zł.

Fraszki

RYSZARD BRUDZIŃSKI

SENTENCJA

To warto pamiętać
Synowie i córki:
Nie złote pałace,
Lecz szare komórki.

SPOŁECZNIK

Nawet gdy podkłada
świnie
Robi to w społecznym
czynie.

PRZYJACIELE

Takich przyjaciół
zestali mi nieba:
Ze nieprzyjaciół
już mi nie potrzeba.

LECH NIEKRASZ

IDEOWOŚĆ

Pod ideę też się
chleje!

SYMPLIFIKACJA

Ręce, iż życie się uprości:
każdemu — według
znajomości.

STABILIZACJA

Od zarania dziejów
w cenie
utrzymuje się
kadenie.

RACJONALIZM

Fakt,
że właścicielem racji
stać się można
z nominacji.

ARESztOWANIE

Pewnego wiosennego dnia 1937 roku, otworzywszy gazetę, przeczytałem, że władze bezpieczeństwa „wykryły w wojsku spisek faszystowski”. Wśród spiskowców wymieniano wysokich dowódców radzieckich, między innymi marszałka Związku Radzieckiego Michaiła Tuchaczewskiego.

Wiadomość ta wręcz oszołomiła mnie. „Jak to się mogło stać — myślałem — że ludzie, którzy odegrali wybitną rolę w rozgromieniu obcej interwencji i wewnętrznej kontrewolucji, którzy tak wiele uczynili dla rozwoju naszych sił zbrojnych, komuniści wypróbowani w dniach niepowodzeń, stali się wrogami ludu?”

Wreszcie po dłuższym zastanowieniu zatrzymałem się na najbardziej wówczas rozpowszechnionym wytłumaczeniu: „Natura ciągnie wilka do lasu”. To tłumaczenie zdawało się mieć swoje podstawy w fakcie, że Tuchaczewski, a także niektórzy inni aresztowani razem z nim pochodzili z rodzin arystokratycznych i byli oficerami armii cesarskiej. „Najwidoczniej — stwierdzano wówczas powszechnie, snując rozmaite domysły — w czasie wyjazdów zagranicznych, służbowych czy zdrowotnych, wpadali w sieci obcych wywiadów”.

Podczas kijowskiej okręgowej konferencji partyjnej zebrani delegaci zauważyli, że Jakir, zawsze wesół i żywy, wygląda za stołem prezydenckim na skupionego i posępnego. Tłumaczyliśmy sobie ten jego ponury nastrój tym, że mają go jakoby przenieść na stanowisko dowódcy Leningradzkiego Okręgu Wojskowego, okręgu mniejszego niż kijowski.

A w kilka dni później rozeszła się wiadomość, że gdzieś pod Moskwą, w podziemi, aresztowano Jakira jako uczestnika „grupy spiskowej Tuchaczewskiego”. Był to dla mnie straszliwy wstrząs. Znałem Jakira osobiście i bardzo go szanowałem. Tłóli się we mnie co prawda jeszcze nadzieja, że to omyłka, że „sprawę rozpatrz” i uwolnią go. Ale mówić o tym można było tylko z bardzo bliskimi ludźmi.

Wkrótce do Kijowskiego Okręgu Wojskowego przybyło nowe dowództwo. Członek Rady Wojskowej Szczadenko od pierwszej chwili zaczął odnosić się podejrzliwie do pracowników sztabu. Przeglądał się nieufnie ludziom, nawet tego nie ukrywając, i wkrótce rozwinął bardzo aktywną działalność w kompromitowaniu kadry dowódczej i politycznej. Działalności tej towarzyszyły masowe aresztowania. Im więcej było aresztowanych, tym trudniej człowiek wierzył w sprężystość tych ludzi, szkodnictwo i zdradę. Lecz równocześnie jakżeż można było temu nie wierzyć? Prasa dzień w dzień pisała o wciąż nowych faktach szkodnictwa, dywersji, szpiegostwa...

Kiedy w początkach sierpnia 1937 roku dowódcą naszego 7 korpusu kawalerii, Piotr Grigoriew, został nagle wezwany do Kijowa, dowódcy dywizji zaniepokojili się tym. Dowiedziawszy się, że Grigoriew wraca do Szepletówki w sobotę wieczorem, zatelefonowałem do jego żony, Marii Andriejewny i zapowiedziałem, że przyjadę do nich w niedzielę.

Przyjechałem do Grigoriewów wraz z moją żoną i zastałem ich smutnych i przygnębionych. Na pytanie, po co wezwano go do Kijowa, Grigoriew odpowiedział, że w okręgowej komisji partyjnej oskarżono go o związki z wrogami ludu.

Trzeba było wracać. Gdyśmy się żegnali, Maria Andriejewna płakała, a Grigoriew ścisnął nam ręce i powiedział:

— Kto wie, czy się jeszcze zobaczymy? Chcąc ich jakoś uspokoić, powiedziałem: — Jako robotnik z dziada pradziada nie masz się czego niepokoić. Wyrzucił z głowy ponure myśli. Oni się tam na pewno sami spozstrzegają.

Wyjechaliśmy od Grigoriewów przygnębieni. Przez całą drogę do Starokonstantynowa milczeliśmy oboje myśląc, oczywiście, o tym samym.

Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że Grigoriewa aresztowano. Tegoż dnia w 2 dywizji zwołano wiec i publicznie ogłoszono, że dowódca korpusu „okazał się wrogiem ludu”.

„Okazał się” — było to w owym czasie określenie niemal magiczne, które rzekomo tłumaczyło wszystko: żył, pracował i nagle... „okazał się”...

Na wiecu i ja zabrałem głos. Powiedziałem, że znam towarzysza Grigoriewa ponad czterdzieści lat. Walczyliśmy razem przeciw odchyleniom antypartyjnym. Grigoriew nie miał nigdy żadnych wątpliwości w sprawach polityki partyjnej. To jeden z najlepszych naszych dowódców. Gdyby był obcy naszej partii, ja przede wszystkim musiałbym to spozstrzec, ponieważ byłbym jednym z najbliższych jego podwładnych w ciągu wielu lat. Wierzę, że śledztwo w sprawie Grigoriewa wykaże jego niewinność.

Mówcy, którzy występowali po mnie, podkreślali nadmierne, jak twierdzili, „czepianie się” Grigoriewa, a więc zarzucali mu właściwie to, że był człowiekiem skrupulatnym i wymagającym. Doszukiwali się najrozmaitszych braków w jego pracy. Mój głos utonął w tym niezliczonym chórze.

A po dwóch dniach doszły mnie wieści, że dowódca 7 pułku kawalerii naszej dywizji oddał swego wspaniałego ujeżdżonego konia, zdobywcę pierwszego miejsca na zawodach okręgowych, pełnomocnikowi oddziału specjalnego, który nawet nie umiał dobrze jeździć konno. Nigdy nie przypuściłbym nawet, że ów dowódca potrafił się tak ponizić.

Wezwałem go do sztabu i oświadczyłem: — Najwidoczniej poczuwacie się do jakichś grzechów i dlatego chcecie udobroczyć oddział specjalny? Natychmiast odbierzcie tego konia, zanim zamarunie go jeździec, który nie potrafi obchodzić się z nim jak należy.

Nazajutrz dowódca pułku zameldował mi telefonicznie, że rozkaz został wykonany.

Minął jeszcze miesiąc. Rozkazem dowódcy okręgu zwolniono mnie ze stanowiska dowódcy dywizji, wkrótce zaś potem organizacja partyjna sztabu wykluczyła mnie z partii „za związek z wrogami ludu”. Odesłano mnie do dyspozycji Głównego Zarządu Kadr Komisariatu Obrony.

Wszystkie moje wysiłki zmierzające do oczyszczenia się z zarzutu w okręgowej komisji partyjnej okazały się bezskuteczne. Postanowiliśmy z żoną wyjechać ze Starokonstantynowa do Moskwy. Początkowo zamieszkaliśmy w Moskwie w hotelu Centralnego Domu Armii Czerwonej. Ponieważ jednak życie w hotelu było dla nas za drogie, po nadejściu naszych

Represje stalinowskie w 2 połowie lat trzydziestych bardzo osłabiły armię radziecką. Obliczenia generała-lejtnanta A. Todorskiego są wstrząsające. Spośród pięciu marszałków zginęło trzech (M. Tuchaczewski, A. Jegorow, W. Blucher), spośród pięciu dowódców pierwszej rangi — trzech, dziesięciu dowódców armii drugiej rangi — wszyscy, pięćdziesięciu siedmiu dowódców korpusu — pięćdziesięciu, stu osiemdziesięciu sześciu dowódców dywizji — stu pięćdziesięciu czterech, czterystu pięćdziesięciu sześciu pułkowników — czterystu jeden, spośród szesnastu komisarzy wojskowych pierwszej i drugiej rangi na szczeblu armii — wszyscy, dwudziestu ośmiu komisarzy korpusu — dwudziestu pięciu, sześćdziesięciu czterech komisarzy dywizji — pięćdziesięciu ośmiu. („Ogoniok”, 26/1987, s. 6)

General armii Aleksander Wasilewicz Gorbатов (ur. 9 marca 1891 r.) przed wojną dowodził dywizją. W październiku

1938 r. został aresztowany, a w maju 1939 r. niewinnie skazany na 15 lat więzienia plus 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. Od lipca 1939 r. do sierpnia 1940 r. przebywał w obozach pracy koło Magadanu w Kojłymskim Kraju.

Podczas wojny dowodził 3 armią w bitwie pod Kurskiem, walkach na terenie Białorusi, Polski i Prus Wschodnich. W kwietniu 1945 r. otrzymał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. Po wojnie był komendantem Berlina, dowódcą wojsk powietrzno-desantowych, dowódcą Nadbałtyckiego Okręgu Wojskowego (1954—58), a następnie wojskowym inspektorem i doradcą. Jego wspomnienia pt. „Lata pokoju i wojny” opublikowało w niewielkim nakładzie (10 tys. egzemplarzy) wydawnictwo MON. Rozpocynamy druk piątego rozdziału pt. „Tak było”. Mam nadzieję, że autentyczna relacja gen. A. W. Gorbatowa zainteresuje naszych Czytelników.

chaniach u sędziego podpisał niestworzone bzdury i przyznał się we własnym imieniu, a także w imieniu innych do rzekomych przestępstw. Jedni uczynili tak „pod wpływem przemocy fizycznej, inni zaś — zastraszeni opowiadaniem o wszelakich okropnościach.

Było to dla mnie całkowicie niepojęte. Mówiłem im: przecież wasze zeznania ściągną nieszczęścia nie tylko na was i na tych, przeciw którym fałszywie świadczycie, ale także na ich krewnych i znajomych. Mówiłem też, że wprowadzając w błąd aparat śledczy i władzę radziecką. Niektórzy przecież podpisywali się nawet pod zeznaniami obciążającymi dawno zmarłego Sergiusza Kamieniewa.

Ale moje argumenty nikogo nie przekonały. Niektórzy wyznawali dziwną „teorię”: im więcej ludzi będzie aresztowanych, tym lepiej, tym prędzej partia zrozumie, że to tylko szkodliwa bzdura.

— Nie, w żadnym wypadku nie pójde waszą drogą — oświadczyłem, a ponieważ starali się udowodnić, że mają słusność, straciłem dla nich współczucie, a nawet poczułem wstręt do tych teorii. Tak mnie rozgniewali, że powiedziałem:

— Składając fałszywe zeznania, popełniascie ciężkie przestępstwo, za które należy karać więzieniem.

Odpowiedziano mi ironicznie:

— Zobaczymy, co powiesz po tygodniu.

Nie wzywano mnie przez trzy dni.

W ciągu tego czasu, zastanawiając się nad swoim położeniem, doszedłem do wniosku, że zapewne niektórzy z moich współmieszkańców są rzeczywiście wpłatanymi w jakieś nieczyyste sprawy, innych zaś posadzano tu umyślnie, żeby „obrobili” nowicjuszy i przygotowali ich psychicznie do podpisania każdej bzdury, a tym samym ułatwili zadanie śledczemu.

Czwartego dnia wieczorem wezwano mnie do śledczego. Nie wiem, jak się nazywał. Sprawdziwszy moje dane personalne, posadził mnie naprzeciwko siebie, dał pióro i papier i zaproponował żebym „opisał wszystkie popełnione przeze mnie przestępstwa”.

— O moich przestępstwach — odpowiedziałem — nie mam nic do napisania.

— Nie szkodzi — odrzekł. — Wszyscy tak mówią na początku, a potem pomyślą trochę, przypomną sobie i piszą. Czasu masz dość, nie trzeba się spieszyć. Kto nie ma nic do napisania, ten jest na wolności, a ty pisz.

Wyszedł z pokoju.

Czas mijał, wreszcie śledczy wrócił. Ujrawszy, że nic nie napisałem, zdziwił się.

— Czyś ty nie zrozumiał, czego się od ciebie żąda? Pamiętałeś, że my tu nie lubimy żartów. Bądź więc łaskaw zrobić, co ci kazano! Nie radzę ci psuć sobie stosunków ze mną. Jeszcze nie było wypadku, żeby ktoś u mnie nie podpisał. Rozumiesz?

I znowu wyszedł z pokoju.

Mniej więcej po godzinie, widząc, że nie piszę, powiedział:

— Zle sobie poczynasz od samego początku. Szkoda! No cóż, zastanów się w celi.

Dwa olbrzymi strażnicy, skreśliwszy mi ręce do tyłu wepchnęli mnie do celi. Jak tylko drzwi zatrzasnęły się za mną, zasypano mnie pytaniami: „O co pyta? Coś odpowiadał? Jakże złożyłeś zeznania?”

Wysłuchawszy mojej relacji, towarzysze doszli do wniosku, że metoda przesłuchania nie zmieniła się. Muszę zacząć, aż mnie znowu wezwą i wtedy albo zacznę pisać, albo zostanie przewieziony do Lefortowa.

Przypuszczenia te sprawdziły się. Po dwudziestu czterech godzinach wezwano mnie znowu i powtórzyło się to samo, co podczas pierwszego przesłuchania. Tym razem śledczy zachowywał się po chamsku, kłął, groził, że mnie wyśle do Lefortowa. Tego samego dnia wezwano mnie jeszcze raz, tym razem na krótko. Rozmawiał ze mną już ktoś inny, jakiś „grubsza ryba”. Zaproponował mi, żebym napisał zeznanie, a usłyszawszy moje stanowcze „nie napiszę”, zaczął także wymyślać mi i zakończył pogrozką:

— Sam sobie będziesz winien.

Następnego dnia otworzyły się drzwi celi i wchodzący zapytał: „Kto tu jest na literę G?”. Powiedziałem moje nazwisko. Rozkazano mi, żebym szykował się do wyjścia wraz z rzeczami.

Dla wszystkich stało się jasne: zostanie wywieziony do lefortowskiego więzienia. Wszyscy współczuli mi szczerze i serdecznie, dawali mi rady i życzyli zwycięskiego dobrego. Nie, niesprawiedliwie oceniałem tych ludzi.

Siedząc w czarnym zamkniętym samochodzie, słyszałem, jak zawraczał silnik, jak zatrzasnęła się brama. Do moich uszu czasami dochodził gwar i śmiech z ulicy. Potem usłyszałem, jak otwarto i zatrzaśnięto wrota więzienia Lefortowskiego. I oto znalazłem się w maleńkiej, kiedyś zapewne pojedynczej celi. Było tam już dwóch ludzi. Trzy przycze tworzyły jakby trzy boki kwadratu.

C.D.N.

Tłumaczył:
STEFAN KLONOWSKI



Aleksander Gorbатов

rzeczy złożyliśmy je w magazynie Komisariatu Ochrony, a sami, za zezwoleniem Głównego Zarządu Kadr, pojechaliśmy do Saratowa, do rodziców żony.

Teść mój, Aleksander Wiesielow i jego żona, Lubow Siergiejewna, przyjęli nas bardzo serdecznie. Ojciec żony był w owym czasie naczelnikiem służby ruchu w dyrekcji Kolei Riazkańsko-Uralskiej. Razem z nimi mieszkała córka Lena, studentka medycyny, i syn Sierioża, uczeń szkoły średniej. Zajmowali trzypokojowe mieszkanie i jeden z pokoiów odstąpili nam.

Sytuacja moja pozostawała nadal niejasna, co, oczywiście, nie sprzyjało dobremu humorowi. Mieszkaliśmy w Saratowie kilka miesięcy. Wreszcie w pierwszych dniach marca 1938 roku wezwano mnie do komisji partyjnej Głównego Zarządu Politycznego i zwrócono legitymację partyjną. W związku z tym zmienił się wyznie stosunek do mnie zarządu kadr. Po przeszło dwóch miesiącach, 15 maja, wręczono mi rozkaz powołujący mnie na stanowisko zastępcy dowódcy 6 korpusu kawalerii, którym dowodził G. K. Żukow, komisarzem korpusu był starszy politruk Fominych. Nasza radość nie miała granic. Co prawda, wolałbym zostać dowódcą dywizji, ponieważ mojej naturze bardziej odpowiadała praca samodzielna, ale dywizji mi nie dano.

„Jak widać — pomyślałem — niełaska jeszcze trwa. Ale to nie...”

Pojechaliśmy do miasta, gdzie znajdował się wówczas sztab 6 korpusu kawalerii. Dowódca korpusu przyjął mnie dobrze i ulokował nas na piętrze willi, w której sam mieszkał.

Bardzo byłem stęskniony za pracą, toteż od razu wziąłem się do roboty.

Wkrótce Żukow otrzymał nominację na stanowisko zastępcy dowódcy okręgu do spraw konnicy i wyjechał do Smoleńska, zostawiając mi na razie dowództwo korpusu. Sądziłem, że zostanę zatwierdzony na tym stanowisku, ale nadejście mnie zawiodło. „A więc, moje przypuszczenie, że niełaska trwa nadal, było jednak słuszne” — pomyślałem.

Wkrótce przybył nowy dowódca korpusu A. I. Jeremienko. Okazał się energicznym dowódcą i dobrym gospodarzem. Znałem go jeszcze z Nowogrodu Wołyńskiego, gdzie w 1937 roku był zastępcą dowódcy dywizji, toteż łatwo znalazłem z nim wspólny język. Życie zaczęło układać się pomyślnie.

We wrześniu magazynier sztabu korpusu zameldował mi, że mogę odebrać umundurowanie, które mi się należy za okres zimowy, kiedy jednak przyszedłem do niego następnego dnia, zmieszany, pokazał mi depeszę od komisarza korpusu Fominych, przebywającego właśnie w Moskwie: „Wstrzymać wydanie Gorbатовowi należnego mu umundurowania”. Zaraz po tej dziwniej depeszy nadszedł rozkaz o przeniesieniu mnie do rezerwy...

W majowym numerze „Międzynarodowej Żizni” ukazał się zapis dyskusji radzieckich historyków o „białych plamach” w stosunkach radziecko-polskich. Pierwszą część tej dyskusji opublikowaliśmy w poprzednim numerze „Odgłosów”. Obecnie przedstawiamy część drugą.

W dyskusji udział wzięli: FRIEDRICH FIRSOW — pracownik Instytutu Marksizmu-Leninizmu przy KC KPZR, ALEKSANDER CZUBARIAN — dyrektor Instytutu Historii Powszechnej AN ZSRR, INESSA JAZBOROWSKA — pracownica Instytutu Ruchu

Robotniczego, ALEKSY NAROCZNIKI — pracownik Instytutu Historii ZSRR, członek AN ZSRR, VALENTINA PARSADONOWA — pracownica Instytutu Słownictwa i Balkanistyki AN ZSRR, TAMARA PORFIRIEWA — pracownica Instytutu Marksizmu-Leninizmu przy KC KPZR, OLEG RZESZEWSKI — pracownik Instytutu Historii Powszechnej AN ZSRR, GIEORGII SMIRNOW — przewodniczący strony radzieckiej we wspólnej komisji historyków, dyrektor Instytutu Marksizmu-Leninizmu przy KC KPZR, członek AN ZSRR, WALERIJ ŻURAWŁOW — wicedyrektor Instytutu Marksizmu-Leninizmu przy KC KPZR.

Radziecko-niemiecki pakt o nieagresji

— Wyjątkowe zainteresowanie wywołuje u wszystkich radziecko-niemiecki układ o nieagresji (pakt Molotowa — Ribbentropa). Z pewną dozą słuszności można twierdzić, że mimo iż upłynęło prawie 50 lat, zainteresowanie tym układem chyba nie ustępuje zainteresowaniu jakimkolwiek innym problemem z zakresu historii stosunków międzynarodowych. W różnych kręgach ocenia się go w najróżniejszy sposób. Jednakże nawet wśród wyraźnie antyradzieckich nastawionych ludzi, w tym również zachodnich historyków, dość zdecydowanie wyrażana jest opinia, że ze strony Związku Radzieckiego zawarcie paktu było krokiem podjętym w warunkach rozwoju sytuacji międzynarodowej w tym okresie. Jeśli chodzi o problem, nad którym dyskutujemy, przyciąga uwagę jeden w szczególności aspekt: zachodnia historiografia utrzymuje, że właśnie ten pakt dał Adolfowi Hitlerowi zielone światło dla napasu na Polskę. Nawiasem mówiąc, jak ustalono na podstawie dokumentów, w tym również na procesie norymberskim feldmarszałek Wilhelm Keitel w oparciu o wskazania Adolfa Hitlera już w kwietniu 1939 r. wydał Wehrmachtowi dyrektywę w sprawie przygotowania napasu na Polskę. Chcielibyśmy usłyszeć jakiś komentarz na ten temat.

Aleksander Czubarian: — W światowej historiografii po dziś dzień słabnie zainteresowanie wydarzeniami 1939 roku. A to dlatego, że w rzeczywistości chodzi tu o ujawnienie przyczyn wybuchu II wojny światowej. W zachodniej literaturze nadal aktywnie przeprowadza się wywód o odpowiedzialności Związku Radzieckiego. W szczególności za skutki agresji hitlerowskich Niemiec na Polskę. Ogólnie biorąc, my i nasi polscy koledzy, stojąmy na wspólnym stanowisku: po zmonach z Monachium w 1938 roku, Związek Radziecki nie miał innego wyjścia, nie miał innego wyboru, jak tylko zawrzeć z Niemcami układ o nieagresji. Odpowiedzialność za to, że nie udało się stworzyć w tym okresie frontu antyhitlerowskiego ponoszą Anglia i Francja. Jednakże w tym wspólnym stanowisku wyłoniły się pewne problemy, które można uważać za dyskusyjne i którą wymagają, by nad nimi dalej pracować. Muszę powiedzieć owarcie, że istnieje u nas pewna luka mająca zasadnicze znaczenie i wynikająca z braku znacznej warstwy dokumentów. W rozmowie z polskimi kolegami więcej posługiwaliśmy się dokumentami opublikowanymi na Zachodzie niż dokumentami opublikowanymi u nas.

Jakie więc problemy wywołują dyskusję? Po pierwsze — polityka Polski w przededniu wydarzeń z września 1939 r. Dążenie naszych polskich kolegów do tego, aby przedstawić tę politykę jako bardziej wyważoną, jest zrozumiałe. Mówią oni o tym, że w odróżnieniu od innych krajów, Polska nie poszła na żadną ugodę z Niemcami. W tym sensie zgłosili nawet pewne pretensje pod adresem niektórych zagranicznych historyków, w tym także naszych, w związku z tym, że wyolbrzymiali niekiedy znaczenie porozumienia wojskowych, kontaktów wojskowych Polski z Niemcami w latach 1938—1939. Po wtóre — polscy historycy kładą nacisk na sprawiedliwy charakter wojny Polski przeciwko Niemcom. Absolutnie nie wybredając antyradzieckiej polityki Józefa Becka, wydają mi się, że należy mimo wszystko realnie ocenić sytuację, w jakiej znalazła się Polska. Zrobiliśmy to, m.in. przewodniczącą strony radzieckiej w komisji, Gieorgij Smirnow jasno i wyraźnie powiedział, że wojnę Polski przeciwko Niemcom uważamy za wyzwolenie i za sprawiedliwą od samego początku.

Na pogłębioną analizę zasługują wydarzenia dramatycznych tygodni sierpnia i września 1939 r. Polscy koledzy badają już nawet nie każdy dzień, ale każdą godzinę tych tygodni. Wyplynie tak np. pytanie: dlaczego 19 sierpnia rano Władysław Molotow w rozmowie z niemieckim ambasadorem Friedrichem von Schulenburgiem odrzucił propozycję Niemiec wysłania do Moskwy Joachima von Ribbentropa w celu podpisania układu radziecko-niemieckiego, a tego samego dnia o godz. 16 wzywał do siebie Friedricha Schulenburga i w imieniu Józefa Stalina oznajmił mu, że zgadzamy się na przyjazd Ribbentropa do Moskwy? Co prawda wymieniano datę 26—27 sierpnia, ale już za dwa dni, 21 sierpnia, zgodziliśmy się na to, by przyjechał 23 sierpnia 1939 roku.

Trudno było nam odpowiedzieć na te pytania, ponieważ nie dysponujemy dokumentami i mogliśmy przedstawiać tylko ogólny schemat. Ale to wszystko należy, oczywiście, rozpatrywać w ścisłym powiązaniu z angielsko-francusko-radzieckimi negocjacjami wojskowymi w Moskwie. A propos tych rozmów. Należałoby pójść do nich z większą uwagą. Można byłoby szerzej postawić problem zmonachowanych możliwości. I trzeba powiedzieć, że kiedy wyrażaliśmy taki punkt widzenia, polscy koledzy odnieśli się do niego nie tylko ze zrozumieniem, ale również z zainteresowaniem.

— Jakich najbardziej istotnych dokumentów brak, aby można było wyjaśnić, jak był prawdziwy obraz sytuacji?

Aleksander Czubarian: — Moim zdaniem, po pierwsze — brak dokumentów ukazujących tok dyskusji w radzieckim kierownictwie nad problemami dotyczącymi rozmów z Niemcami w sierpniu 1939 r. Zresztą, nie tylko w sierpniu, ale począwszy już od maja. Po drugie, mamy tylko końcowe protokoły, powiedzmy, rozmów misji wojskowych Anglii, Francji i ZSRR. Ale jak sądzić, byłoby nieźle, gdybyśmy dysponowali czysto dyplomatycznymi dokumentami. Przydałoby się np. więcej doniesień naszych przedstawicieli dyplomatycznych z Paryża, Londynu, Warszawy i Berlina, które pozwoliłyby w całej pełni odzwierciedlić obraz wydarzeń. Wreszcie, są dokumenty dotyczące dyskusji nad tymi wydarzeniami w samej Polsce.

Oleg Rzeszewski: — Popierając wszystko, co tu powiedziano, pragnąłbym podkreślić pilną potrzebę zaznajomienia historyków z robotycznymi dokumentami radzieckiej delegacji na rokowaniach wojskowych trzech krajów, jakie prowadzone były w Moskwie do 22. VIII. 1939 r. Nie tylko ich nie mamy, ale nawet nigdy nie widzieliśmy. Chociaż wiele mówi się, że dokumenty takie istnieją. Wiele doskonale, że są u nas pojedynczy historycy, którzy uważają, że zawarcie paktu z Niemcami było błędem politycznym. Ale co jest ciekawe. Historycy ci, a zwłaszcza Ernst Genri, który powtórzył swą tezę na łamach pisma „Drużba narodów”, nie pokazują alternatywy. Moim zdaniem ZSRR nie miał innej możliwości.

Tak, pozycja Francji różniła się od stanowiska W. Brytanii. Eduard Daladier polecił Josephowi Doumergoowi podpisać konwencję wojskową. Jednak klucz do rozwiązania problemu był w rękach W. Brytanii. Wynika z tego, że konieczne jest maksymalnie szczegółowe zbadanie stanowiska W. Brytanii. Wiemy, że ani Londyn, ani Warszawa nie udzieliły odpowiedzi na pytanie o kapitałnym znaczeniu — pytanie dotyczące zgody na wypuszczenie radzieckich wojsk do Polski. Nie wiemy jednak, jakie stanowisko zajmował gabinet angielski w okresie od 17 do 21 sierpnia 1939 r. Nie

ma ani jednego dokumentu, który ujawniałby rzeczywiste stanowisko W. Brytanii w tych krytycznych dniach.

Rozmawiałem niedawno na ten temat z doskonałym zorientowanym angielskim historykiem, Donaldem Watem. Przygotowuje on teraz książkę „Jaka przyszła wojna”, która powinna ukazać się wkrótce. Zapytałem go: — „Jaka była pozycja rządu angielskiego w tamtych dniach?” Odpowiedział w przybliżeniu co następuje: Po pierwsze w tamtych dniach rząd angielski utracił kontrolę nad biegiem wydarzeń. Po wtóre, wyrażając zgodę na podpisanie konwencji, Francja oszukiwała Związek Radziecki, gdyż wiedziała doskonale, że Polska nie zgodzi się na przejście wojsk radzieckich. I, po trzecie, dostęp do wielu bardzo ważnych angielskich dokumentów jest zamknięty, a więc pełnej odpowiedzi na to pytanie udzielić na razie nie mogę.

Aleksander Czubarian: — Chciałbym dodać, że Donald Watt, który zbadał archiwum Londynu, Paryża, Bonn, Warszawy i Bukaresztu i przestudiował dokumenty dotyczące wydarzeń 1939 r., zwłaszcza rokowań między misjami wojskowymi ZSRR, Anglii i Francji, był zdumiony: dlaczego nasze dokumenty są niedostępne, skoro zbadane przez nie materiały ukazują wytrwale wysiłki ZSRR zmierzające do osiągnięcia wzajemnego zrozumienia i zawarcia porozumienia?

„Międzynarodowa Żizn”: Radzieccy historycy o stosunkach radziecko-polskich w przeszłości. (Część II).

Nie da się uniknąć krytycznej oceny przeszłości

Aleksy Naroczni: — Także uważam, że wykorzystanie tych dokumentów ma ważne znaczenie i leży w interesie prawdy, prawdziwego naświetlenia radzieckiej polityki. W związku z tym chcę poruszyć pewien problem metodologiczny. Nie wolno wyrzucać faktów z ich kontekstu historycznego. Jeśli wyodrębni się, powiedzmy, układ z 23. VIII. 1939 r. z całej poprzedzającej go historii rokowań, to można wysnuwać przeciwko ZSRR wszelkie możliwe oskarżenia. Tak zrobili na początku zimnej wojny autorzy zbioru dokumentów o stosunkach radziecko-hitlerowskich. Odcieli wszystko co było przedtem — i Monachium, i deklaracje Anglii i Francji z Niemcami o nieagresji i inne.

Niezupełnie zgadzam się z prof. Olegiem Rzeszewskim, że stanowisko Anglii jest dla nas całkowicie niejasne. Jeżeli ograniczyć się do ostatnich tygodni czy raczej ostatnich dni rokowań, to tutaj rzeczywiście to i owo nie jest jasne. Mimo wszystko jednak, nawet w już znanych dokumentach, sporo jest wypowiedzi Arthura Chamberlana i innych osobistości mówiących o tym, iż rząd angielski pragnął, aby huragan wojny ominął Wielką Brytanię. W sytuacji, kiedy ogłoszono deklarację o nieagresji między W. Brytanią i Niemcami oraz między Francją i Niemcami, oznaczało to próbę skierowania agresji hitlerowskiej na Wschód. Wypowiedzi tego rodzaju jest wystarczająco dużo, aby można było złożyć z nich całą broszurę. I dlatego prawdopodobnie Anglii nie chcia dalek ujawniać tej orientacji i ukrywać przed światem część dokumentów. Jednakże o stanowisku Anglii w kwestii zasadniczych można sądzić chociażby na podstawie rozmów, w tym rokowań z Niemcami, na temat podziału stref wpływów. Prowadzone były one tajnie i równoległe do rokowań z ZSRR.

Oleg Rzeszewski: — Zgoda, ale sprawa jest nadal nie do końca jasna. W Anglii wiedzieliśmy przecież doskonale, że w razie niepodpisania konwencji wojskowej i układu angielsko-francusko-radzieckiego w ogóle, ZSRR niechybnie zawrze układ o nieagresji z Niemcami. Wiedzieliśmy tam również, że w takim wypadku w chwili rozpoczęcia wojny Związek Radziecki będzie neutralny; mimo to Anglii, jak to się mówi, działali wbrew swemu przeznaczeniu, zburzyli te podstawy systemu bezpieczeństwa zbiorowego, które z takim trudem, takim wysiłkiem i tak konsekwentnie tworzyliśmy poczynając od 1933 roku. Zasadnicze znaczenie ma to, że po zerwaniu angielsko-francusko-radzieckich rokowań w Moskwie zapobiegliśmy II wojnie światowej i napadzi faszystowskich Niemiec na Polskę było już niemożliwe.

Wrótny jednak do układu z 23 sierpnia 1939 roku. Absolutnie słusznie ocenił go Michail Gorbaczow w przemówieniu z 2 listopada 1987 roku, przedstawiając sytuację, w jakiej układ ten został zawarty oraz przyczyny, które skłoniły ZSRR do takiej decyzji. Dla państwa radzieckiego był to problem życia lub śmierci. Bezsprzecznie, była to najtrudniejsza od czasów pokoju brzeskiego decyzja rządu radzieckiego w sprawach polityki zagranicznej. Podpisując układ, osiągnęliśmy główny cel — nie dopuściliśmy do utworzenia jednolitego frontu państw imperialistycznych przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Front ten ukształtował się w Monachium i zagrożeniem oraz podziałem Czechosłowacji, w którym, nawiasem mówiąc, wzięła udział również Polska, potwierdził swoje istnienie, swoją agresywną i antyradziecką orientację. Zyskaliśmy 22 miesiące na umocnienie obronności kraju.

Gieorgij Smirnow: — W jednym ze swych artykułów prof. Włodzimierz T. Kowalski rozdmuchuje następujący problem: kto kogo oszukał — Hitlera Stalina, czy Stalin Hitlera? Wychodzi na to, że to oczywiście Józef Stalin oszukał Adolfa Hitlera, ale sam też niegdyś nie zyskał, ponieważ wojska radzieckie cofały się w 1941 roku aż do Moskwy. Myślę, że jest to kontrowersyjny pogląd. Coś tam się Armii Czerwonej to już inna sprawa, było ono spowodowane niedocenianiem gotowości hitlerowców do napadu. Jednakże, po tych prawie 2 latach ZSRR mógł rzucić na pola bitewne udoskonalony przez konstruktorów i wdrożony do produkcji sprzęt.

Oleg Rzeszewski: — Główny cel, jakim było zapewnienie bezpieczeństwa państwa radzieckiego, na tym etapie został osiągnięty. Oprócz tego zdołaliśmy wziąć pod swoją obronę maksimum krajów i terytoriów, których narodem groziła okupacja faszystowska oraz zagłada fizyczna. Inna sprawa, że później wydarzenia rozwinęły się bynajmniej nie tak, jak przypuszczaliśmy. Jednak nasze stanowisko, było uczciwe, szczerze i internacjonalistyczne.

— Pragnęlibyśmy też usłyszeć kompetentną opinię na temat całego kompleksu zagadnień związanych z deportacją polskiej ludności na kłesce Polaków w wojnie. Przecież sprawa ta również należała do tych, które wymagają obiektywnego naświetlenia.

Przesiedlenia ludności polskiej w ZSRR

Valentina Parsadonowa: W istocie deportowanie ludności z zachodnich rejonów Związku Radzieckiego w latach 1939—1941 odbywało się z pogwałceniem radzieckiej Konstytucji. Chociaż dokumenty wskazują na pewne różnice w podejściu do tej sprawy na Ukrainie, w Białorusi i na Litwie, była to samowola władz. Trzeba też powiedzieć, że wbrew pewnym spotykanym w Polsce twierdzeniom o antypolskim i nacjonalistycznym charakterze deportacji, dotyczyły one nie tylko polskiej ludności tych obszarów, ale również Ukraińców, Białorusinów i Żydów. Te przemienienia ludzi były następstwem walki klasowej oraz komplikacji związanych z kształtowaniem się władzy radzieckiej w nowych rejonach. Jednakże ta walka klasowa była prowadzona według błędnej stalinowskiej formuły — „kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam”.

Ocena polityczna jest jasna, zadanie historyków polega na wyjaśnieniu: jak, kiedy, ile? Trzeba powiedzieć, że w Związku Radzieckim na razie problem ten absolutnie nie jest zbadany. Tak więc komisję, radzieckich i polskich naukowców, czeka duża praca.

Innym problemem jest charakter deportacji polskiej ludności. Zaproponowaliśmy naszym kolegom z Polski wyodrębnienie różnych fal przesiedlenia. Umówiliśmy się, że nie będziemy uważać za deportację internowania żołnierzy polskiego wojska we wrześniu 1939 r., a wszystkie sprawy związane z tą armią obejmujemy odrębnymi badaniami. Następnie, wykluczaliśmy z kategorii deportacji powołania do Armii Czerwonej, przenoszenie się Polaków z zachodnich rejonów Ukrainy i Białorusi w poszukiwaniu pracy do kopalń Zagłębia Donieckiego i na Ural, jak również wysiedlenia z obszarów przygranicznych, w których budowano umocnienia. Poza kategorią deportacji pozostaje ewakuacja przemysłu i klasy robotniczej w okresie czerwca — lipiec 1941 r. Z przestudiowanych dokumentów wynika, że strona polska nie odnotowała powrotnego przesiedlenia, że osób, które we wrześniu 1939 r., ratując się przed hitlerowcami, przekraczały granicę Związku Radzieckiego. Odrębną sprawą jest walka z kontrrewolucyjnym nacjonalistycznym podziemiem.

W wyniku różnych co do swego charakteru akcji we wschodnich rejonach kraju znalazły się setki tysięcy byłych obywateli polskich. Ich losy różnie się ukształtowały. Strona polska przeprowadziła sondaż poinformowała nas, że prawie 98 procent ludzi, którzy zmienili swe miejsce zamieszkania na rejon obwodu archangielskiego, Autonomicznej Republiki Komi, Syberii, Altaju i Dalekiego Wschodu stwierdziło, że spotkali się tam z bardzo humanitarnym traktowaniem. A kiedy zaczęła się Wielka Wojna Narodowa, ZSRR wznowił stosunki z polskim rządem na emigracji, nawiązał z nim współpracę. Odczuła to także ludność polska w ZSRR. Aby pospieszyć jej z pomocą, udzielano pożyczek, przesiedlano do rejonów, w których panowały bardziej sprzyjające warunki. Pomocy ludności polskiej, przede wszystkim dzieciom i starcom, udzielano w ciągu całej wojny i nie podlegała ona jakimś szczególnym wahaniom wynikającym z wzajemnych stosunków z rządem emigracyjnym.

Mamy w archiwach bardzo interesujące dokumenty dotyczące armii gen. Władysława Andersa. W naszej literaturze jakoś wtydlawie pomijamy tę sprawę. Armia odeszła, była po temu przyczyną klasową, polityczną i inną. Zapominamy jednak, że wniesliśmy ogromny wkład w sformowanie tej armii w najtrudniejszym dla nas okresie 1941—42 r. Armia gen. Władysława Andersa otrzymywała wszystko, czym ludzie radzieccy mogli się w tym czasie podzielić. W archiwach zachował się podpisany przez Aleksieja Kosygina dokument stwierdzający, że potrzeby polskiej ludności zaspokajano priorytetowo w porównaniu z potrzebami strony radzieckiej — „kosztem pogostszych konsumptów”.

Pod koniec 1941 r. zrodziło się i stopniowo rozwijało współdziałanie partyzantów i podziemia: polscy patrioci uczestniczyli w radzieckim ruchu partyzanckim, radzieccy jeńcy wojenni, którym często udawało się zbiec dzięki pomocy Polaków, włączali się do walki polskiego podziemia na terytorium Polski. I sprawa ostatnia (nie pod względem znaczenia, oczywiście) — wkład pracy tych Polaków, którzy znaleźli się na głębokich radzieckich tyłach, setek tysięcy obywateli polskich.

Sprawa Katynia

— Poruszymy jeszcze jeden palący problem — sprawę Katynia. Wiadomo, że okoliczności tej tragedii są skrupulatnie badane. Nie jest to łatwe, jeśli weźmie się pod uwagę różnice punktów widzenia, brak dokumentów, a także oddziaływanie uprzedzeń politycznych. Wyjaśnienie do najdrobniejszych szczegółów tej sprawy, która z zupełnym zrozumieniem przyczyn wywołuje mnóstwo emocji, jest sprawą ważną.

Oleg Rzeszewski: — Wpiew o prehistorii problemu. 13 kwietnia 1943 roku niemieckie poinformowało, że niedaleko Smoleńska, w lesie katyńskim znaleziono zwłoki tysięcy polskich oficerów, rzekomo rozstrzelanych wiosną 1940 r. przez NKWD. Wspomniana informacja stała się początkiem zacieklej kampanii antyradzieckiej, rozwijanej przez goebbelsowską propagandę, włączył się do niej londyński rząd emigracyjny Polski, przyłączyły się także poszczególne amerykańskie i angielskie organy prasowe. Rząd radziecki niezwłocznie

cznie wersję hitlerowską zdementował. Później, po wyzwoleniu Smoleńska, specjalna komisja państwowa przeprowadziła śledztwo i ustaliła, iż rozstrzelanie polskich oficerów jest dziełem hitlerowców. Wyniki pracy komisji zostały ogłoszone w styczniu 1944 roku i na tym etapie nikt nie podawał w wątpliwość jej wniosków.

Jednakże później były trzy fale prób potwierdzenia wersji hitlerowskiej faszystów. Pierwsza — na procesie norymberskim, kiedy niemiecka obrona, po przeanalizowaniu naszych dowodów, znalazła w nich kilka słabych miejsc o drugorzędnym znaczeniu i na tym próbowała oprzeć swoje kontrowersje. Nie powiodło się to jednak i, stopniowo, wydawało się, że problem został wyczerpany. Ale gdy tylko zaczęła się zimna wojna, za Katyni chwyciły się reakcyjne kółka USA. W Kongresie powołano komisję, która zajęła się „badaniem” tej sprawy. Wyniki prac komisji zostały opublikowane, były one szeroko reklamowane w celach antyradzieckich. To była druga fala. Trzecią falę wzniesła „Solidarność”, aby podsyć w polskiej opinii publicznej nastroje antyradzieckie. Niestety, do tej niegodziwej wrzawy włączyli się również niektórzy polscy historycy, zwłaszcza z kręgów emigracji. Teraz wszystko to rodmuchuje się z nową siłą. Pretekstem jest praca naszej komisji, a celem — jej zdyskredytowanie. Nasze milczenie jest wodą na młyn przeciwników. Co więcej, był artykuł o Katyniu w drugim wydaniu Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej. Z trzeciego wydania artykuł ten usunięto.

W stopniu, w jakim na razie jest to dla niej dostępne, komisja zbadała wiele radzieckich, polskich, zachodnich i emigracyjnych dokumentów dotyczących tego problemu. Gdybyśmy mieli uogólnić obecny stan rzeczy, to należałoby stwierdzić, że zachodni historycy nie rozporządzają przekonującymi świadectwami, które potwierdzałyby wersję hitlerowską. Niestety, jeśli chodzi o dokumenty, to niczego istotnie nowego komisja na razie nie wykryła. Podjęto działania w celu godnego upamiętnienia zgłady polskich oficerów w miejscu, w którym są pochowani. Radzieccy i polscy historycy kontynuują poszukiwania i nadal badają materiały związane ze sprawą katyńską. Różne sensacyjne oświadczenia na ten temat można przypisać albo niekompetencji, albo uprzedzeniom ich autorów.

Tamara Porfiriewa: — Nawiasem mówiąc, jaka próba została niedawno podjęta przez grupę polskich intelektualistów, którzy za pośrednictwem zachodnich środków masowego przekazu zwrócili się z listem otwartym do przedstawicieli radzieckiej nauki i kultury. W liście zawarte jest żądanie, by wyrażili oni publicznie swą opinię w sprawie Katynia, zaś w podtekście zawarta jest myśl: przynajmniej się, powiadają, że rozstrzelanie polskich oficerów jest dziełem władz radzieckich, zżucie winę na Józefa Stalina i Lawrientia Berię, a sprawa zostanie zamknięta. Jest jednak jasne, że sprawę można będzie zamknąć dopiero po poważnym, w tym również na podstawie dokumentów, dokładnym zbadaniu tragedii katyńskiej. Takie zaś wezwania jak ów list otwarty, w żadnym mierze nie pomagają komisji w pracy.

Walerij Żurawlow: — Rzecz charakterystyczna — zupełnie niedawno nadeszła informacja o tym, że w Polsce znaleziono zwłoki ok. 15 tys. jeńców wojennych, włoskich oficerów i żołnierzy, zgładzonych przez faszystów. Podobnie było w rejonie Lwowa. Zachodnie gazety przez dzień czy dwa podnosiły wokół tego wrzawę, ale we Włoszech powiedziano, iż nie ma wystarczających dowodów i sprawa się skończyła. Proszę tylko spojrzeć, jaka presja starająca się wywierać burzliwy środek masowej informacji, jak bardzo pragną narzucić własną interpretację „białych plam”, przedstawić je jako sumę negatywnych czynników w historii obu krajów, czynników które zatrwały nasze stosunki, nie pozwalają żyć w przyjaźni i do brym sąsiedztwie, całą odpowiedzialnością obarczając Związek Radziecki, i niekiedy całkowicie zacierając negatywną rolę państw zachodnich.

Gieorgij Smirnow: — Więcej, nasi przeciwnicy ideowi przekarkowali dosłownie całą historię począwszy od XVIII wieku, zarejestrowali wszystkie nawet najmniejsze momenty napiecia, jakie zdarzały się w różnych okresach i podjęli próbę zestawienia ogromnej listy „białych plam”. Listy, która rozstrząsała się w ich audycjach radiowych i publikacjach, zaczyna przypominać gigantyczny i nie kończący się potok oskarżeń pod adresem naszego kraju, a wszystko to po to, by „przyczynić” ZSRR jako stałego i niezmienionego oskarżonego.

„Białe plamy” to nie tylko to

Walerij Żurawlow: — Można dodać, że w ostatecznym rachunku są podejmowane próby zdyskredytowania socjalizmu w ogóle. Tak, w stosunkach radziecko-polskich bywały trudne czasy. Ale przecież były i są również zjawiska innego rodzaju: historia rewolucyjnej, bojowej i robotycznej współpracy narodów ZSRR i Polski. Te właśnie zjawiska przeważają, i to nie tylko ilościowo. To one decydują o istocie naszych stosunków i jesteśmy przekonani, że będą je określały również w przyszłości. Wiele tych pozytywnych zjawisk i procesów czeka, na to, by zajęli się nimi badacze.

Gieorgij Smirnow: — Wzmych chciałoby sprawę współpracy bojowej. Dotychczas rozpatrywano ją dosyć jednostronnie. Utworzenie armii gen. Władysława Andersa — wiadomo. Następnie sprzęt, umundurowanie, wyżywienie, kadry dla Wojska Polskiego, praktycznie cała młodsza i średnia kadra dowódcza szkolona się i była kompletowana u nas, tutaj. To też dla nikogo nie jest tajemnicą. 640 tys. radzieckich żołnierzy poległo w Polsce w imię jej wyzwolenia, ale w obozach na terytorium Polski było 3-krotnie więcej radzieckich jeńców wojennych. Wielu tam zginęło. Wielu z pomocą Polaków zbiegło z obozów, kierowano ich do oddziałów partyzanckich i pomagali walczyć. Współpraca z pododdziałami Armii Ludowej, Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich — to również „białe karty” historii, które znamy niedostatecznie.

Naturalnie, nie da się uniknąć krytycznej oceny przeszłości. Zaczęliśmy od krytyki pożytecznej Władysława Molotowa i mówiliśmy tu o jej innych aspektach paktu. Pakt jest zjawiskiem niejednoznacznym. Miał historycznie uzasadnione powody i przyniósł nam określone korzyści, ale oczywiście, również my sami w tym okresie — ci z nas, którzy już żyli i działali świadomie — bardzo cierpieliśmy z powodu tego, że zawarliśmy porozumienie z faszystami. I jest, oczywiście, że w imię tego, by obecnie nasza współpraca w budownictwie socjalistycznym, w kulturze i wszelkich innych dziedzinach rozwijała się pomyślnie, musimy kierować się świadomością, iż własna obecny etap rozwoju tej przyjaźni, tej współpracy narzuca i określa charakter stosunku do przeszłości.

Attaché kulturalny hiszpańskiej ambasady to wschodząca gwiazda polskiej telewizji. Jak na razie rozprowadza filmy Carlosa Saura, ale może warto byłoby, jeśli o czyściwie protokół dyplomatyczny na to pozwala i Hiszpanie wyrażyliby ochotę utworzyć kask hiszpański w naszej telewizji. Nie tylko moglibyśmy niejako bezpośrednio wchłaniać dorobek cywilizacji i kulturalny Hiszpanii, ale również może wreszcie Bogu-

całego kina europejskiego. Oglądając choćby w następnym dniu dwa filmy - włoski „Rewolwer” amerykański „Zbieg z Alcatraz” - można dostrzec, że tylko Amerykanie penetrują zakamarki psychiki poprzez rozwijanie wydarzeń, które na nią oddziałują i z których stara się ona wyrwać. Być może ze szkoda dla wnikliwej obserwacji, ale widownia zyskuje, je.

Saura pogrąża się w półtonach, Gorzki ton się we mnie ozwał, bo cia ryzykownej tezy, że One już od dziecka o nas myśli i tylko brak odpowiedniej oprawy powstrzymuje te przedwczesne zapędy. Gdybym więc był trywialny, dokonałbym podziału życia kobiety na trzy cykle: już chcą i jeszcze nie mogą, chcą i mogą, chcą i już nie mogą. Ale przecież to niedopuszczalne uproszczenie, bo gdzie filozoficzna głębia, skłonność do kontemplacji, miłość,...

TV

Hiszpanizacja?

ślaw Sobczuk miałby konkurencję. Muszę przyznać, że jak dotąd byłem mało przekonany do kine-matografii hiszpańskiej, która kojarzyła mi się jedynie z surrealis-tą Bunuelem i filmami z gatunku „plaszcz i szpada”. Dopiero Carlos Saura sprawił, iż poczuwam się zobowiązany do przewartości-o-wania swoich ocen i okazania szacunku hiszpańskiemu twórcy.

Z czterech dotychczas zaprezen-towanych filmów tegoż reżysera największe wrażenie wywarł na mnie ten czwarty - „Nakarmić kruki” - gdyż co stwierdzam z ubolewaniem trzech pierwszych nie obejrzałem.

Na pewno akcja nie jest wart-ka, bo Hiszpan preferuje raczej maniery psychologizującą, co zresztą jest charakterystyczne dla

gra aktorów jest decydująca i to chyba powoduje, że nieomal o-giada się ich dusze. W filmie „Nakarmić kruki” próbuje rozpra-cować świat dziecka i udowodnić, że ten okres życia nie ma nic wspólnego z sielanką, ale jest koszmarem, który trwa od chwili opuszczenia łona matki, a wdra-żanie się w życie to sposób na otrzymanie się z niego, a przynaj-mniej próba zapomnienia.

Przedstawia refleksje trzech dziesięcioletnich, z których jedna, po-tem druga, przeprowadza retros-pekcję, przy czym wymiary czasu nakładają się niekiedy na siebie bardzo ładnie. Wzruszyła mnie scena, w której malują się ma-minka szminka, oglądają w lustrze w jej perukach i bawią się lal-żesztą jest charakterystyczne dla

twór Saura przekonuje mnie, że legion poetów niepotrzebnie po-komplikował problem. Ponieważ trzeba tylko znaleźć klucz, który otwiera serce ukochanej i wszyst-kie laski spływają na nas już nie-strudzenie. Na pewno się chępie, bo nieraz nie ma takiego klucza albo już jest włożony.

Natomiast nie czuję się upoważ-niony do polemiki z konkluzją Saura, iż dzieciństwo to pełen de-monów i leków koszmarn. Malcem będąc i tuż zaraz wyrostkiem energię moją pochłaniało zgłębia-nie tajemnic gry w piłkę nożną i mniej istotne potyczki z nauczy-cielstwem.

TOMASZ KUBIK

Wiele lat temu szlagierem sezonu był (przypo-mniany ostatnio i uzupełniony o drugą część przez polską Telewizję) pełnometrażowy film do-kumentalny Gualtiero Jacopettiego „Pieski świata”. Wiele osób do dziś pamięta twarze czekających na śmierć w domu umarłych ludzi, żółwie wod-ne, które na skutek utraty instynktu pod wpły-wem promieniowania nie mogą trafić do morza, czy Murzynów cierpliwie wyglądających żelaznego ptaka, który zabawiony ogniem, zamiast na beto-nowym lotnisku w wielkim mieście białych, wy-lądować w ich włosach przynosząc szczęście i bo-gactwo.

Obrazy były bez wątpienia fascynujące, ale wywoływały również burzę protestów. Reżyserowi zarzucano epatowanie okrucieństwem i poszuki-wanie na siłę ciemnych stron człowieka. Niby nie co ludzkie nie jest nam obce, ale nie lubimy, kiedy coś, co uparcie od wieków idealizujemy,

został do zejścia ze sceny. Kierunek, który wska-zał, był jednak zbyt dobrym interesem, aby o nim zapomniano. Na rynku wideo krąży właśnie kilka tytułów, które są prostą kontynuacją „Mon-do cane”, tyle tylko, że jak to zwykle bywa w przypadku kopii, kontynuacja nie dorównująca oryginałowi i tak, na przykład, „Szokująca Azja” prezentowała głównie, ale za to bez osło-nek, tajemnic życia seksualnego Dalekiego Wscho-du, z operacją zmiany płci włącznie. W jeszcze trudniejszej sytuacji znaleźli się realizatorzy „Szokującej Afryki” normalna, kolejną rzecz zmuszeni do przebiecia istniejącej już konkuren-cji. Czy udało im się osiągnąć cel?

Cytując sekwencje II części filmu: chłosta cho-rego psychicznie członka plemienia, zabieg maso-wego i wykonywanego na żywcio obrzezania me-kskiej i żeńskiej populacji (w przypadku dziew-czynek polega ona na wycinaniu techlaczki), operacja kastrowania wielbłąda, także - oczy-wiście - na żywcio, pilowanie zębów na żywcio, przednich zębów, wykonywanie rytualnych nacięć na skórze, nie mówiąc już o wyglądającym dzie-cinnie w tym towarzystwie kamieniu krokodyla żywym drebem czy polikeniem skorpionia. A wszystko to lustrwane wpadającą w ucho mu-zyką, poetyckimi zdjęciami pedających przez pu-tynie samochodów i pod egidą samego szefa In-stytutu Etnologii w Mediolanie. Palce liżać.

Po projekcie tego paszletu rodzi się jednak - jak mawiali nasi dawni przywódcy - pytanie: czy rozszerza on i pogłębia wiedzę o zamieszka-nych przez bliźnich, niezmiernych polaciach Azji i czarnych czeluściach Afryki? Niewątpliwie tak, ale dookładnie w takim samym stopniu, w jakim poszerza ją i pogłębia pilna obserwacja, skądinąd ważnego, aktu defekacji. Strach pomy-śleć, co będzie po realizacji dzieł „Szokująca Ameryka”, „Szokująca Australia”, a zwłaszcza „Szokująca Europa”, włączywszy pod uwagę, że ich ewentualni realizatorzy staną wobec koniecz-ności przekroczenia pułapu wyznaczonego na tak niebotycznych wysokościach przez „Szokującą Azję”.

Czy kiedykolwiek jeszcze wróca, czas, kiedy przelotny pocałunek bądź odślonienie na mgnie-nie oka damskiego kolana, wywoływały ciarki na widowni? I czy w ogóle zostanie jeszcze coś takiego, co potrafi takie ciarki wywołać?

RYSZARD NAKONIECZNY

„TWARZE BÓLU” - „OSTATNI DZICY” - „SZOKUJĄCA AFRYKA”, scen. Guglielmo Gu-araglia, reż. Angelo i Alfredo Castiglioni, muz. Franco Gall.

Szokujące kontynenty

pokazuje nagle twarze niezupełnie tej idealizacji odpowiadające. Naturalnie kochamy człowieka, ale najlepiej bogatego młodego bruneta o nieska-zitelnych manierach i pełnym portfelu, bądź zdrową blondynkę o alabastrowej skórze i po-sagowych kształtach. Albo odwrotnie. Kiedy zaś sprawy nie przedstawiają się tak kwitnąco, wo-limy raczej nie mieć z nimi do czynienia, chyba że chodzi o bierną obserwację. Nie ma bowiem nic bardziej frapującego niż podglądanie u in-nych rzeczy strasznych, ponurych i wstydliwych.

Olbrymie powodzenie „Pieskiego świata” w dużej części na tej właśnie, niezbyt szlachetnej ludzkiej skłonności było oparte chociaż powo-tywało się na wzniosłą dążność człowieka do wie-dzy i poznawania świata. Jacopetti dał zresztą w końcu spektakularny dowód tego typu nastawienia. Podczas realizacji swojego następnego filmu „Żegnaj Afryko”, spóźniwszy się na egze-kucję zarządził dubel, powodując - tylko dla potrzeb filmu - śmierć kilku dodatkowych osób. Żeby scena była stuprocentowo realistyczna. Nie-stety, opinia publiczna nie doceniła tych starań i w surze ponurego skandalu Jacopetti zmuszony

A może do kina?



Znany z telewizyjnej rozrywki Jacek BROMSKI zadebiutował samodzielnym filmem kinowym, który dziś polecamy. „Zabij mnie gline”, to film rozrywkowy, o dobrej akcji, wykorzystujący wszystkie atuty filmu gangster-skiego z plejadą gwiazd (Bogu-sław Linda, Piotr Machalica, Jadwiga Jankowska-Cieślak, Piotr Fronczewski i in.). Jak przysta-ło na film tego gatunku osią je-go akcji jest pojedynek między przebiegłym przestępcą, no i, o-czywiście, przebiegłym, a tropią-cym go za wszelką cenę przed-stawicielem prawa.



Bella Dawidowicz z synem Dymitrem Sitkowieckim

Foto: Jerzy Kotwica

Kobiety ubrane były w suknie ociekające złotem.

Wielka gala w Łańcucie

Prowadzony przez Bogusława Kaczyńskiego Festiwal Muzyki Łańcut '88 obejmował 22 im-prezy: recitale, koncerty, występy mistrzów sceny, estrady, itp. Odbływały się w sali bala-owej Zamku-Muzeum, w Teatryku Pałacowym, w sali łańcutkiego Domu Kultury, w Kościele Farnym w Łańcucie, w Filharmonii w Rze-zzowie.

Wielkich wrażeń i wzruszeń dostarczył reci-tal Belli Dawidowicz pianistki i Dymitra Sitkowieckiego skrzypka. Ongiś, w r. 1949, Bella Dawidowicz została laureatką pierwszego po wojnie Konkursu Chopinowskiego, który zapo-czątkował jej wielką karierę. W r. 1952 na konkursie im. Henryka Wieniawskiego w Po-znańu mąż jej Julian Sitkowiecki otrzymał II nagrodę. Zmarł, gdy ich syn Dymitr miał trzy i pół roku; pragnął gorąco, by chłopak również grał na skrzypcach, by kiedyś kontynuował jego karierę. Matka i syn byli entuzjastycznie przyjęci przez festiwalową publiczność.

Nie kryje swego szczęścia - opowiadała mi potem Bella - że wystąpiliśmy razem w Polsce, gdzie ja i mój mąż zostaliśmy tak wy-soko nagrodzeni, a teraz z synem kontynuujemy rodzinną tradycję. Uwiozę w świat wspom-nienie o waszej publiczności i pamięć o tym deszczu kwiatów, jakim zasypaliście nas.

Bella Dawidowicz dała jedynie dwa koncer-ty w Łańcucie: w marcu 1989 roku wystąpi w Warszawie, a następnie w Poznaniu. Syn grają-cy na autentycznym Stradivariusie, poczyty-wany za jednego z najzdolniejszych skrzyp-ców swojej generacji, w nocy po koncercie od-leciał do Bazyli, stamtąd do USA.

Oczywistym wydarzeniem stał się występ Te-atru Wielkiego z Łodzi: niedługo po łódzkiej premierze, zaprezentował tu „Wesela Figara” Wolfganga Amadeusza Mozarta w inscenizacji i reżyserii Adama Hanuszkiewicza. Piękna i wielka sala rzeszowskiej Filharmonii (jedna z okazalszych w kraju), zmieścić musiała po trzy-kroć więcej ludzi niż miejsc. Teatr przywiózł w całości wystawne i przemyślane dekoracje. Jedynie wielkie łóż, zjeżdżające na scenie ma-cierzystej gdzieś nieomal z obłoków, tutaj za-montowano od razu na koncertowej estradzie, bardzo udatnie przeobrażonej w scenę. Po każdej nieomal arii były sążniste oklaski, nie kończące się owacje, spektakl trwał znacznie dłużej niż podczas premiery. Akustyka tej sali, jak twierdzili wykonawcy, ogromnie wspierała ich śpiewające popisy. Zaproszoniem do kolej-nych odwiedzin z nowymi operami nie było końca.

A tymczasem ponad dwa tysiące dzieci u-uczestniczyło w przedstawieniu Baletu Coppelia w Domu Kultury w Łańcucie, gdzie wystąpiła primabalerina łódzkiego baletu Ewa Wychow-ska. Na występ Poznańskiego Chóru Chłopię-czego pod batutą Jerzego Kurczewskiego przy-był Krzysztof Penderecki, którego dzieło wyko-nywali młodzieńcy śpiewacy.

Wywiadom prasowym, radiowym, telewi-zyjnym - kilka wieczorów transmitowała Tele-wizja Polska, niektóre szły również w telewi-żjach zagranicznych - nie było końca. Dyna-miczna, świetna, ruchliwa Agnieszka Duczmal, dyrygująca tu dwukrotnie Orkiestrą Kameralną PRiTV wyznała:

W RFN zaproponowano nam przyjęcie no-wej nazwy... To już prawie Amadeus Chamber Or-chestra. Prestiż i reklama wymagają przyjęcia i-mienia wielkiego Mozarta. Nie znaczy to oczy-wiście, że liczy się tylko Wolfgang Amadé. Gramy przecież muzykę od baroku do współ-czesności i to już od dwudziestu lat.

O! My możemy bardzo długo! - zapewniał dyrygent Karol Teutsch, prowadzący młodą, a świetną Orkiestrę Kameralną Leopoldinum w Wrocławiu, z udziałem przybyłego z Belgii skrzypka Edwarda Zbigniewa Zienkowskiego. I rzeczywiście po zapowiedzianych programem „Porach roku” Vivaldiego, pod gradem okrzy-ków, wołań o bisy, kwiatów Karol Teutsch

powiedział z wzruszającą prostotą: - Po cóż będę schodził z estrady i na nowo wchodził? Po-grajmy sobie od razu! Grali porwijając, utwo-ry wymagające tempa, wirtuozerii.

Region, nawet cała ta część Polski południo-wo-wschodniej, znany jest ze swego patriotyz-mu lokalnego, z tego, że umie hołubić, to co wyłansował. Tak właśnie jest z Festiwalem Muzyki w Łańcucie, który wszak tu rodził się i tu pod dyktando Bogusława Kaczyńskiego, przy energicznej współpracy rzeszowskich in-stytucji kulturalnych: Filharmonii im. Artura Malawskiego urosł do - jak określił go Krzy-sztof Penderecki - najświetniejszego dziś w Polsce Festiwalu. Więc ciągną na ten Festiwal miłośnicy i protektorzy muzyki z przemyskiego, krośnieńskiego. Cały czas towarzyszą mu woje-wodowie: rzeszowski Henryk Fleck, przemyski Andrzej Wojciechowski, krośnieński Tadeusz Kruk.

Dowód swego lokalnego patriotyzmu dali zwłaszcza rzeszowscy melomani podczas wy-stępu orkiestry Filharmonii Rzeszowskiej, z którą wystąpił świetny skrzypek młodego po-kolenia Michał Grabarczyk. Otóż po wykonanej z elegancją i maestrią Symfonii pożegnalnej J. Haydna, dyrygenta Józefa Radwana i solistów zespołu ściągnięto dosłownie z estrady; gdy znaleźli się wśród słuchaczy, obyspano ich kwiatami, gratulowano sukcesu, całowano.

Było mnóstwo zagranicznych gości, panował gwar obcojęzyczny; wszyscy jakoś porozu-miowali się przy sporach zakupach w stoiskach muzycznej księgarni Domu Książki, przy fila-teralistycznym stoisku z pocztowymi datownikami, skąd w świat leciały „uskrzydłone” pozdro-wienia. Apel festiwalowego zaproszenia o stro-je wizytowe został chybą, jeśli spojrzeć było na salę, na kuluary, na park zamkowy, wie-lokrotnie przemierzony w rejonach wyszukanej elegancji. Coś niebywało! Kobiety w sukniach ociekających dosłownie złotem. Złote lamy, zło-te tiule, brokaty, rywalizowały o lepsze z toale-tami osypanymi deszczem cekinów. Niektóre damy w tych złoconych wyglądały niemal jak rycerze zakuci w zbroję. Prym wiodła włoska aktorka Alina de Simone; jej najelegantsza kre-acja była jednak... czarno-biała.

Małe a nieoczekiwane sytuacje dodawały smaku imprezie. Agnieszka Duczmal z całym spokojem poinformowała publiczność, że pełna struna kontrabas i reperacja zajmie trochę czasu. Czekać cierpliwie.

Dyrektor Muzeum-Zamku Władysław Cza-jewski, oprowadzając po niezwykle ciekawej ekspozycji, poświęconej masonerii, objaśniając owe znaki tajemne, owe przedmioty masonskie-go kultu, zauważył iż brak tylko kielni. Na co pan, który co tylko wybudował trzypiętrowy domek jednorodzinny z dwustoiszkowym gara-żem, oświadczył dobrodusnie: - mogę wam dostarczyć kielni ile chcecie, nieświadom, że chodzi tu o skarbonki na datki w formie ma-sonskiej kielni...

Gdy podczas wystawienia „Wesela Figara”, w pewnej scenie tancerki-chórystki nieco za-plątane w akcję czekając widocznie na jakiś rekwizyt, nie schodzili w porę ze sceny, sie-dzący akurat obok mnie Adam Hanuszkiewicz (a siedzieliśmy wysoko w górze, w dziesiątym rzędzie), wykrzyknął: - PARAWAN! Była to nie tyle wskazówka autora inscenizacji, ile władczy okrzyk gdzieś wprost z Olimpu...

CECYLIA BŁOŃSKA

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

CZYTELNICY O PROBLEMACH NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI

Wśród listów, jakie napływają do redakcji jest sporo takich, w których Czytelnicy podejmują problemy najnowszej historii Polski. Są to uwagi, próby zasygnalizowania pewnych — nie do końca wyjaśnionych spraw, a niekiedy przemilczanych — są prośby o zajęcie się różnymi wydarzeniami z niedawnej przeszłości.

MIECZYSLAW KOZAK z Łodzi podjął między innymi problem ukształtowania granicy między Niemcami i ZSRR po upadku Polski w wrześniu 1939 roku. Temat ten szerzej omawiał Jan Babiński na łamach „Odgłosów”.

JERZY PIASECKI ze Zgierza wylicza kilka tematów, o których mówi się, ale które nie są do końca wyjaśnione. Słyszal o nich w miejscowości Czarna w Bieszczadach podczas wycieczki od tamtejszego księdza. Pobudził ciekawość słuchaczy, którzy chcieliby dowiedzieć się teraz coś więcej.

Oto rejestr spraw, które interesują Jerzego Piaseckiego:

1. Jakże jest pochodzenie ludności, która zamieszkiwała lub zamieszkuje rejon wschodniej Galicji?

2. Jakże były okoliczności zawarcia w sierpniu 1939 roku układu między Trzecią Rzeszą a ZSRR? (Pisał o tym niedawno Jan Babiński na łamach „Odgłosów”).

3. Jaka była sytuacja ludności polskiej na terenach zajętych we wrześniu 1939 roku przez ZSRR? (...)

4. Jakże były losy polskich oficerów internowanych we wrześniu 1939 roku przez Armię Czerwoną? Skąd wzięły się masowe groby polskich oficerów w rejonie Smoleńska?

5. Z jakich powodów wynikły tak duże różnice przy ustalaniu wschodnich granic Polski na konferencji w Rydze w marcu 1921 roku i na konferencji w Poczdamie w lipcu — sierpniu 1945 roku?

Do spraw tych będziemy chcieli powracać w publicystyce. Potrzebna jest tylko cierpliwość. Tematy są trudne. Ukazują się już również książki poświęcone tym zagadnieniom. Na przykład o losach ludzi na terenach zajętych we wrześniu 1939 roku przez ZSRR można co nieco znaleźć w publikacjach: Piotr Zaroń „Kierunek wschodni w strategii wojskowo-politycznej gen. Władysława Sikorskiego 1940 — 1943” oraz Jan Czerniakiewicz „Repatriacja ludności polskiej z ZSRR — 1944 — 1948”. Pomocną mogłaby być też książka Marii Turlejskiej „Prawdy i fikcje”. Wydana dość dawno i trudno dziś dostępna. Przypadłoby się jej wznowienie. Piszcie się też o tym trochę w czasopiśmie.

Rozumiemy jednak, że Czytelnicy nie zawsze mają czas poszukiwać materiałów w bibliotekach, grzebać w książkach przeznaczonych przede wszystkim dla specjalistów. Stąd pragnienie artykułów publicystycznych, które odpowiadałyby na rodzące się wątpliwości i pytania. Postaramy się — w miarę naszych możliwości — podjąć te tematy. Prosimy jednak o cierpliwość.

WALENTY JARECKI z Sieradza wątpli wprawdzie, czy on — emeryt nauczyciel — dowie się o tym wszystkim, co dziś się dzieje, czy też przeczyta o tym w „Odgłosach” jego prawnik w 2088 roku. Przede wszystkim dziękujemy za wiarę, że w 2088 roku będą jeszcze wychodziły „Odgłosy”, a po drugie — mamy nadzieję, że nie zamykają nadzieję, że ukrywanie czegoś przed ludźmi, narodem, społeczeństwem — jak kto woli to nazwać — nie może mieć długiego żywota. Powtarzamy na naszych łamach nieustannie: to prawdę, że aby bez większych przeszkód iść do przodu, w przyszłość, trzeba dobrze znać to, co pozostawia się za sobą. Inaczej nie można. I to pozwala nam ufać, że być może Walenty Jarecki będzie więcej wiedział dokładnie o tym, co się teraz dzieje. Życzymy dużo zdrowia i długich lat życia!

WITOLD AFELT przypomniał, że po wojnie krążyło wiele plotek na temat losów jednego z synów Józefa Stalina — Jakuba. Ponoć miał przeżyć wojnę i zginąć w tajemniczych okolicznościach dopiero w 1945 roku. Myślę, że po ostatnich publikacjach na ten temat w prasie radzieckiej i polskiej, sprawa jest jasna i ostatecznie chyba wyjaśniona. Przypomnę tylko, że „Express Ilustrowany” drukował na ten temat za „Wieczorem Wybrzeża” wspomnienia Piotra Gabriela, a wiele pism, w tym „Perspektywy” przedrukowały z „Niedzieli” obszerny artykuł Siemiona Apta.

STANISŁAW U. ze Strzelce Opolskich próbuje w sposób karykaturalny przedstawić, jak współczesny Czytelnik odbiera wiedzę o Józefie Piłsudskim. Jest w tym sporo racji, gdyż wiedza ta wypaczała prawdę o historycznej postaci. Gdyby wszystko, co napisał Stanisław U. wzięć poważnie, wyszłaby karykatura, albo raczej historyczna maskarada. Tylko że przytaczane przez Stanisława U. poglądy na temat Józefa Piłsudskiego to w większości poglądy minionie, już dziś mało kto wierzy w tak jednordownie, czarno narysowaną postać. Nikt też nie twierdzi, że to, co do niedawna wypisywano na temat całej II Rzeczypospolitej to „absolutna prawda”. Również i obraz II Rzeczypospolitej rysuje się nam w sposób bardziej złożony.

Na temat Józefa Piłsudskiego ukazało się sporo książek, a nawet wydano fragmenty jego pism i panegiryk: Mieczysława Lepeckiego „Pamiętnik adiutanta Marszałka Piłsudskiego”. Również na łamach „Odgłosów” piszemy i pisać będziemy o Józefie Piłsudskim, narodzinach niepodległości w 1918 roku, czasach II Rzeczypospolitej, a także innych tematach z najnowszej historii Polski.

Stanisław U. pisze:

„Od lat grafomani, którym brak odwagi by pisać o naszych stalinowcach, wyzywają się na Stanisława Augustę, że nie potrafił być doskonałością, że oprócz swych zalet miał również swe tak bardzo ludzkie słabości, że nie umiał poradzić sobie z rozbudowaną magnaterią. Czy nie czas z tym skończyć? Na Wawelu go pochować czy w Łazienkach? Należy mu się grób, jeśli są jeszcze jego prochy, gdzieś w krypcie, tabliczka ku pamięci.”

Ot i załatwił sprawę w sposób ostateczny! Okazuje się, że i na temat ostatniego króla Polski nie ma zgody w narodzie i wbrew nieznającej sprzeczki opinii Stanisława U. jest o czym dyskusować. Właśnie po to, aby poznać całą prawdę o przeszłości.

Nieszczęście polega na tym, że wszyscy na ogół wiedzą lepiej i chcą tylko, żeby potwierdził ich na ten temat pogląd. To nie ma nic wspólnego z poznawaniem prawdy!

Uczymy się już pisać wiele o byłych przywódcach. Nie mamy jeszcze odwagi, aby napisać coś krytycznego o obecnych, jeśli na to zasługują. A dla sprawnego funkcjonowania państwa i to jest niezbędne. Jak z tego widać wiele jeszcze przed nami.

REDAKTOR DYŻURNY

DWA RAZY TO SAMO?

Od wcześniejszej młodości interesuję się stosunkami polsko-francuskimi. Ponieważ jestem „pożeraczem książek”, kupuję i czytam wszystko, co w tej materii u nas się ukazuje. Ostatnio kupiłem książkę Henryka Kocię pt. „Wielka Rewolucja Francuska a Polska (podtytuł: Zarzys stosunków dyplomatycznych polsko-francuskich w okresie Sejmu Wielkiego i powstania kościuszkowskiego) (Wydawnictwo „Pax”, Warszawa 1987).

Jak napisano na wnieście: „Książka z pewnością wzbogaci naszą wiedzę o stosunkach dyplomatycznych polsko-francuskich w okresie Sejmu Wielkiego i powstania kościuszkowskiego”. Pro-

szę o zwrócenie uwagi na czas przyszły: „wzbogaci”, gdyż do tego wróce.

W trakcie lektury książki pod tak interesującym tytułem rósł mój... niepokój, który zaczął graniczyć z przerażeniem „Przecież ja to już kiedyś czytałem”.

Po niedługich poszukiwaniach w mojej bibliotece znalazłem książkę pt. „Francja a upadek Polski. Polskie rachuby na pomoc Francji w czasie Sejmu Czteroletniego i Insurekcji Kościuszkowskiej”. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976. Tytuł inny, ale autor ten sam, Henryk Kocię. Obie książki prezentują niemal identyczny tekst. Różnice, to retusze, poprawki (może) stylistyczne. — A oto przykłady:

Akapit, drugi, Rozdział I, w książce z 1976 r. ma brzmienie (s. 9):

„Z niepokojem śledził przebieg wojny rosyjsko-tureckiej cesarz austriacki Józef II, który w liście z Wiednia z 20 kwietnia 1789 roku pisał do swego brata Leopolda, późniejszego cesarza Leopolda: „Wiadomości, które otrzymujemy z Konstantynopola za pośrednictwem pana Choiseul-Gouffiera, ambasadora Francji, świadczą o tym, że idea pokoju staje się coraz bardziej odległa, a Turcy nie tylko nie myślą o ustępstwach, ale chcą odzyskać wszystko, co dotychczas utracili”.

W książce z 1987 r. (s. 9):

„Z głębokim niepokojem śledził przebieg wojny rosyjsko-tureckiej cesarz austriacki, Józef II, który w liście z Wiednia (20 kwietnia 1789 r.) pisał do swego brata, Leopolda: „Wiadomości, które otrzymujemy z Konstantynopola za pośrednictwem pana Choiseul-Gouffiera, ambasadora Francji, świadczą o tym, że idea pokoju staje się coraz bardziej odległa, a Turcy nie tylko nie myślą o ustępstwach, ale chcą odzyskać wszystko, co dotychczas utracili”.

A oto ostatni akapit (Rozdział III) w książce z 1976 r. (s. 152): „Mimo, że rachuby na pomoc Francji w czasie powstania kościuszkowskiego okazały się złudne, to przykład, jaki Francja dała Polsce, prowadząc wojnę z całą prawie Europą... i okazując światu, iż narody bijące się szczerze za wolność nigdy prawie nie mogą być zwyciężonymi”, oddawał wraz z nadziejami w następnych polskich powstaniach, bo i wtedy oczy patriotów polskich kierowały się nad Sekwanę, skąd znowu na próżno wyczekiwano pomocy”.

W książce z 1987 r. (s. 149):

„Mimo, że rachuby na pomoc Francji w powstaniu kościuszkowskim okazały się złudne, przykład, jaki Francja dała Polsce, prowadząc wojnę z całą prawie Europą... i okazując światu, iż narody bijące się szczerze za wolność nigdy prawie nie mogą być zwyciężonymi”, oddawał wraz z nadziejami w następnych polskich powstaniach, bo i wtedy spojrzenia patriotów polskich kierowały się nad Sekwanę”.

A więc w książce z 1987 r. została opuszczona ostatnia linijka „skąd znowu na próżno wyczekiwano pomocy” i uczyniono jeden retusz. Takie przykłady można by cytować strona po stronie.

A zatem książka z 1987 r. nie „wzbogaci naszej wiedzy”, gdyż ja już wzbogaciła książka z 1976 r. Dlatego gdy stopka książki z 1987 r. informuje, że to „Wydanie I”, to tak nie jest. Nie wiem czy Wydawnictwo Literackie w Krakowie zrezygnowało z praw wydawniczych, ale to już jest jego sprawa.

Dodać chciałbym tylko jedno. Książka z 1976 r. przy nakładzie 2.000 egzemplarzy kosztowała 35 (trzydzieści pięć) złotych, a książka z 1987 r. przy nakładzie 10.000 egzemplarzy kosztuje 820 (osiemset dwadzieścia) złotych. Przeszło 20 razy drożej. Można by postawić pytanie: Który to etap reformy gospodarczej? Pytań związanych z książką z 1987 r. można by postawić więcej.

LESZEK ŚLUGOCKI

SPRAWY EWY CIĄG DALSZY

Artykuł „EMIGRACJA” A. Karolczaka jest typowym manipulowaniem uczuciami Czytelnika (ciekawe ile osób się na to nabierze). Zareagować na artykuł powinni Ci, którzy znają choć trochę sprawę, inaczej trzeba będzie postawić pomnik ofierze, czyli menedżerowi po dwóch fakultetach.

Tak się właśnie składa, że sprawę znam od samego początku. Nie jestem w nią zaangażowana emocjonalnie, ale po przeczytaniu trafił mnie szlag. Ponieważ przestało być to sprawą osobistą i intymną dwójki ludzi, a stało się sprawą publiczną — pozwałam sobie zabrać głos.

Czy zamiarem tak tendencyjnie i jednostronnie przedstawionej sprawy ma być wyśmieszenie leż z oczu dobrych ludzi, którzy bezmyślnie potrafią współczuć? Andrzej Karolczak powinien zapoznać się z oceną sytuacji drugiej strony albo z zeznaniami świadków w toczącej się sprawie.

Należałoby zadać sobie pytanie:

— Dlaczego czterdziestoletni mężczyzna nie zalegalizował swojego związku z matką Ewy, przecież ona go bardzo kochała: (nie ma w artykule mowy o uczuciu menedżera do matki swojego dziecka — bo nie było tego uczucia, bo menedżer gardzi niżej urodzonymi kobietami). Mezalian nie mieścił się w głowie tego człowieka.

— Czy zrobił jakiś gest, żeby swojemu nie chciannemu dziecku stworzyć dom, skoro już matka uparła się na urodzenie? Mieszkała u niego — a gdzie miała mieszkać? W malutkim mieszkaniu swej matki? Czy obie z Ewą były zameldowane w tym pięknym mieszkaniu?

Matka Ewy nie miała wtedy 18 lat, była bardzo młoda, ładna i bardzo naiwna, ubiegali się o jej względy mężczyźni, jak w życiu. Poznała tego jednego, który jej bardzo zaimponował. Ile to dziewczęciu kieruje się wtedy uczuciem, a nie chłodną kalkulacją. No i stało się. Matka cały czas liczyła, że uda się Ewie stworzyć normalny dom, a człowiek którego bardzo kocha, opamięta się.

Menedżerowi układ taki był chyba na rękę, miał w domu posprzątaną, młodszą kochankę i żadnych zobowiązań. Mógł w każdej chwili to towarzysztwo rozpuścić. I robił to, wyganiał, a kiedy był w potrzebie przyjmował znowu. A ona wracała, bo nie bardzo wiedziała co ma zrobić. Była zagubiona, zawieszona w próżni, nie mogąc sobie poradzić ze swoją „dorosłością” i w sumie beznadziejną sytuacją. Oczekiwała od niego tylko miłości, poczucia bezpieczeństwa i godności.

Miała tylko jedną wadę, nie była cwaniakiem. Naiwnie powtarzała — on jest przecież ojcem Ewy. Słyszała za to — Ewa tak, matka — nie!

Przed wyjazdem do Belgii mieszkała z Ewą u swojej mamy, i tam zostawiła dziewczynkę. Kochany i zapracowany ojciec zabrał i zameldował Ewę dopiero wtedy, kiedy dowiedział się, że matka tam wyjdzie za mąż. I natychmiast po zameldowaniu zażądał alimentów w dolarach (złotówki odsyłał). Dla kogo więc Ewa jest interesem finansowym?

Matka przyjeżdżała do Polski bardzo często. Co wtedy robił ten rozsądny ojciec? Niestety, chował dziecko przed matką. Informował, że mała wyjechała z babcią do sanatorium, matka jak oszalała szukała dziecka po Polsce, ono tymczasem spokojnie przebywało w Łodzi.

Andrzej Karolczak tak słodko, tak mdło wylukrował bohatera, placącego czterdziestoparolatka, że się robi niedobrze. Menedżer, zdrowy, normalny mężczyzna zrezygnował z kobiet, rozrywki, uciech, wyjazdów zagranicznych (to Andrzejowi Karolczakowi nie przyszła widokówek z kolejnymi wyjazdami, bo matce Ewy przesyła, nawet z widokiem Czarnego Krzyża). Tak, menedżer zna sposoby na zniszczenie człowieka, on jest mocny, i dobrze o tym wie.

Spoglądając na to z innej strony. Ojciec ma czterdzieści kilka lat, Ewa 5, matka lat 23, mąż matki 26 (bardzo wartościowy człowiek, a nie cwaniak). Sprawa w sądzie toczy się już 2 lata. Jeśli wygra ojciec, który za punkt honoru, postawił sobie wygraną, jak będzie wyglądać za 5 czy 10 lat wychowanie dziewczynki przez starego kawalera? Czy ten człowiek może już stworzyć matkę ze swoim mężem, który nigdy nie powiedział: matka — tak, Ewa — nie? Jeżeli wygra matka, kiedy to będzie, przecież czas pracuje na ich niekorzyść. Ewa nie jest przecież kawalkiem drewna. Matka nie pracuje, uczy się języka. Jej mąż znowu awansował, przesyła paczki, dzwoni, ubiera ją (ojciec jest dumny, ludzie podziwiają ubranie dziecka), przysyła zabawki. Matka na dwa lata małżeństwa chyba z połowę spędziła w Polsce. W tej sprawie przegra tylko jedna osoba — Ewa (która kiedyś powiedziała cichutko — Ja i tak ucieknę do mamy!). W chwili kiedy pisze ten list matka Ewy z mężem sa na urlopie w Grecji, i tylko dzięki — pospolu — opieszałości naszych urzędów i złej woli ojca, Ewa nie jest na urlopie z matką.

J.P.

Nawiązując do artykułu red. Andrzeja Karolczaka pt. „Ewa gracja” opublikowanego w nr 19 „Odgłosów” proszę uprzejmie o przyjęcie stwierdzenia, że przedstawiona w nim opowieść została oparta na wybranych okolicznościach — powołanej w artykule sprawy Sądu Rejonowego w Łodzi — XI Wydział Rodzinny i Nieletnich. Autor artykułu, opierając się zapewne tylko na relacji ojca dziecka oraz — co jest niewątpliwie — tylko na części opinii Rodzinnego Ośrodka Diagnostyczno-Konsultacyjnego zniekształcił stan faktyczny sprawy, dochodząc do konkluzji i ocen dla sądu krzywdzących („dziwne... bezduszne orzeczenie... wyrok o przymusowej emigracji”).

Przy zastosowaniu metody red. A. Karolczaka mogłaby powstać z tejże sprawy druga opowieść opisująca tragedię młodej dziewczyny uwiedzionej przez starszego o około 20 lat mężczyznę, który z uwagi na różnice wykształcenia i statusu społecznego (dyrektor i ona — goniec w tym samym zakładzie pracy) nie chce poślubić matki jego dziecka — dziecka wcześniej nie chciannego przez tegoż ojca, a urodzonego dzięki wyrażonej woli matki, która nie skorzystała z propozycji — transakcji przyjęcia od swojego konkubenta małego „fiata” — w zamian za usunięcie kłopotliwego dla ojca problemu dziecka nieślubnego.

Sąd Rodzinny odrzucając metodę red. A. Karolczaka, a kierując się powszechnie obowiązującą w sądach zasadą — audiat et altera pars — rozstrzygnął sprawę, w której postępowanie zostało przez Sąd Wojewódzki zawieszone na życzenie i zgodny wniosek obu stron, o czym autor artykułu nie wspomina.

Przedstawiając powyższe prośbę — stosownie do art. 31 („Prawa prasowe”) o publikowanie niniejszego sprostowania.

Rzecznik Prasowy
Sądu Wojewódzkiego w Łodzi
Sędzia JERZY FRATCZAK

CZY TO JEST W PORZĄDKU?

Zwracam się o udzielenie wyczerpującej informacji przez Przedsiębiorstwo Gospodarki Mieszkaniowej Łódź-Górną Rejon Obsługi Mieszkańców nr IV ul. Karpi 65. Sprawa dotyczy gospodarzy bloku.

Wieżowiec przy ul. Naruszewicza 15 został oddany w listopadzie 1975 r. Gospodarzami tegoż VI klatkowego wieżowca zostali Ob. W. wraz z ojcem. Po paru latach ojciec staruszek nabywszy prawo do emerytury zrezygnował z pracy (obecnie nie żyje). Wówczas Ob. W. zatrzymała sobie do sprzątnięcia 3 klatki. Następnie trzy były bezpańskie do chwili zaangażowania gospodarza na dochodne. Tak trwało parę lat.

W 1987 r. z VI klatki wyprowadzono punkt apteczny, który od 1975 r. mieścił się w bloku. Następnie ROM nr IV w ekspresowym tempie pięknie odnowił to 3-pokojowe mieszkanie: malowanie, wykładzinę i wszystkie urządzenia sanitarne. 1 sierpnia 1987 r. mieszkanie objęła nowa gospodyni Ob. F. z mężem i trojgiem dzieci. Poprzednio była gospodarzem w bloku przy ul. Odyńca 67, gdzie zajmowała 2-pokojowe mieszkanie.

Ob. F. dumnie powtarzała lokatorom, że obecne mieszkanie przy ul. Naruszewicza 15 otrzymała z administracji w nagrodę za dobrą pracę. Pracownicy ROM również to potwierdzali, podkreślając przy tym, jak to teraz te trzy zaniedbane klatki będą śliski czystością.

Niestety opinia supergospodyni z ul. Odyńca nie potwierdziła się na ul. Naruszewicza. Zaczęły się zwolnienia lekarskie i po 7 miesiącach od 1 marca 1988 r. Ob. F. przestała być pracownikiem z powodu choroby. Obecnie od maja pracuje w Centrum Zdrowia Matki Polki. Już jest zdrowa.

Wszystko wróciło do stanu poprzedniego. Znowu jest gospodarz dochodzący z tym, że już na cały wieżowiec, Ob. W. również z powodu choroby wiosną obecnego roku przestała pracować. Być może ona po 13 latach pracy nabyła prawo do stałego zamieszkania?

Czy to wszystko jest w porządku? Czyżby pracownicy ROM nr IV nie orientowali się, że Ob. F. należy przede wszystkim na dużym mieszkaniu, a nie na pracy w charakterze gospodyni?

I tak to w wieżowcu w Łodzi przy ul. Naruszewicza 15 dwa piękne 3-pokojowe środkiowe mieszkania są zajęte przez dwie gospodynie, które nie są już gospodyniami bloku.

Czy jest jeszcze w Łodzi taki drugi przypadek?

J.K.P.



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnies
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:
16 czerwca — JERZY KWIECINSKI — godzi-
na 10—16.
23 czerwca — ANDRZEJ MAKOWIECKI —
godz. 10—16.

Ulewny deszcz padający w ubiegły czwartek nie przeszkodził naszym czytelnikom w rozmowach z redakcją. Odebraliśmy wiele telefonów, dotyczących różnych, uciążliwych dla naszych czytelników spraw. Niektórymi z nich zajmiemy się bardziej szczegółowo.

Pan Kolodziejczyk, mieszkaniec domu przy ul. Piotrkowskiej 141, opowiedział nam, że jego dom — w którym mieszka 27 rodzin zamienił się w coś w rodzaju skansenu w centrum miasta. Jest to jedyna w tym rejonie kamienica, w której lokatorzy pozbawieni są wszelkich wygód — łazienek, c.o., gazu. Wokół wyremontowano i zmodernizowano już wszystkie posesje — a tu, obiecany 10 lat temu remont jakos nie może się rozpocząć.

Mieszkańcy domu przy ul. Gandiego 8 (ROM przy ul. Tybur-
ry) irytują się, że w ich budynku od ponad pół roku stoi puste, zabite deskami mieszkanie po pożarze. Jego właściciel zmarł w wyniku zacczadzenia, od tej pory administracja budynku nie przeprowadziła remontu — a przecież na mieszkania czeka wielu chętnych.

Mieszkańcy domu przy ul. Piotrkowskiej 24 proszą o pomoc San-Epid., milicję bądź administrację. Na dole ich budynku mieści się restauracja Peszt i opuszczająca ją w godzinach wieczornych goście strasznie zanieczyszczają klatki schodowe, awantu-
rują się, zaczepiają mieszkańców, a nierazko na nie oświetlonych schodach natknąć się można na szukającą samotności parę.

O bliższe zajęcia się tym, co dzieje się w Łódzkiej i Śródmiejskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, prosi autora artykułu „Bezrad-
ność na Manhattanie” red. Gębarowskiego pani, której córka od wielu już lat oczekuje na mieszkanie. Ta sama czytelniczka zwraca uwagę na bałagan — góry śmieci i piasku, byle jak za-
łatane dziury w nawierzchni — jaki panuje pod wiaduktem przy ul. Tramwajowej. Ostatnio trudno tamtędy już przejść czy prze-
jechać samochodem.

W bardzo trudnej sytuacji znalazła się mieszkanka Zgierza (dane znane redakcji), która jest matką dwóch dziewczynek z porażeniem mózgowym. Odpowiednia dla nich terapia — jazda konna — prowadzona w stadninie koni w Łuźmierzu okazała się nieosiągalna. Skierowanie na tego rodzaju rehabilitację wydaje TPD Łódź-Bałuty, gdzie nie chcą z czytelniczką rozmawiać, po-
nieważ nie mieszka w Łodzi, w TPD w Zgierzu — jeszcze o ta-
kiej możliwości leczenia nie słyszeli, i nie mogą pomóc w załat-
wieniu miejsca. Proponują natomiast wyjazd do odległych o kil-
kaset kilometrów Swozowic.

Interweniowaliśmy również w sprawie pana B., który skarżył się, że został karnie i przed zakończeniem leczenia wypisany ze szpitala, ponieważ skrytykował zachowanie jednego z pacjentów, leżącego na tej samej sali. Po rozmowie z ordynatorem oddziału okazało się jednak, że stan zdrowia pana B. nie wymaga hospi-
talizacji, i o żadnym „karaniu” pacjentów w ten sposób nie ma mowy.

Matki dzieci mieszkających przy ul. Retkińskiej proszą o za-
stosowanie środków zaradczych, aby ich dzieciom nie groziło niebezpieczeństwo. Pod nr 80 na tej ulicy usytuowany jest kiosk z lodami i dzieci, nie zwracając uwagi na samochody, często do niego przebiegają z przeciwnej strony ulicy. Doszło już do 4 wypadków, w tym jednego śmiertelnego. Może przydałoby się założyć na tym odcinku łańcuchy, odgradzające jezdnię od chod-
nika?

Właściciel działki w gminie Wodzierady (woj. sieradzkie), a wraz z nim ponad 100 innych działkowców, którzy nabyli swoje ziemie od Urzędu Gminy, z PFZ jest oburzony wezwaniem, jakie dostali wszyscy działkowicze, wzywającym ich do stawienia się w Wojewódzkim Biurze Planowania Przestrzennego w Sieradzu z kompletem dokumentów. Po co ciągnąć do Sieradza 100 osób, mieszkających przeważnie w Łodzi — pyta czytelnik — skoro kopie wszystkich dokumentów znajdują się w Urzędzie Gminy w Wodzieradach, w jednym segregatorze i logicznie byłoby wezwać do Sieradza jednego tylko urzędnika z gminy?

Pan Grenda, mieszkaniec osiedla Czerwony Rynek postanowił dorobić do pensji, świadcząc usługi z dziedziny instalatorstwa i reperacji sprzętu gospodarstwa domowego, w godzinach popołudniowych, w domach klientów. Chciał tę działalność prowadzić legalnie, uzyskał więc wszystkie niezbędne zaświadczenia i zgody z cechu, Izby Rzemieślniczej, Wydziału Handlu i Usług dzielnicy Górna. Niestety, nie może rozpocząć działalności, braku bowiem jednego papierka — zgody kierownika osiedla. Odmówił on, o-
świadczając, że usługi takie nie są w tym rejonie miasta po-
trzebne. Jest to oczywiście bzdura i sądzimy, że znajdzie się ktoś mądrzejszy, który w zastępstwie kierownika wyda panu Gren-
dzie konieczny, ostatni już papier.

Zmotoryzowany czytelnik prosi Wydział Ruchu Drogowego WUSW w Łodzi o przeanalizowanie sytuacji na skrzyżowaniu ulic Narutowicza, Sienkiewicza i Wschodniej. Zwykle sto-
tu funkcjonariuszy MO, kierujący ruchem, ale... często przeprowa-
dzone są kontrole pojazdów, które — odstawiane na bok — ta-
rasują wąską ulicę i dodatkowo utrudniają pokonanie zatłoczo-
nego skrzyżowania. Może więc — proponuje czytelnik — zatrzy-
mywać samochody do kontroli w mniej zatłoczonym miejscu, a tu — ustawiać w kolejkę tylko tych kierowców, którzy popełnili wykroczenie drogowe i zasłużyli na mandat?

Pan Grzegorz O. oburzył się po obejrzeniu programu w TV z przedstawicielami Polmobytu, z którego dowiedział się, że sa-
mochody nowe, lekko uszkodzone, sprzedawane są przez Polmo-
zbyt w drodze przetargu, po cenach gieldowych. Takie postępo-
wanie nazywa pan Grzegorz państwową spekulacją. Z określe-
niem tym zgadzamy się w całej pełni. (Kilka miesięcy temu red. D. Drożyński pisał w „Odgłosach” o takiej gieldzie w Łodzi).

O poprawę warunków w Wojewódzkiej Przychodni Reumatolo-
gicznej prosi czytelniczka chora na gościec. Większość pacjentów tej przychodni porusza się z trudnością, a tymczasem mieści się ona w trzypiętrowym budynku bez windy.

I wreszcie sprawa ostatnia — czytelniczka, której nazwiska celowo nie podajemy — postanowiła za naszą pomocą rozprawić się z nie lubianym sąsiadem, który — rzekomo — wykorzystuje swoje stanowisko służbowe dla osiągnięcia osobistych korzyści (o czym czytelniczka wie tylko ze słyszenia). Donosami jednak zaj-
mować się nie będziemy. Wstyd, proszę pani!

TERESA JERZYKOWSKA



Wystarczy nam ulewa

GRZEGORZ GALASIŃSKI

Tak (9 czerwca) wyglądały ulice w rejonie Dworca Kaliskiego. Na skutek gwałtownej bu-
rzy, przy zbiegu al. Włókniarzy i ul. Karolewskiej powsta-
ło wielkie rozlewisko, które prawie całkowicie uniemożli-
wiło przejazd w tej tak bardzo ruchliwej części naszego mia-
sta. Na al. Mickiewicza i al. Włókniarzy utworzyły się gi-
gantyczne, sięgające centrum

miasta korki samochodowe. Sparaliżowana też została w tym rejonie miasta komunika-
cja tramwajowa.

Tradycją już chyba zostanie zalewanie przejazdu pod mo-
stem kolejowym na ul. Karo-
lewskiej, którego przyczyną jak
zwykle są niedroże studzienki
kanalizacyjne.



Łódź: historia, wspomnienia, relacje

Losy książki polskiej podczas okupacji

W okupowanej w czasie osta-
tniej wojny przez hitlerowskich
najeźdźców Łódź z zacieklą
nienawiścią niszczone wszelkie
ślady, świadczące o polskości
miasta. Po wyburzeniu pomni-
ków zasłużonych Polaków, po
zamknięciu szkół polskich, oku-
panci przystąpili do likwidacji
polskich księgozbiorów i biblio-
tek. Zagładą książki polskiej
w Łodzi kierował szef miejsco-
wego Urzędu Propagandy, łódz-
ki volksdeutsch — Bautze.

Systematyczne niszczenie ksią-
żek polskich rozpoczęło od „o-
czyszczania” wszystkich księ-
garń i bibliotek łódzkich z li-
teratury marksistowskiej, żydo-
wskiej i o charakterze nardo-
wopolietycznym, a zwłaszcza
z dzieł Adama Mickiewicza i
Henryka Sienkiewicza. Następ-
nie nakazano sporządzenie w
księgarniach szczegółowego spi-
su książek. Dzieła zakazane oku-
panci przeznaczali na prze-
miat.

Już w pierwszych dniach oku-
pacji hitlerowskiej wszystkie
księgarnie polskie w Łodzi zo-
stały zamknięte, a ich właście-
cieli najczęściej aresztowano, a
następnie wysiedlano. Tak los
spotkał zasłużonego księgarza,
Kazimierza Pawlaka, właścicie-
la księgarni „Czytaj”, którego
najpierw osadzono w obozie na
Radogoszczu, a później wysie-
dlono wraz z rodziną do Ge-
neralnej Guberni. Inny księgarz,

Karol Neumiller, zginał w ge-
tcie łódzkim w czasie jego lik-
widacji. Najtragiczniejszy los
spotkał księgarza i właściciela
drukarni Romana Tytko. Po
półrocznym pobycie w wię-
zieniu został on ścięty toporem
we Wrocławiu.

Mniejsze księgarnie zamienia-
no na składy materiałów piś-
miennych. Właściciele ich zo-
stali wysiedleni do Generalnej
Guberni lub też wywiezieni na
przymusowe roboty do Niemiec,
a ich miejsce zajęli komisarzy-
ni zarządcy. Podobny los spot-
kał przeważającą część polskie-
go personelu księgarskiego,
choć pewna liczba pracow-
ników z braku wykwalifiko-
wanych księgarzy — Niemców,
była nadal zatrudniana w księ-
garniach niemieckich.

W trakcie wywożenia ksią-
żek na przemiał do papierni
księgarze polscy, nie zważając
na groźbę im surowe kary,
włącznie z obozem koncentra-
cyjnym, zdolali pewną ich część
uchronić od zniszczenia. Spore
ilości książek zostały uratowa-
ne od zagłady w księgarni Szar-
loty Seipelt (dawniej Ludwika
Fiszera). Na początku wojny
pracownicy tej księgarni J. Ro-
goziński, W. Pfeiffer oraz A.
Angellus i J. Gierańczyk za
cichą aprobatą właściciela uk-
ryli w piwnicach część naj-
bardziej zagrożonych wyda-
nictw i nie ujawnili ich wobec

niemieckiego komisarycznego za-
rządcy księgarni. Wśród tysięcy
ukrytych książek znajdowały
się podręczniki szkolne oraz
wartościowe dzieła z historii i
literatury polskiej. Książki te
różnymi drogami przekazano
tajnym kompletom szkolnym o-
raz innym zainteresowanym
czytelnikom polskim.

Inaczej potoczyły się losy
największej księgarni łódzkiej
Gebethnera i Wolffa. Dotychcza-
sowy jej kierownik G. Paul, w
okresie międzywojennym osten-
tacyjnie podkreślający swą pol-
skość i patriotyzm, po zajęciu
miasta przez Niemców naraz
stał się zagorzałym hitlerowcem.
Na tej podstawie objął księgar-
nię jako komisaryczny zarząd-
ca, a następnie odkupił ją od
władz niemieckich. G. Paul
przez cały okres swych rządów
bezlitośnie tępił polską książkę,
toteż z bogatych zbiorów tej
księgarni nie udało się uratować.

Władze niemieckie wydały
polecenie ujawnienia wszyst-
kich większych księgozbiorów,
tak publicznych, jak i prywat-
nych. W przewidywaniu ich de-
wastacji ofiarni pracownicy
Miejskiej Biblioteki Publicznej,
Biblioteki Pedagogicznej, Biblio-
teki Wolnej Wszechnicy Pol-
skiej i Archiwum Miejskiego,
nie zważając na konsekwencje
swego czynu, najcenniejsze księ-
gozbiory naukowe ukryli przed
okupantem, ratując je w ten
sposób od zniszczenia.

Nienawistny stosunek hitle-
rowców do dorobku naszej kul-
tury sprawił, że mimo ogrom-
nych wysiłków czynionych przez
pracowników książki dla rato-
wania od zagłady polskiego sło-
wa drukowanego, likwidacji u-
legły ogromne ilości książek
znajdujących się w łódzkich
księgarniach, bibliotekach i wy-
pożyczalniach. W bezlitosnym
niszczeniu książek pomócni byli
okupantowi łódzcy volksdeut-
sche, a zwłaszcza księgarze po-

chodzenia niemieckiego, jak
choćby G. Ruppert i G. Paul.

Należy jednak wspomnieć, że
wśród księgarzy niemieckich
znaleźli się — choć nieliczni —
ludzie uczciwi i przychylni pol-
skiemu społeczeństwu. Wymie-
nić by tu można M. Kramme-
ra, współwłaściciela księgarni
Urbanowicza, który wprawdzie
został volksdeutchem, ale mi-
mo to nie tylko ratował pol-
skie książki od zniszczenia, ale
ponadto prowadził przy księ-
garni nielegalną ich wypoży-
czalnię. Trudnił się on także
dostarczaniem książek szkolnych
kompletom tajnego nauczania.
Podobnie wdowa po księgarzu
niemieckim Grajlichu uchroniła
od zniszczenia i przez okres
okupacji przechowywała 32 tys.
książek polskich, które po wy-
zwoleniu Łodzi przekazała Gło-
wnej Księgarni Wojskowej.

Wśród wielu pracowników
książki w Łodzi, którzy w nie-
zmiennie trudnych warunkach
niewoli hitlerowskiej z samo-
zaparciem ratowali książkę pol-
ską od całkowitej zagłady, na
szczególne wyróżnienie zasłu-
żyli Włodzimierz Pfeiffer i Jan
Rogoziński. Duże uznanie nale-
ży się również ówczesnemu pra-
cownikowi Archiwum Miejskie-
go, a późniejszemu dyrektorowi
Miejskiej Biblioteki Publicznej
im. L. Waryńskiego — Roma-
nowi Kaczmarkowi, który po-
zostając na swym stanowisku
zdołał uchronić od zniszczenia
cenne wydawnictwa i dokumen-
ty archiwalne. Zarówno oni, jak
i inni tutaj nie wymienieni,
swoją postawą i konkretnym
działaniem przyczynili się w
znacznym stopniu do ratowa-
nia polskiego słowa drukowa-
nego, do zachowania dorobku
naszej kultury.

WACŁAW PAWLAK

Każdy sobie coś tam skrobie

Coś się z nami porobiło dziwnego. Dochodzi do głosu coraz bezwzględniej chciwość i chęć. Pierwsze — wzięło początek z naturalnych ludzkich pragnień docenienia do czegoś, a ponieważ drogi docenienia, osiągania, oddały się bądź były zbyt pokretnie, więc i prowadzący do karykaturalnych namiastek. Drugie było — i jest — skutkiem pierwszego, wszak nie ma nic bardziej podatnego na arogancję pychę jak namiastka dająca złudzenia.

Rodowód chciwości, wyrażającej się coraz większym nabywaniem, nietrudny jest do odnalezienia. Niedługo ludzie także żyli pragnieniami. Dążyli do zdobycia lepszej pozycji, społecznej, zawodowej, dorównania komuś, stania się kimś od kogoś czerpaliby wzory zachowania, postępowania, dochodzenia do własnej pozycji prestiżowej. Jest w tym coś naturalnego — tęsknota za czymś lepszym, co byłoby ukoronowaniem życia.

Czas burzy i naporu zniszczył bądź zdewaluował wszelkie wartości i gradacje, wszystko było w zasięgu ręki, traciło na znaczeniu. Trudno bowiem marzyć o czymś, co jest tuż, tuż. Dawniejsze naturalne pragnienia dorównania komuś przeistoczyły się w chęć prześcignięcia kogoś w czymś: on ma syrenę — ja mam fiata, on ma poloneza — ja mercedesa muszę, on M-3 — ja chatę! Ona ma szmatę z „Olimpii” — ja szetlanda z haftem za 40 patoli, jak mawia się w tych kręgach. I chodzą nadejściem w ciapkowatych szmatach z pogardą dla przyodzianych w masową konfekcję. I obnoszą się w pobielanych dżinsach, w których staruszka udaje podłotkę, a dziadek — żółtodzioba.

Pan z nimi, można by rzec, gdyby nie to, że i podobne zachowania przemieniły się do społecznego obiegu rozumowania, gdyby nie zawiązały rozpowszechnionym myśleniem. Wszak to z pozycji pobielonych portek ocenia się widzący świat; to przez pryzmat stanu posiadania widzi się własną ubogość, a nie poprzez ocenę potrzeb. To wreszcie takie rozumowanie prowadzi do małego chęćstwa w ocenie rzeczywistości.

Chęć i chęćstwo wprzęgnięte w społeczny obieg myśli i rozumowania zaowocowało nadejściem pazernością, pyszałkowatą ambicją: co, oni mają a my nie? A bomo to sroce spod ogona...!

No i zaowocowało nam życie społeczno-kulturalne dziesiątkami, ba, setkami rozróżnych imprez i świat, które, poza tym że dają lepsze notowania chęćstwu, niczego pożytecznego swoimi treściami nie wnoszą. Poza kosztami!

Wystarczy prześledzić, przyjrzyć się najrozmaitszym imprezom, festiwalom organizowanym z takiej czy innej okazji... W tym miejscu powinienem się zastrzec, że nie mam nic przeciwko różnym imprezom i światom, i tu winien nastąpić dłuższy wywód potwierdzający prawdziwość intencji, jednakże nie będę tego wywodu toczył — niech kto i co chce sobie myśli! Im więcej zastrzeżeń, tym więcej podejrzliwości.

Jest rzeczą naturalną, że kiedyś, gdzieś podjął się ktoś jakiegoś przedsięwzięcia artystycznego, które stało się znaczącym wydarzeniem. Takim przedsięwzięciem najczęściej towarzyszy coś z natchnionej pasji. Tak było z Tadeuszem Sygietyńskim, który stworzył „Mazowsze”, czy Stanisławem Hadyń — twórcą „Śląska”, z twórcami pierwszego Konkursu Chopinowskiego, Warszawskiej Jesieni, festiwalu jednego, drugiego czy imprez, które w krótkim czasie zyskały sobie wysoką renomę w kraju, a nie rzadko na świecie. No i stało się! Jak Polska długa i szeroka w różnych zakątkach gmin, miast i województw zaczęły rodzić się, nierzadko przyszłościowe, nierzadko już zreszłą (tzw. ludowe), które, jakże często, stłamsiły wieloletni żywot licznych chorów, przegrzając z modną konkurencją.

Nie mam nic przeciwko rozpiewanym i roztańczonym dzieciom, młodzieży i starszemu. Mam za złe swoistemu chęćstwu i tym, którzy bardziej dla honoru domu niżli pożytku, kreowali domorosłych Sygietyńskich i Hadyń. Dobrze, jeśli zdolano zaszcenić bakcylią śpiewu i tańca, gorzej gdy wraz z plajtą i rozwiłkami nadziejami na światowy sukces, przyszło zgorzknienie.

W wieloletnim klimacie chęćstwa obrodziło nam w kraju tysiącami zespołów z zawodowym zadem, które można oglądać przy okazji dziesiątków przeglądów, festiwalu, świat takich i takich, bo i owych świat, przeglądów i festiwalu, pretendujących do WYDARZEN ARTYSTYCZNYCH, namnożyło się nie mniej niż zespołów. Dziś, jak Polska długa i szeroka, przez okrągły rok, w gminach, miastach, dzielnicach, województwach, w szkołach, zakładach i domach kultury trwają święta, przeglądy i festiwale, konkursy i quizy, a każdy z nich z prowincjonalnym nabzyczeniem. Od Koszalina, Fromborka, Elbląga, poprzez Łowicz, do Tarnowa, Nowego Sącza, od Olsztyna po Legnicę trwają przeglądy i festiwale: filmów muzycznych, przygodowych, animowanych, oświatowych, naukowych, społecznych, amatorskich, zawodowych; festiwale i przeglądy muzyki klasycznej, nowoczesnej, gitarowej, skrzypcowej, młodych i starych talentów. Od Tarnowa poprzez Katowice, Opole, Wrocław, Jelenią Górę, Kalisz, Poznań i Bóg raczy wiedzieć gdzie jeszcze organizowane są przeglądy i festiwale teatralne, aktorskie, a na większości z nich wieje ta sama nuda wyrażana na tych samych twarzach. Doszło do tego, że w 37-milionowym kraju odbywa się rocznie... 600 (!) festiwalu, przeglądów, konkursów, tygodni, dni ogólnopolskich i międzynarodowych. Po dwa dniennie! I po 12 na każde województwo w roku! Ile z nich można zaliczyć do prawdziwych i znaczących wydarzeń artystycznych? A najrozmaitsze dni, tygodnie, organizowane tu i tam wedle schematu: przytupujący, bądź bujający się zespół, solista-amator, grajek i grajkowie, hufciarka, samorodny talent malarski, hobbista, kiersmasz, na przeciągnięciu liny wcale nie kończąc, a wszystko to okraszane sprowadzanym smokingowym zapowiadaczem, i równie strojną, co głośnie i drogą gwiazdą z wojewódzkiego importu. Nic tylko płakać! Nad brakiem smaku, wyobraźni, wydanymi milionami i tym prowincjonalnym chęćstwem.

Jakiś czas temu, gdy zapowiadano Dni Kultury Robotniczej ożyły moje nadzieje, że wreszcie pojawi się coś nowego, znaczącego, że to wydarzenie — nawiązując do pięknych tradycji sięgających początków naszego wieku — stanie się początkiem czegoś rewelacyjnego, nie tylko w skali kraju. Wyobrażałem sobie, że zawodowe sceny ustąpią na ten czas miejsca produkcji teatralnej amatorów, galerie — otworzą podwoje dla utalentowanych twórców-robotników, że z czasem witać będziemy w miescie twórców z zaprzyjaźnionych krajów, obwodów i miast. No, cóż, widziałem maszerującą przez Piotrkowską orkiestrę...

A propos Piotrkowskiej. Jedynym wyróżnikiem na mapie wydarzeń w mieście i kraju stało się Święto Piotrkowskiej. Pomysł ten ma w sobie coś z natchnionej zamierzenia. Oby tylko pewne wysłuchane formuły (owe kiermasze, waty na patyku) nie zdążyły oblicza świętującej ulicy. Może w przyszłości wzbogaci się ono o jakieś nowe wartości nawiązujące bardziej wyraźnie do tradycji miasta? Zobaczymy!

Całe to polskie festiwalowo-przeglądowe świętowanie ma posmak czegoś dawno odrzuconego, choć, jak się okazuje, założenie funkcjonujące: pan na zagrodzie równy wojewodzie, a wojewoda... No i w ten sposób, każdy sobie coś tam skrobie. Szkoda, że bardziej na własny niżli społeczny użytek.

MARIAN ZDROJEWSKI

1 Lewym okiem Trudny wybór

Kiedy pierwszy ulepiony z gliny człowiek Adam obesznał należycie i stanął na własnych nogach stworzył Pan Bóg Ewę i powiedział: — Patrz, Adamie, to jest Ewa, a teraz wybierz sobie żonę...

Taką rajska ordynację wyborczą stosowaliśmy z powodzeniem do niedawna. Ludzie nie mieli w rozterku, kiedy wręczano im kartki wyborcze podchodzili do stołu, rzucali kartkę gdzie trzeba i spokojnie wracali do rodzinnych pieleszy. Unikało się w ten sposób losu nieszczonego osła, któremu w żłoby dano, w jednym owies, w drugim siano i nieborak z nadmiernie poważnego podejścia do sprawy zdechł z głodu. To była ponura bajka. Dawniej bajki bywały o wiele bardziej ponure niż normalna rzeczywistość, dzisiaj, wydaje się, że jest odwrotnie. Ale i dawniej i dzisiaj całe życie człowieka polega na nieustannym wyborze, ciągle się wybiera i ciągle się zdaje jakiś egzamin. Mało, ludzie od dawna uzależnili swoje samopoczucie od tego, czy mają możliwość wyboru, czy nie muszą się w nim ograniczać, czy nie muszą się, co gorsza, czemuś bezwolnie podporządkowywać. Nasi turyści stają zafascynowani przed wystawami sklepów w krajach zachodnich obficie zaopatrzonych, stoją oniemieli przed stu pięćdziesiątami gatunkami sera, wiedzac, że i tak mogą kupić jeden gatunek, że żyją tam ludzie, którzy nigdy tych wszystkich serów nie spróbują, że wystarczyłoby tylko dziesięć. Ale jak to jednak przyjemnie, kiedy za szczybą leży sto pięćdziesiąt różnych oseków, pudełek, paczuszek, kiedy człowiek czuje się jak dysponent wszelkich możliwości.

Możliwość wyboru jest dla człowieka konieczna, tym bardziej, że tylko tak drogą może on mniej lub bardziej wpływać na to, jak mu się żyje na tym najlepszym ze światów. Czytałem dawno temu serię artykułów o Szwajcarii. Dowiedziałem się, z jaką ogromną powagą przystępuje się tam do wyboru samorządów lokalnych, które właśnie w Szwajcarii stanowią wielką siłę i przesadzają faktycznie o wielu biejących, najbardziej istotnych, bytowych sprawach. Bardzo byśmy chcieli, żeby nasze samorządy lokalne osiągnęły taką sprawność i taką skuteczność działania, jak im to programowo zakreślono. Byłoby nadmiernym optymizmem twierdzić, że jesteśmy przekonani, iż tak na pewno będzie. Czy możemy coś zrobić, żeby ten ideał przybliżyć?

Możemy wpłynąć na wybór tych ludzi, którzy będą za nas w tym kierunku działać. To jest pośredni wpływ na bieg rzeczy, ale jest. Adam nie miał żadnego wyboru i może dlatego tak wszystko nie najlepiej poszło. Gdyby sobie wybrał żonę spośród dwóch czy trzech piękności, może nie poczęstowałaby go zdradzieckim jabłkiem...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2 Pod prąd Czego nam naprawdę brakuje?

Raz po raz daje się słyszeć głośne narzekania na to, że czegoś nam naprawdę brakuje. Tu pozostawiam wolne miejsce, aby każdy mógł wpisać następne przykłady marnotrawstwa i złej organizacji. Obawiam się wszakże, że miejsc jest zbyt mało. Niestety, wigos

goś nam w Polsce brakuje i dlatego... Brakuje ropy naftowej, więc benzyna musi być na kartki. Brakuje papieru, przeto „Od-głosom” i innym pismom trzeba było swego czasu odgórnie obciąć nakład. Brakuje jakichś komponentów z importu, nie da się zatem wyprodukować pasty do zębów na przyzwoitym, europejskim poziomie. Brakuje...

Kiedy słucham tych narzekań różnych dyrektorów, a nawet ministrów, odnoszę czasem wrażenie, że właściwie brakuje nam wszystkiego i tylko dlatego mamy dziś w kraju ostry kryzys. Bo gdyby nie brakowało, to... ho, ho, pokazalibyśmy wtedy światu na co nas stać! No, ale co zrobić, jak brakuje...

Proszę wybaczyć, szanowni panowie dyrektorzy, ale ja w to nie bardzo wierzę. Po pierwsze dlatego, że były lata, kiedy nie brakowało, a i tak niewiele z tego wyszło. A po drugie, że — moim zdaniem — kluczem do dostępu surowców, półproduktów i tak zwanych dóbr konsumpcyjnych jest przede wszystkim dobra organizacja. I tej właśnie głównie nam trzeba.

Przyjrzyjmy się na przykład naszemu budownictwu. Od lat z uporem maniaka w nowych mieszkaniach instaluje się najprostsze, ostro brzmiące dzwonki, które co najmniej połowa ludzi otrzymujących klucze wyrzuca zaraz na śmietnik, aby w ich miejsce założyć sobie coś lepszego, co ładniej brzmi. Zdarzało się — drobiazgi. Ot, kilokaset złotych, bo tyle taki dzwonek kosztuje. Ale jeśli te kilokaset złotych pomnożymy przez połowę tylko liczby mieszkań oddawanych rocznie w całym kraju, to okaże się, że w grę wchodzi już miliony. Miliony, które beztrudno wyrzucamy.

O ile lepiej byłoby w porę zapytać przyszłego lokatora, jaki też życzy sobie mieć dzwonek u drzwi. I taki mu zainstalować — oczywiście obciążając go kosztami, co nie ma większego znaczenia, skoro i tak pieniądze te musi wydać, kupując dzwonek sam. Czy naprawdę nikt o tym nie pomyślał?

Podobnie należałoby — uważam — pytać ludzi, czy chcą w mieszkaniu na podłodze płytki, parkiet, mozaikę... Pytać każdego — dla jego wygody i zadowolenia, ale także — z myślą o oszczędnościach w spółdzielni, przedsiębiorstwie budowlanym. I niech mi nikt nie wmawia, że tego nie da się zrobić, że nie można. Bo można i niektóre spółdzielnie — jak wiem — próbują nawet już to robić. Czy nie mogą więc wszystkie?

A są to naprawdę drobiazgi! W porównaniu z innymi stratami, jakie ponosimy w budownictwie — znów przede wszystkim przed organizację pracy.

Tak samo zresztą nie wierzę, że w końcu XX wieku list z Łodzi do Szczecina czy Krakowa wędrować musi aż trzy doby, a za ocean — trzy tygodnie. Nie wierzę, aby inwentaryzacja i przyjęcia towaru w sklepach musiały odbywać się w godzinach ich otwarcia. Nie wierzę, aby z polskiego mleka nie dało się wyprodukować dobrego tworu. Że nie da się przystosować polskich automatów telefonicznych do żetonów, których wprowadzenie raz na zawsze wyeliminowałoby konieczność ciągłego ich przerabiania w związku ze wzrostem cen usług telekomunikacyjnych.

Proszę przy tym zważyć, że są to naprawdę banalne sprawy. Problemy, z którymi w innych krajach, wcale od Polski nie zasobniejszych, zdolano się już dawno uporać, a zaoszczędzone dzięki temu fundusze przeznaczono na poprawę zaopatrzenia. U nas jakoś ciągle nikomu na tym nie zależy. Marnujemy tak dużo, że aż strach bierze. Z drugiej strony, proszę mi wytłumaczyć, jak to się dzieje, że choć benzyna jest reglamentowana, na tak zwany czarny rynek można ją dostać w dowolnych ilościach? Skąd się ona tam bierze? Skąd różne instytucje dostają papier na kosztowne zaproszenia na imprezy, których ranga jest żadna i na które można zaprosić gości np. telefonicznie? Po co w tyłu dyrektorskich gabinetach telewizory, nierzadko kolorowe, skoro korzysta się z nich może parę razy w roku? Dlaczego...

nie możemy przeznaczyć. Przez oszczędność.

JÓZEF RETMAN

3 Nagle zastępstwo Cytat z „Potopu”

Z pewną obawą zasiadałem do maszyny, żeby napisać ten felieton: na świecie wielkie, historyczne wydarzenia jak np. szczyt moskiewski, a ja nic na ten temat nie mam do powiedzenia... Albo takie przemiany na Węgrzech — pierwszą osobą w państwie został Karol Grosz. Kadar odszedł elegancko, na honorową, zaszczytną funkcję. W Polsce to się nie zdarza.

Nie mam też nic do powiedzenia na temat ostatnio świętowanych dni: Matki i Dziecka. Chociaż... mam tu swoje trzy grosze. Zaczniemy od retrospektywnej anegdoty: W zamierzonej przeszłości paralem się nauczaniem w pewnym prowincjonalnym liceum. W tzw. gronie pedagogicznym była pewna niesłychanie dystygnowana i wiekowa dama, nauczająca języka obcego. Podobno była wychowanką instytutu dla „blagorodnych dziewcząt” w Sankt Petersburgu. (Czyżby Smolny?). Owa dama na każdym posiedzeniu rady pedagogicznej wygłaszała tyradę o zgorzgnięciu i rozpamiętaniu seksualnym młodzieży, które to rozpamiętanie jest efektem koedukacji, lekcji WF oraz... biologii. Jak wiadomo informacje na temat techniki rozmnażania pierwotniaka, panofelka, czy innych tam motylików powodują u młodych ludzi wilczy apetyt seksualny i niezdrową a niepohamowaną chęć do uprawiania gwałtów i dewiacji. Tfy...

Otóż ostatnie posunięcia ministra edukacji narodowej nieodparcie mi się z ową damą kojarzą... Minister Bednarski stanowczo nie chce być ministrem koedukacji, skasował gorszący podręcznik, a teraz zajął się m.in. nieszczytnym wychowaniem fizycznym.

Dotarło do mnie, że już w przyszłym roku szkolnym — (a więc za dwa miesiące!) rady pedagogiczne będą władne ograniczać ilość godzin lekcyjnych poszczególnych przedmiotów. Założenie tego pomysłu chwalebne jest, od dawna przecież wiadomo, że uczniowie należą w Polsce do ludzi najczęściej pracujących, bo po kilkanaście godzin dziennie, bez dodatków za nadgodziny i pracę szkodliwą. Natomiast niebezpieczne jest wyposażenie w takie kompetencje rad pedagogicznych. To tak, jakby walne zebranie założyło jakiegoś przedsiębiorstwa, dozwolonego z budżetu, miało prawo ograniczać sobie czas pracy i produkcję bez uszczerbku dla plac. Bez sensu!

Dowiaduję się także, że najprawdopodobniej ograniczenia dotkną w pierwszym rzędzie godzin WF. Przedmiot nie najważniejszy, promocji nikomu nie wstrzyma, nauczycieli brakuje, wstrząsających brakują itp. itd.

Od czterdziestu lat szkolnictwo nasze wypuszcza w świat kolejne pokolenia z pokrzywionymi kręgosłupami i innymi przypadłościami, które tylko ćwiczenia korekcyjne mogą zlikwidować. Róża tak dalej! Podobno już tylko 30 proc. aktualnie pobierającej nauki populacji jest w pełni zdrowe i sprawne fizycznie. Ograniczanie godzin WF jest w tej sytuacji zamachem na zdrowie narodu, że się tak pompatycznie wyrażę. O przykładach z innych krajów, a zwłaszcza sąsiadów zza Odry już wspominać nie będę...

Z tego samego ducha pocze- te jest także rozumowanie (raczej „rozumowanie”), z którego wynika, że należy w liceach medycznych ograniczyć godziny wykładów, program i ćwiczenia z przedmiotu, który się nazywa

Rys. Sławomir Łuczyski

uczenie kinezyterapii — po polsku — „leczenie ruchem”. W sytuacji ograniczania wufu w szkołach automatycznie rosną potrzeby w dziedzinie leczenia tych pokrewnych kręgosłupów. A tymczasem absolwenci szkół medycznych, także ci, którzy zdobywają specjalizację z rehabilitacji ruchowej będą gorzej przygotowani do zawodu. Chyba nie muszę dodawać, że nadal dbać się będzie o ich wiedzę z dziedziny ekonomii politycznej. Godziny przedmiotów społeczno-politycznych nie podlegają ograniczeniom!

Czytelnik, bez względu na to, czy się z mną zgodzi czy nie, ma teraz prawo zapytać: A gdzie tytułowy cytat z „Potopu”? Oto on:

Zwracam się do PP ministrów edukacji i zdrowia: „Kończ pan, wstydu oszczędz”, jak mawiała Oleńka Billewiczówna do księcia Radziwiłła.

ANDRZEJ KAROL




W blasku słonecznego ranka z wysokich obwołań widział Dago karne szeregi swoich konnych wojowników i karne szeregi tarczowników. Zobaczył też jak z poszczególnych szeregów wyrzyna się ten i ów, nawet dwóch władców ze swoimi ludźmi, i zaczyna szturmować podgrodzia. Widział następnie rzeź wielu swoich wojowników albo w podgrodzie Gniazda było znowu nie do zdobycia.

W południe dziesiątki trupów leżało na przesmyku i koło bramy podgrodzia. A dalej w ponurym milczeniu stały szeregi tych, co posłuchali rozkazu Pałuki. Wówczas to otwierała się brama podgrodzia i po pochylności gruntu w kierunku wojsk Piastuna, podskakując na zwłokach zabitych, zaczęli się biec bezkrytych z piwem i syconym miodem. A było ich aż czterdzieści. W tym czasie wyszedł bramą wojewoda, Awdaniec. Naprzeciw niemu Pałuka ruszył konno.

Awdaniec oświadczył Pałuce i karne stojącym żołnierzom: — Dago, pan i Piastun, Dawca Wolności i Sprawiedliwości własną mocą i czarami zdobył warownię i całe Gniazdo. Okazało się jednak, że na skutek obłożenia i złej wody, w grodzie panuje Mor. Tylko ci Lestkowie, co byli z Piastunem przeciw Mardom są bezpieczni od zarazy, gdyż żywią się surowym mięsem żmij. Nie pozwól więc otworzyć bram Piastun, abyście nie zginęli od Moru jak to się stało z Dziłkami Kobietami. Wielu nie posłuchało rozkazu wojewody Pałuki, aby stać na miejscu i czekać na rozkazy Piastuna. Nie będziemy opłakiwać ich śmierci ponieważ okazali się nieposłusznymi woli Piastuna. Obiecuje Wam Piastun, że wszystkie dobra, które są w Gnieździe, zostaną rozdzielone między was wedle sprawiedliwości. Do grodu zaś wejdzie tylko ten, kto udowodni, że jadł surowe mięso żmij. Wojsko musi się cofnąć od bram grodu o cztery wystrzelenia z łuku, żołnierze niech zajmą się poszukiwaniem i pożeraniem żmij. Niech także wezmą ciała zabitych i je spalą. Niech także piją wino i piwo, które nie jest zatrute przez Mor, gdyż jeszcze przed zarazą zamknęło je w beczkach. Tak więc wolno się radować zwycięstwem, ale o cztery strzały z łuku od Gniazda. Kto zaś zbliży się do grodu i nie udowodni, że jadł mięso żmij, zostanie zabity.

Następnie wojewoda Pałuka, który w Wysokim Grodzie jadł mięso żmij, dosiadł konia i wziął ze sobą białego ogiera Piastuna oraz jego strój i wjechał do grodu Gniazda, a wojewoda Awdaniec pozostał, aby dowodzić całym wojskiem i dopilnować polowania na żmije.

W międzyczasie uwolniono z więzów Normanów, zabierając im jednak broń i doradzając, aby nie pokazywali się na wałach warowni, gdyż wojsko Piastuna może zażądać ich śmierci. Niechaj siedzą po swoich domach, przylegających do wałów. Dago obiecał im życie i wolność, on zaś zawsze do trzy uję przysiężenia.

Wezwał też do siebie Dago owego dziwnego Spicimira i siedząc w sali przyjął na tronie Popiołowłosego, zapytał go czy słyszy jego niewypowiedziany rozkaz.

— Nie — pokręcił głową Spicimir. — Nie zawsze udaje mi się ta sztuka. Zależna jest ona bowiem od woli bogów.

— Co robiłeś u Heigundy? — zapytał go Piastun.

— Byłem, panie, jej uszami. Jeśli usłyszałem jakieś niewypowiedziane przez kogoś słowa, powtarzałem je jej. Czyniłem to jednak tylko pod przymusem. O tobie, panie, też mówiłem jej rzeczy dziwne i przerażające. Od twojego kanciera, Herima, otrzymałem za to różne dary.

— Czy umiesz przyrządzać trucizny?

— Nie, panie. Słabo znam się na tych sprawach. Ale umnie jest robić karlica księżnej Heigundy.

— Każ jej przyrządzić dzban trującego miodu. Czy słyszałeś mój niewypowiedziany rozkaz?

— Teraz już go słyszę, panie. Nocą pójdę między twoich żołnierzy zajętych piwem i miodem. Będę nalewał ze swego dzbanu tym, którzy nawet nie wypowiedziawszy żadnych słów, noszą w sercach gorycz, że nie pozwoliłeś im złupić Gniazda i zabić Heigundę.

— Czy dużo ludzi umrze tej nocy od zarazy? — zapytał Dago.

— Dżban nie będzie duży. Najwyżej piętnastu — odparł Spicimir.

— Czy wiesz, co o tobie myśle?

— Wiem, panie. Czujesz do mnie wstręt — skłonił się Spicimir i odszedł, aby odnaleźć Miłkę.

Potem przyjął Dago wojewodę Pałukę, który z początku był chmurny, gdyż widział jak wielu ludzi zginęło od strzały i włóczyli obrońców Gniazda. Tymczasem Dago przebrał się już w strój Piastuna, pozłacany pancerz, biały pas i biały płaszcz. Z sakwy białego ogiera wyjął zwinięty w rulon płat kory brzozywej, na której Herim, na podstawie wielu wieści, wyrysował plan dawnego państwa Popiołowłosego, zaznaczał grody i warownie. Z tym rulonem w ręku powitał Pałukę i rozmawiał z nim siedząc na tronie Popiołowłosego.

— Kiedy zdobędziemy Poznań i Łąd, wojewodo Pałuko, kraj nasz i nasze wojsko podzielić na trzy części — oświadczył Dago rozwijając przed Pałuką brzozywy rulon z mapą.

Gniazda Awdaniec. Przyznał, że w wojsku panuje wzburzenie z powodu śmierci tylu wojowników a piwo i miód sycony jeszcze bardziej miesza im w głowach i rozluźnia porządek.

— Chęć, Piastunie, wiece ludowego i sądu ludowego nad Helgundą i Aslakiem, których trzymasz w Gnieździe.

Zamyślił się na chwilę Dago, a potem rzekł krótko:

— Jutro otrzymają do sądzania Helgundę i Aslakia. Powiedz ludowi, że zawsze byłem tylko jego wiernym sługą.

Wręczył Awdaniecowi kawałek kory brzozywej, co z początku rozśmieszyło Awdaniec.

— To cała moja nagroda, panie?

A gdy jego prosty umysł pojął, że ten kawałek kory oznacza ogromny obszar lasów i tak aż po rzekę Odrę, dziesiątki wiosek i grodów oraz warownię w Gieczu — padł na kolana podobnie jak Pałuka i ucałował skraj płaszcza Piastuna.

obdaruję też hojnie Normanów, że dobra wszelakiego nie wezmą nawet na czterdzieści wozów. Ale będą musieli pójść stąd wraz z żonami, dziećmi, całym swoim dobrem i darami. Ominą Kruszwic i w miejscu gdzie Włocław buduje gród i port przedostaną się przez Wisłę. Otrzymałem od Herima wieści, że Włocław nekany jest od Estów, którzy mieszkają po drugiej stronie Wisły w głębi ładu. Normanowie zdobędą tę ziemię aż po rzekę Drwęcę i staną się jej panami, niewoląc tamtejsze kobiety i niewoląc mężczyzn. W miejscu dogodnym nad Drwęcą Hodon zbuduje gród obronny i nazwie go Golub przez pamięć tego, który dał mi Świętą Andale. Tak Włocław będzie brzozywy od północnego zachodu, a tym samym bezpieczne stanie się moje państwo.

I minęły lata, rozplynęli się w miejscowej ludności Normanowie księżnej Helgundy, a Ziemia Golubska pozostała przy

wielkiego pożądanego na chwilę zakochał się w niej. Potem bez trudu wyjął jej rękę z dłoni i szarpnął się z nią, rzucił ją na łóżko, a ona broń się mocniej niż w nocy, aby doznał jeszcze większego szczęścia i słodkiego smaku swego wnętrza, ponieważ pragnęła dać mu do zrozumienia, że nikt nie ofiarował jej tyle rozkoszy, co on. I choć z początku tylko udawała, to po chwili pojęła całym swoim ciałem, że nigdy przed tym nie miała w sobie takiego mężczyzny, bo nikt w niej dotąd jeszcze nie był tak długo i tak głęboko. A kiedy wreszcie legł obok niej i wdychał zapach jej potu i wschodnich pachnidła, widział pagórki jej piersi i rozrzucone na poduszce włosy, rude, ale teraz podobne do złota, bieleło się przed nim

wieki i uważnie spoglądała na niego swymi zielonymi oczyma.

— Obiecałam księżu Visulan, że zostanę jego żoną. Ale Karak to młodzieniec, ty zaś jesteś mężczyzną. Zdobyłeś już Kruszwic i Gniazdo. Dam ci siebie i tron książęcy. Razem pokonamy Duninów, a potem podbijemy cały świat.

— Świat jest duży — obojętnie przyjął jej słowa, całą siłę woli skupiając na tym, aby odpowiedzieć od siebie czary, w które, jak sądził, wciąż go opłatywała.

— Zdobędziemy Kalisę i jej bogactwa, pokonamy Długogłowych i Skrzydlatych, pokonamy się nam Gedan. Weźmiesz koronę czterech księstw. Czego możesz chcieć więcej?

— Obiecałam ludowi walkę z książętami i możnymi, wziąłem lud w swoje piastowanie, stałem się Piastunem, rozumiesz? Muszę cię wydać żołnierzom. Ciebie i Aslakia. Rozsiekają was mieczami.

Strach poderwał ją z łóżka. Chwyciła przegub jego ręki, wpiła się w niego paznokciami.

— Aslak umarł wczorajszego dnia. Jego im wydał, ale mnie sobie zostaw. Możesz zostać księżem żeniąc się ze mną. Nie masz innego wyboru, jeśli nie zechcesz, aby cię nazwano samozwańcem.

Miała lzy w swoich zielonych oczach. Ale ani jej strach, ani lzy nie robiły na nim żadnego wrażenia. Uczono go, że litość jest wrogiem władcy. Szkoda mu było tylko jej pięknego ciała i jej dziwnej sztuki kochania. Czy warto było takie dobro, taką niezwykłą cenną oddać prostakom pod miecz?

— Wystarczy mi Święta Andale — powiedział niepewnie. — Nie czułaś jak twojego ciała i twoich włosów dotykał złoty kamień?

— Popiołowłosego miał Świętą Andale, a przecież lud go nie bronil, kiedy go osadzili w więzi.

— Wziąłem lud w swoje piastowanie...

— Czy ty im, czy oni tobie mają służyć i być powolni?

— Jestem Piastunem.

— Co to znaczy?

— Jeszcze nie wiem.

— Jeśli tego nie wiesz, to jutro i ty znajdziesz się w więzi jak Popiołowłosego. Chcesz zawieść ludowi? Będą tylko wciąż żądać i żądać coraz nowych uciech, a kiedy raz odmówisz, zapomną natychmiast o wszystkim co dobrego dla nich uczyniłeś. Gdzie jest twoja własna wola? Kiedy ją okazesz?

— Jak stanę się bardzo silny.

— Nigdy nie będziesz silny własną siłą, ale siłą swoich żołnierzy. Bieda ci, jeśli to zrozumieją. Moja karlica, Miłka, mówiła mi, że rozpoznawała w tobie chłopca, który zrodził się ze zwykłej kobiety i olbrzyma. Mówiła mi, że pochodzisz z karłowatego rodu Zemlinów, ale masz krew olbrzymów. Może cię pomyliła z kimś innym, jeśli tak się boisz ludu, że chcesz mnie wydać pod miecz.

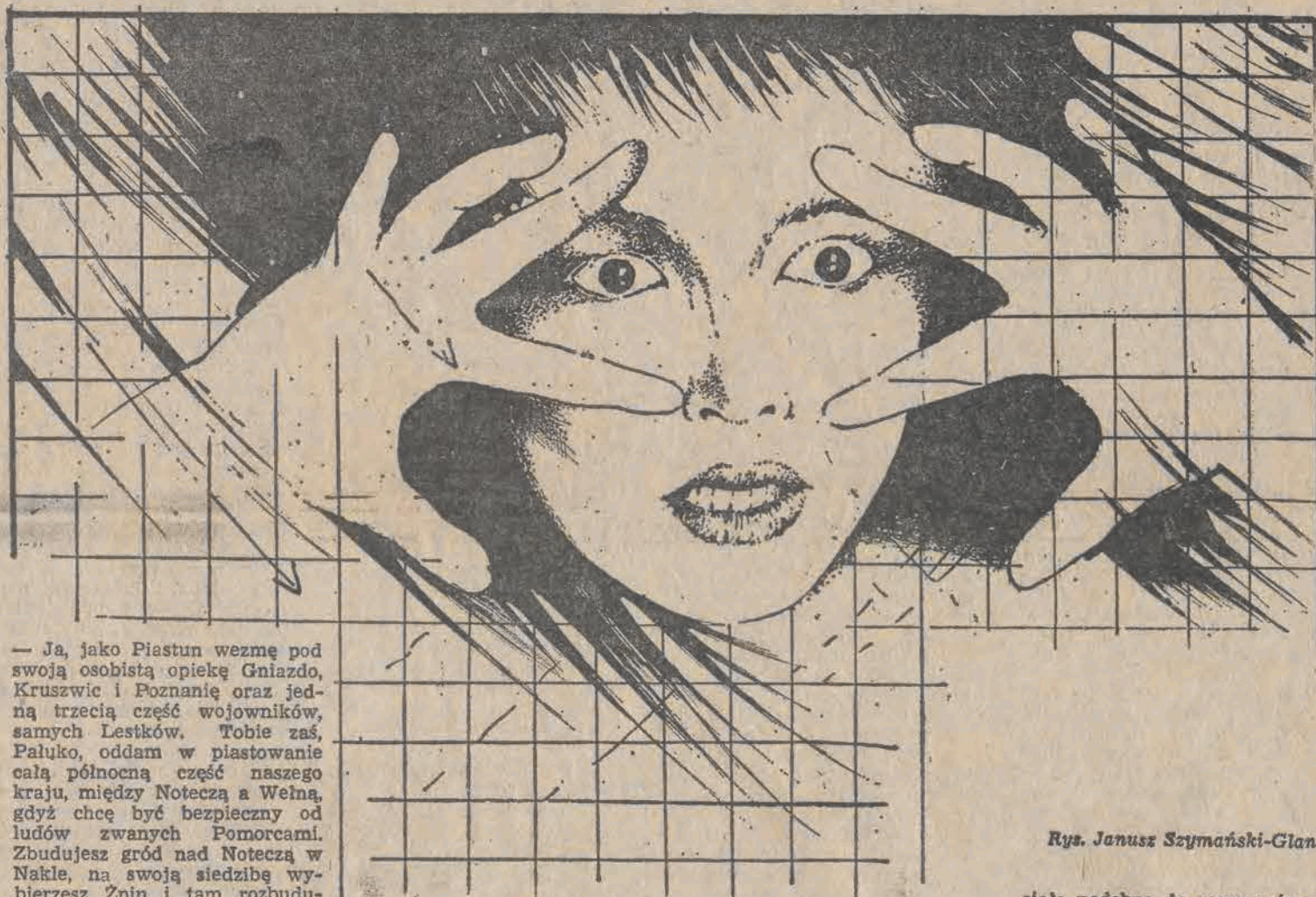
Uderzył ją w twarz. Zerwał się z łóżka i zaczął pośpiesznie zakładać na ramię pasek z pochwą i mieczem.

— Jestem Piastunem — mruzczył do siebie — Jestem Piastunem, Dawcą Wolności i Sprawiedliwości, Strażnikiem Obyczajów...

— Jesteś sługą sług — krzyknęła w jego stronę. — I znajdziesz się w więzi, ty głupi samozwańcze...

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



Rys. Janusz Szymański-Glanc

— Ja, jako Piastun wezmę pod swoją osobistą opiekę Gniazdo, Kruszwic i Poznań oraz jedną trzecią część wojowników, samych Lestków. Tobie zaś, Pałuko, oddam w piastowanie całą północną część naszego kraju, między Noteczą a Wełną, gdyż chcę być bezpieczny od ludów zwanych Pomorcami. Zbudujesz gród nad Noteczą w Nakle, na swoją siedzibę wybierzesz Żnin i tam rozbudujesz gród. A wszystko wokół będzie się nazywać Ziemią Pałuków. Nie tobie ja jednak nadam, ale twojemu synowi, który zwie się Wszesław. Ty zaś musisz tylko tę ziemię sobie oswoić i uzbudzić, niepokornych grodzidzielić wyróżnić i na ich miejsce wyznaczyć swoich krewnych. Nie ciebie bowiem zamierzam wywyższyć, ale twój ród.

— A Awdaniec?

— Otrzyma ode mnie inną część kraju i warownię w Gieczu. Jemu też zacznie podlegać Kalisia, jeśli ją zdobędziemy. Będzie mnie Awdaniec bronil od południa i na ten cel oddam mu trzecią część naszego wojska. Jest w składach Gniazda dużo sukna, tak samo dużo sukna jest w składach w Kruszwicu, a pewnie i w Poznaniu. Tedy uszyjesz dla swego wojska kaftany z sukna zielonego, Awdaniec z sukna brązowego, moje wojsko zacznie nosić sukno czerwone i białe płaszcze, jak na Lestków przystało.

To mówiąc Dago rozdarł płat kory brzozywej na trzy części.

— Wróć do wojska. Pałuko — powiedział wręczając mu kawałek kory brzozywej. — I przyślij mi Awdaniec, aby otrzymał swój płat kory wraz ze swoją ziemią. Jakże daniń będziecie mi płacić i kiedy, to sprawa do omówienia, kiedy zwyciężymy Duninów i Zabędziów.

Ukląkł Pałuka przed Piastunem na obydwie kolana, ucałował skraj jego szaty. Nie wiedział, że ponad tysiąc lat później Ziemia Pałuków ze stolicą w Żninie.

Przed wieczorem powrócił do

— Jednego tylko nie pojmuje, panie. Czemu nie Pałuce, ale jego synowi dałeś Ziemię Pałuków. Czemu nie mnie, ale memu wnukowi ofiarowałeś warownię w Gieczu i wszystkie ziemie podległe?

Wzruszył ramionami Dago:

— A kim ty jesteś, Awdaniec? Czy nie zwykłym kowalem, który dobrze umie machać młotem? Jakże mam wywyższyć ciebie a nie twój ród? W zylach Wszesława Pałuki płynie krew olbrzymów. Twój wnuk, Dabóg, zrodził się z woli bogów i też ma krew olbrzymów. Będziesz musiał dla niego wywalczyć Giecz i podległe mu ziemie, a może nawet darować mu Łąd, albowiem go ukochałem, tak samo jak ukochałem jego zmarłą matkę.

— A co poczniesz z Normanami, Piastunie? — zastanawiał się głośno Awdaniec.

— Jeśli poślesz ich ze mną albo z Pałuką, dojdzie do walki, bo są przez nasze wojska znienawidzeni. Nie zostawiaj też ich przy sobie, gdyż jak to już kiedyś powiedziałeś, nie można wierzyć najmitom.

Odpowiedział Dago, pan i Piastun:

— Nie zdarto jeszcze z żadnej brzozy tego kawałka, na którym będzie rządził wojewoda Hodon. Obdaruję go tym tytułem i białym płaszczem,

Piastach. Czy wiedział o tym Dago, pan i Piastun? Czy aż tak daleko patrzył w przyszłość?

Tę nocą Dago stał na szczycie obwołań Gniazda i patrzył na dziesiątki ognisk w jego obozie, gdzie żołnierze rozbijali beczki z piwem i miodem, pili na umór, wrzeszczeli — aż wrzaski dochodziły do uszu Piastuna. Płasnęło też i głośno klaskano w dłonie do wotru bębnowi i piszczałkom. Dago Pan myślał o Spicimirze, który między bawiaczami się krał w dżbanem miodu.

O północy udał się Dago do komnaty Helgundy, która wykapana przez Miłkę w wonnych ziołach i namaszczona pachnidłami czekała na niego przy swoim łóżu z nożem w ręku.

W sieni zabiegła Dagonowi drogą piękna karlica. Ukłękła, objęła jego nogi i prosiła:

— Spójrz na mnie, panie. Czy mnie nie poznajesz?

Odrzucił ją mocnym kopniakiem aż straciła przytomność uderzając głową o podłogę. Nienawidził bowiem ludzi, którzy mieli w sobie krew karłow.

Trzy kaganki paliły się w komnacie Helgundy. A ona stała naga, z twarzą wyrażającą gniew i z nożem w ręku. Długo sycił oczy jej urodą aż od

ciało podobne do marmurów w pałacu cesarza Rhomajów, poczuł, że znowu znalazł się w mocy miłosnych czarów. A choć jest nasycony, to przecież jeszcze pożąda. Zaczął więc całować jej krągłe rozchylone uda, lekko zaznaczony brzuch i skórę tak gładką i przyjemną jak jedwab utkany przez motyle. Posmakował językiem jej słodko-kwaśnego potu, przedziwnie pachnącego i oszalał. Uderzyła mu do głowy silna woń pożądanego kroczka — przykra u wielu innych kobiet, a nawet odrażająca — a u niej jak gdyby nie z kobiecego łona pochodząca, ale z naczynia wypełnionego lawendą, i żądza stała się jeszcze silniejsza. Aż chciał ją pościsnąć po raz drugi, lecz ona już nie broniła się a leżała bezwładna, z rozłożonymi nogami, oddychając gwałtownie jak wyrzucana z wody ryba. Dlatego może nie posłodził jej po raz drugi, ponieważ się nie broniła i nie mogła mu dać smaku zwycięstwa. Zrozumiał, że przy niej traci wolę i rozum, gdyż ona posługując się jakąś dziwną sztuką miłości, której nigdy dotąd nie poznał.

Odsunął się od niej i uważnie patrzył na jej coraz równiej unoszące się piersi z dużymi różowymi brodawkami, na wilgotne małe i pulchne wargi, na białą twarz i zamknięte oczy, od czasu do czasu trzepoczące rzęsami jak skrzydełkami jakichś dziwnych owadów. Dość szybko zorientowała się, że opuściło go podniecenie, leży obok i jej się przygląda. Stłumiła więc w sobie ostatnie drżenie rozkoszy, podniosła po-

C.D.N